

To tylko
przyjaźń,
Panie
Sąsiedzie

Ul. 10-go Maja

Tylko u nas: Mała uliczka w Głogowie. 232 metry długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Co sprawiło, że większość z nich żyje jak wielka rodzina? W czym tkwi fenomen ulicy 10-go Maja w Głogowie



PISZĄ I OPOWIADAJĄ DLA NAS:

• **Prof. Joanna Ławrynowicz-Just** o tym, jak wychować wybitnego pianistę • **O znaczeniu odkryć z dziedziny medycyny i fizyki nagrodzonych Nagrodą Nobla** mówią eksperci

Nr ISSN 1898-3081

Nr indeksu 349-682



ma
gaz
syn **POLSKA**
Puls
METROPOLIA WARSZAWSKA

Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl



Piątek-niedziela, 10-12.10.2025 • Nr 81 (2488) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)

s.12
O co chodzi w tajemniczej sprawie wysadzenia Nord Stream

s.16
Grzybobranie, ulubiony sport Polaków i sprawa najwyższej wagi

s.4
Porozumienie między Izraelem a Hamasem to pierwszy krok do osiągnięcia kruchego pokoju na Bliskim Wschodzie

Przełom w sprawie Gazy

W poniedziałek magazyn

- Koalicja po dwóch latach rządów. Czy ma jeszcze parę do obiecanych zmian?
- Wojciech Smarzowski opowiada o swoim najnowszym filmie

Zamów prenumeratę

Polska Metropolia Warszawa ☎ 22 230 20 38
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

Andrzej Plęś
publicysta



PAPIER WSZYSTKO PRZYJMIE

Te wioskowe, wychudzone, bo wygłodniałe, jak to pies w zagrodzie, co nie karmi gospodarza jak krowa i kura, nie tyra jak koń, na szczególną uwagę i opiekę pana nie zasługują. Ot, ma drzeć mordę, jak się obcy zbliża, to drze, bo za to mu płacę czerstwą bułką rozmoczoną w wodzie, tak dla utrzymania przy życiu. I na łańcuchu konieczne, półtora metra wystarczy, żeby nie poszedł z głodu między kury. Kot i na tyle nie zasługuje, bo łowny ma być, po co takiego przekarmiać, żeby motywację do łowów stracił? Są wciąż miejsca, w których taki model gospodarzenia się utrzymuje. Skoro taki gospodarz serca i ludzkich (?) uczuć do psa nie ma, to nowym prawem trzeba go wziąć za twarz i karać za łańcuchy, brak kojca i psiego dobrostanu.

Dużo lepiej mają konie, które ciągną wozy z turystami nad Morskie Oko? Im więcej turystów na wozie, tym lepiej dla wozaka, bo dla konia gorzej. A i tak wygrywa ekologomika wozaka, a nie humanitaryzm. Lepiej mają wilczury i labradory, trzymane w wielkomięjskich kawalerkach, które głodem nie przymierają i opiekę medyczną mają z pakietem weterynaryjnym VIP, ale po całych dniach pana/pani nie widują, pół godzinki dziennie na specerniaku, o psim życiu towarzyskim nie wspominając, bo go nie mają?

„Czegóż płaczesz - staremu mówił czyżyk młody” - bajka bpa Krasickiego każe się zastanowić, czym jest dobrostan zwierzęcia. Z perspektywy zwierzęcia. Nie jest nim ani łańcuch psa wioskowego, ani parę metrów kwadratowych przestrzeni życiowej psa „blokowego”. Nowym prawem „łańcuchowym” próbujemy regulować to, co powinno być dawno uregulowane empatią i powszechnie akceptowalnym zwyczajem społecznym.

I psa z rzędem temu, kto będzie w stanie wyegzekwować nowe prawo o psim niewolnictwie łańcuchowym, przekonać gospodarza, że zasada „gospodarz na zagrodzie równy wojewodzie” nie działa, a jednocześnie strzec pieszych i rowerzystów przed pańskimi i bezpańskimi, które wybrały wolność. Bo - na psa urok - papier z przepisem wszystko przyjmie, a rzeczywistość często potrafi urwać się z łańcucha przepisów.

”

*Jestem bardzo szczęśliwy,
jestem spokojny i jednocześnie
zdegenerowany. To pierwszy dzień
w moim życiu, kiedy otrzymałem
Nagrodę Nobla*

László Krasznahorkai, tegoroczny laureat literackiego Nobla

JAK SZYBKO ROŚNIE LICZBA LUDZI NA ŚWIECIE

Jednym z problemów współczesnego świata jest niezwykle szybko rosnąca liczba ludzi. Nie dotyczy to Polski, bo po okresach dwóch powojennych wyżyć demograficznych (pierwszy w okolicy 1955 roku, a drugi w okolicy 1983 roku), kiedy rocznie rodziło się blisko 800 tysięcy nowych Polek i Polaków - weszliśmy w latach 2000 w okres niżu demograficznego, gdy więcej ludzi umierało, niż się rodziło. Ten proces w Polsce jest odwrotny w stosunku do procesów, jakie obserwujemy w krajach Trzeciego Świata - głównie w Afryce. A ludność świata przyrasta w tempie 2 nowych ludzi na sekundę. Największy przyrost naturalny ma Niger, zaraz po nim lokuje się ze swoją demografią Angola, Uganda, Kongo, Mali, Burundi, Gambia, Czad, Somalia. Afryka! Głównie ta najbardziej...

To zjawisko stosunkowo nowe. Na początku naszej ery (w roku zerowym, związanym z hipotetyczną datą narodzin Chrystusa) na świecie żyło - jak szacują historycy - około 190 mln ludzi. Szacuje się, że

Ryszard Tadeusiewicz
profesor AGH



w 2000 roku p.n.e. na całej Ziemi było 72 mln ludzi. Potem - jak wspominałem - na początku naszej ery było mniej niż 200 mln ludzi i przez wiele lat ta liczba istotnie się nie zmieniła.

Ta stabilna sytuacja przehyła się w kierunku dynamicznego wzrostu na początku XIX wieku. Przypuszcza się, że ludność całej Ziemi przekroczyła próg miliarda w 1804 roku. W 1927 roku było nas już dwa miliardy, w 1960 roku przekroczone próg 3 miliardów, w 1974 - 4 miliardów, w 1987 roku 5, w 2011 osiągnęliśmy 7 miliardów, a dokładnie 15.11.2022 przekroczone 8 miliardów.

Jeśli ta dynamika utrzyma się, to w 2037 roku osiągniemy 9 mld, a w 2080 roku przekroczymy 10 mld! Być może ten trend wzrostowy zostanie w naturalny sposób wyhamo-

wany. Jednym z głównych czynników jest duża śmiertelność w krajach o najwyższym przyroście naturalnym. Jednak Nigeria w 1990 roku miała 95 mln mieszkańców, a w 2050 roku będzie tam ponad 400 mln mieszkańców. Więcej niż w USA!

Natomiast w Europie (traktowanej jako całość) od 30 lat wystawia się więcej aktów zgonu niż aktów urodzenia. Częściowo kompensuje ten trend duża imigracja - legalna i nielegalna. Ale spadek sumarycznej liczby mieszkańców, już teraz obserwowany, będzie się nasilał. W takich krajach jak Bułgaria, Litwa, Łotwa i Serbia do 2050 roku nastąpi spadek liczby ludności o przynajmniej 20%. Ubędzie co piąty obywatel!

Niemcy dzięki napływowi imigrantów mają obecnie 83

mln obywateli, ale do 2050 będzie ich najwyżej 80 mln. Włosi stracą w tym czasie co najmniej 10% swej obecnej ludności.

Procesy malenia populacji nie są tylko domeną Europy. Wprawdzie ludność Chin w 1981 roku przekroczyła miliard mieszkańców, a obecnie Chińczyków jest blisko 1,5 miliarda. Ale Chiny zderzyły się ze skutkami wprowadzonej przez Mao polityki jednego dziecka w rodzinie. Dążono wtedy do tego, by rodzili się chłopcy, więc teraz nie ma Chinek, żeby rodziły kolejne pokolenia. No i Chiny się wyludniają. To zahamuje ich szybki wzrost gospodarczy. Natomiast na szczycie tabeli prognoz demograficznych ONZ trafiły Indie. To będzie w Azji prawdziwa rewolucja. W 2050 roku w Indiach będzie żyło 1,6 mld ludzi, podczas gdy w Chinach 1,3 mld.

Na świecie już teraz jest czterokrotnie więcej ludzi, niż Ziemia może wykarmić. Metody intensyfikacji produkcji rolnej tymczasowo pozwalają zapobiegać klęsce głodu. Ale na jak długo - skoro ludzie stale przybywa?

KTO SIĘ BOI TILLY NORWOOD?

Zbliża się moment przesilenia, będziemy musieli przejść przez „wieki ciemne”, bo przestajemy dostrzegać, co jest prawdą. Wbrew pozorom nie są to słowa jakiegoś jasnowidza zaprawionego w straszaniu publiczności, lecz opinia trzeźwego racjonalisty, zajmującego się fizyką kwantową prof. Jana Chwedeńczuka. Co nim tak wstrząsnęło? W audycji filozofa Tomasza Stawiszynskiego (You Tube) profesor mówił o kilkuminutowym filmiku, którego bohaterką jest atrakcyjna aktorka... nieistniejąca.

Holenderska producentka i komiczka Eline Van der Velden stworzyła postać Tilly Norwood, która jest określana jako „pierwsza aktorka AI”,

Janusz Michalczyk
publicysta



czyli wygenerowana przez sztuczną inteligencję. Na filmiku do złudzenia przypomina prawdziwą osobę i byłaby to tylko ciekawostka, gdyby nie zapewnienia Eline, że Tilly jest w stanie zagrać w reklamie lub pełnometrażowym filmie i nie będzie gorsza od aktorek. Holenderka proponowała już współpracę agentom ze świata filmu i telewizji, czym wywołała panikę w Hollywood.

U nas też mamy pierwsze takie próby. Realizatorzy serialu „M jak miłość” dzięki AI

wygenerowali głos Witolda Pyrkosza i pokazali odmłodzonych Mostowiaków, co spotkało się z mieszanymi reakcjami widzów. Już rok temu wykreowana przez AI „dzienikarka” OFF Radia Kraków przeprowadziła wywiad „na żywo” z niezującą od 2012 roku noblistką Wisławą Szymborską.

Oczywiście, refleksje Chwedeńczuka dotyczą poważniejszych zagadnień. Twierdzi on, że jeśli zaczniemy na masową skalę oglądać w internecie i telewizji nieprawdziwych

ludzi, albo i prawdziwych, lecz w nieprawdziwych sytuacjach, nie mając przy tym żadnego sposobu weryfikacji, to nasz świat wywróci się do góry nogami. To, co bawi jako forma rozrywki, może przerażać zastosowane do manipulowania nastrojami i poglądami. Do czego dojdziemy, jeżeli utraci sens pojęcie prawdy, fundament naszej cywilizacji wymyślony przez starożytnych Greków?

Cóż, nie sądzę, żeby w sukurs przyszła nam inteligencja, rzeczywista lub sztuczna. Spodziewam się raczej triumfalnego powrotu i rozwinięcia idei przekonujących, że świat jest tylko ułudą lub snem wariata. A kiedy rozum okaże się bezradny, może schronieniem dla prawdy okażą się nasze uczucia?

Z CZEGO JUTRO ...? CZY SIŁY POSTĘPOWEGO POSTFEUDALNEGO WSTECZNICTWA ZRELATYWIZUJĄ REWOLUCJĘ CYFROWĄ W POLSCE?

W głównej siedzibie InPost w Krakowie znajduje się licznik pokazujący w trybie live jak szybko generowane są etykiety do nowych paczek co unaocznia skalę oraz tempo operacji usług świadczonych przez tę firmę, z których do-browolnie korzystają obywatele i przedsiębiorcy. Skoro można dostarczać szybko i sprawnie przesyłki, to i obsługa spraw obywateli w urzędach nie powinna nastęrczać problemów w sytuacji, kiedy wydano miliardy na ich informatyzację. Jednak codzienne doświadczenia w urzędach prowadzą do zgęzła odmiennego wniosku. Wszystko wskazuje na to, że worki z rewolucją cyfrową zostały zatrzymane w tychże urzędach. Biurokracja zdobyła nowe kompetencje polegające na relatywizacji rewolucji cyfrowej i AI, dzięki którym stare nawarstwiające się problemy można byłoby wreszcie skutecznie zacząć rozwiązywać.

W Polsce prowadzona była akcja „bez barier”, ale zawężona tylko do przeszkód architektonicznych w poruszaniu

Andrzej Sadowski

Centrum. im. Adama Smitha



się przez osoby niepełnosprawne ruchowo. W systemie „łatwiej” było niepotrzebnie wydać miliardy na labiryntowe podjazdy pod urzędy i windy do pokonania kilku schodków niż zmienić go, aby urzędnicy osobiście odwiedzali niepełnosprawnych i rozwiązywali ich problemy. Jednak carska kultura samodzierżawia biurokracji traktuje obywateli co najwyżej jak wyzwolonych chłopów pańszczyźnianych, którzy niezależnie od swojej kondycji ruchowej bez wyjątku muszą stawić się w urzędzie. Codziennie ten hybrydowy postfeudalny analogowy system adaptujący najgorsze i najmniej efektywne rozwiązania zmagają się z cyfrową rewolucją praktykowaną od dekad przez obywateli i firmy wbrew urzędowi i rządzącej nimi warstwie biurokratycznej. Twarda i bezpardonowa rewolucja cyfrowa

oraz technologiczna tworzy równoległy świat, gdzie czas i jego użyteczność dla obywatela jako beneficjenta wolnego wyboru jest imperatywem działania i wyższych zysków. W równoległej zaś przenicowanej przez biurokrację rzeczywistości czas jest kategorią wysoce względną, a inwestycje i korzyści zostały zastąpione zaplanowanymi wydatkami. Atawistyczne z socjalizmu, nastawienie do czasu, ładu spontanicznego z wolnym rynkiem oraz obywatelskich wolności jest tak silnie zakorzenione w zachowującej mimo zmiany systemu swoją ciągłość biurokracji, że rewolucja cyfrowa zostanie przechwycona do wprowadzania kolejnych obowiązków dla obywateli i przedsiębiorców, jak to ma dotychczas miejsce. Konieczne jest zatem wprowadzenie w Polsce całkowicie nowej jakości prawa opartego

na zero-jedynkowym kodzie binarnym, który uniemożliwi jakkolwiek jego korupcyjną i wytracającą czas interpretację.

W dotychczas realizowanych cyfryzacjach nie podaje się kluczowej informacji, o ile zastosowanie technologii oszczędza obywatelowi czas do tej pory zużywany w kontaktach z rządową i samorządową biurokracją. Wprowadzenie nowych cyfrowych usług i rozwiązań w Estonii prowadzi do oszczędzania czasu a tym samym pieniędzy obywateli. Parający się polityką w trakcie rozkręcającego się demograficznego tsunami chcą skrócić czas pracy, a nie wspomną o czasie bezpowrotnie oraz bezproduktywnie marnowanym przez obywateli w urzędach. Oceany czasu wraz z pieniędzmi wyparują bez sensu i bez korzyści dla obywateli jak i samego państwa, chyba że prawdziwa jego natura potrzebuje nieustannego składania przez obywateli ofiar z własnej godności i życia prywatnego. Praktyka urzędów nierazko prowadzi do obdzierania obywateli z ich godności i osobistego

czasu oraz udowadnia, że zdrowy rozsądek i ludzkie podejście w rozwiązywaniu spraw nie mają miejsca. Publiczne ujawnienie procedury antyhumanitarnych praktyk urzędów wobec osób starszych i nie znających się na założeń urzędniczych procedur pozbawiających ich świadczeń pieniężnych lub zajmowanych mieszkań komunalnych jest miarą złowrogię mutacji biurokracji, która przestała rozwiązywać problemy obywateli, bo traktuje ich ciągle jak w socjalizmie jak tzw. petentów. Biurokracja ma tyle humanizmem co socjalizm z ludzką twarzą.

Antywoleńsiowy atawizm samodzierżawnej genetycznie biurokracji skutecznie blokuje i spowalnia rewolucję cyfrową w Polsce. W Albanii aby przełamać jej korupcyjne praktyki na ministra przetargów publicznych powołano AI, którą póki co nie daje się przekupić. Dlaczego w Polsce rząd poza dodawaniem trzeciorzędnych ułatwień w mObywatelu nie zamieni za sprawą AI tych procedur, które trwają najdłużej w porównaniu z innymi pań-

stwami Unii Europejskiej? Jakie są uzasadnione powody aby nie zastosować AI do wyeliminowania całych obszarów nieefektywności w nadzorowanej przez rząd tzw. służbie zdrowia?

Rząd ma wszelkie możliwości, aby zlikwidować popyt na głupotę i palenie pieniędzy przez podległą mu biurokrację i wygrać wybory udowadniając obywatelom, że jedyną zwyczajną strategią to zauważalna poprawa jakości usług publicznych w każdym wymiarze łącznie z wymiarem sprawiedliwości. Samooszukiwanie się, że uda się przeczekać rewolucję cyfrową, która umożliwiła dziś obalenie rządów jak w Nepalu jest analogowym snem zwolenników traktowania obywateli jak wyrobników, którzy za chwilę dzięki technologii mogą zmieni-ć rząd, tak jak onegdaj zmieniło się strony w telegazecie.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha – pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 roku

MATERIAŁ INFORMACYJNY PGE POLSKA GRUPA ENERGETYCZNA S.A.

0111408616

Dołącz do artystycznej przygody i zgłoś się do konkursu „Spotkania ze sztuką”

Fundacja PGE po raz czwarty zaprasza uczniów szkół podstawowych z miejscowości liczących do 50 tys. mieszkańców do udziału w ogólnopolskim konkursie plastycznym „Spotkania ze sztuką”. W tegorocznej edycji motywem przewodnim jest twórczość Vincenta van Gogha – artyści, którego dzieła przepelnione są emocjami, barwami i niezwykłą ekspresją.

Zadaniem uczestników będzie stworzenie własnej interpretacji wybranego obrazu mistrza, wykorzystując dowolną technikę plastyczną. Prace należy wykonać na papierze technicznym w formacie A2 i przesać do 14 listopada 2025 roku. W konkursie wyodrębnione zostały trzy kategorie: dla klas I-III, IV-VI, VII-VIII, a najlepsze dzieła zostaną zaprezentowane w muzeach narodowych w całej Polsce. Na laureatów czekają atrakcyjne nagrody, wycieczki muzealne oraz możliwość udziału w inspirujących warsztatach.

W tej edycji konkursu lista instytucji biorących udział w projekcie została rozszerzona o dwa nowe muzea: Muzeum Narodowe



patronat honorowy



patronat medialny



w Szczecinie oraz Muzeum Narodowe we Wrocławiu. Tym samym uczestnicy będą mogli odwiedzić jedno z siedmiu prestiżowych muzeów: Muzeum Narodowe w Warszawie, Lublinie, Krakowie, Kielcach, Gdańsku, Szczecinie lub Wrocławiu.

Dodatkowo, każdy laureat otrzyma indywidual-

na nagrodę w postaci bonu o wartości 300 zł do wykorzystania w sklepie Empik, a opiekun laureata – bon o wartości 200 zł jako wyraz uznania za zaangażowanie i wsparcie artystycznych działań uczniów.

Organizatorzy przygotowali również specjalne zadanie filmowe – relację

z wycieczki muzealnej, która zostanie opublikowana na profilu szkoły na Facebooku. Pięć najpopularniejszych filmów przejdzie do finału, a trzy najlepsze szkoły otrzymają nagrody finansowe o wartości 5 000 zł, 7 500 zł oraz 10 000 zł.

Poprzednia, trzecia edycja konkursu pokaza-

ła, jak ogromny potencjał drzemie w młodych artystach z całej Polski. Wśród 2683 nadesłanych prac znalazły się również te z województwa mazowieckiego, które zachwyciły jury i zdobyły zasłużone wyróżnienia.

W gronie laureatów znalazło się aż 20 szkół

z Mazowsza, w tym: Szkoła Podstawowa im. Wandy Rutkiewicz w Duchnicach, Publiczna Szkoła Podstawowa im. Stefana Żeromskiego w Woli Soleckiej, Zespół Szkolno-Przedszkolny w Serpelicach, Zespół Szkolno-Przedszkolny w Borzęcinie Dużym, Szkoła Podstawowa im. Św. Stanisława Kostki w Dębsku – które w ramach nagrody odwiedziły Muzeum Narodowe w Lublinie oraz Muzeum Narodowe w Warszawie. Ich sukces pokazuje, że nawet najmniejsze szkoły mogą sięgnąć po wielkie nagrody, jeśli tylko zdecydują się wziąć udział.

Organizatorzy zachęcają wszystkie szkoły podstawowe z województwa mazowieckiego – z miejscowości poniżej 50 tys. mieszkańców – do udziału w IV edycji konkursu „Spotkania ze sztuką”. To okazja do rozwijania kreatywności i wyobraźni uczniów, ale także szansa na zaprezentowanie talentu szerszej publiczności.

Sztuka jest blisko, wystarczy po nią sięgnąć. Może to właśnie Wasza szkoła znajdzie się w gronie tegorocznych zwycięzców?



Mieszkańcy Tel Awiwu świętowali w czwartek na ulicach miasta wejście w życie porozumienia między Izraelem i Hamasem kończące konflikt w Strefie Gazy

Czy porozumienie na Bliskim Wschodzie okaże się trwałe?

W ciągu weekendu będzie jasno widać, czy uzgodnione zawieszenie broni między Izraelem i Hamasem rzeczywiście obowiązuje. Czy jego wynegocjowanie da Donaldowi Trumpowi pokojowego Nobla?

Agaton Koziński

Widzę prezydenta USA, który jest zmobilizowany, który powtórzył tego ranka z trybuny ONZ: „Chcę pokoju, rozwiązałem siedem konfliktów”, który chce Pokojowej Nagrody Nobla - mówił francuski prezydent Emmanuel Macron w wywiadzie dla francuskiej telewizji w czasie wrześniowej sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ. I dodał, że pokojowy Nobel dla Donalda Trumpa będzie możliwy tylko wtedy, gdy uda mu się zaprowadzić pokój na Bliskim Wschodzie.

I co teraz? Pokojowa Nagroda Nobla zostanie przyznana w piątek 10 października. Tymczasem dzień wcześniej, w czwartek o godz. 11 (czasu polskiego) weszło w życie zawieszenie broni między Izraelem i Hamasem. Na jego mocy ma dojść do przerwania walk w Strefie Gazy, wypuszczenia tam pomocy humanitarnej. Hamas zobowiązał się do uwol-

nienia wszystkich przetrzymywanych izraelskich zakładników, z kolei Izrael do wycofania części wojsk z palestyńskiego terytorium, w tym z największych miast w Gazie.

Te działania stanowią jedynie pierwszy etap całego porozumienia pokojowego między Izraelem i Hamasem. Cały 20-punktowy plan przewiduje m.in. złożenie broni przez Hamas i przekazanie władzy w enklawie tymczasowej administracji palestyńskiej pod nadzorem międzynarodowym, a także odbudowę Strefy Gazy. Został on wynegocjowany przez Donalda Trumpa. Od poniedziałku w egipskim Szarm el-Szejk trwały negocjacje w tej sprawie, w których - oprócz USA - pośredniczyli przedstawiciele Egiptu, Kataru i Turcji. Amerykańską administrację reprezentowali w nich specjalny wysłannik prezydenta USA ds. Bliskiego Wschodu Steve Witkoff oraz Jared Kushner, który pełnił tę funkcję w pierwszej kadencji Trumpa (prywatnie jest jego zięciem).

Rezultatem tych negocjacji było zawieszenie broni, które weszło w życie w czwartek o godz. 11. Chwalił je m.in. lider Autonomii Palestyńskiej Mahmoud Abbas. „Kilka miesięcy temu Trump miał plan wypędzenia Palestyńczyków, ale później o nim zapomniał. Pozostaniemy w naszej ojczyźnie i utworzymy państwo palestyńskie w Strefie Gazy, na Zachodnim Brzegu i we wschodniej Jerozolimie” - mówił Abbas po tym, jak porozumienie zaczęło obowiązywać.

Na ile ono okaże się trwałe? Przekonamy się o tym bardzo szybko, gdyż w porozumieniu wpisano bardzo precyzyjne terminy. Od chwili, gdy ono weszło w życie, Izrael ma 24 godziny na wycofanie swoich wojsk z głównych miast Gazy. Hamas z kolei ma 72 godziny (licząc od czwartku) na uwolnienie pozostałych 20 zakładników porwanych 7 października 2023 r. Trump powiedział, że zakładnicy będą wolni do poniedziałku, choć słyhać głosy

o tym, że Hamas wypuści ich nawet w sobotę. Nawet jeśli jednak pozostanie na to czekać trzy doby, to i tak stosunkowo szybko przekonamy się, na ile realna jest realizacja wynegocjowanego porozumienia.

Jednak pierwszym testem realizacji zawieszenia broni okaże się izraelski rząd. On decyduje o akceptacji porozumienia miał podjąć dopiero w czwartek wieczorem. I nie ma pewności, że tak się stanie, gdyż skrajnie prawicowe ugrupowania współtworzące gabinet Benjaminina Netanjahu sprzeciwiają się mu. One myślą w kategoriach „Wielkiego Izraela” - odwołując się do Starego Testa-

mentu chciałyby własnego kraju w granicach tam opisanych, a więc obejmującego tereny znajdujące się obecnie m.in. na terenie Jordanii, Libanu, Syrii. Wchłonięcie Strefy Gazy miało być - w ich wizji - początkiem tworzenia takiego państwa, pierwszym małym krokiem w tym kierunku, tymczasem porozumienie to unie-możliwia. Będą się sprzeciwiać - a Netanjahu musi sobie z tym problemem poradzić.

75-letni Netanjahu w fotelu premiera Izraela spędził łącznie 15 lat. Już słyhać głosy, że wcale nie chce na tym poprzestać, lecz zamierza walczyć o utrzymanie władzy po zaplanowanych na przyszły rok wyborach. Nie będzie to proste. Jest politykiem skrajnie polaryzującym. Trwająca w Strefie Gazy wojna przysłoniła jego problemy w polityce wewnętrznej - niskie notowania jego rządu, słabe poparcie w sondażach, niekończące się zarzuty o korupcję. Trudno mu będzie się od tego odbić. Brzmi to skrajnie cynicznie, ale jemu akurat trwająca wojna była na rękę, póki nie jest jego sprzymierzeńcem.

Oddzielna sprawa, że Netanjahu już kilka razy wydawał się być politycznie pogrzebany, a ostatecznie udawało mu się wyjść zwycięsko. Ostatni raz taka sytuacja miała miejsce 7 października 2023 r. Niespodziewany atak Hamasu na Izrael, w wyniku którego zginęło 1200 osób, wyglądała jak totalny blamaż izraelskich służb - i polityczny koniec Netanjahu jako premiera. A jednak on zdołał na tyle skutecznie zarządzić sytuacją, że dziś uważa się go za jednego z najważniejszych architektów obecnego porozumienia - i generalnie polityka, który umocnił Izrael w ciągu ostatnich dwóch lat. „Od pierwszego dnia wojny premier wyznaczył trzy cele: powrót wszystkich naszych zakładników, pokonanie i rozbięcie Hamasu oraz zapewnienie, że Gaza nie będzie już stanowić zagrożenia dla Izraela. Wszystkie cele premiera zostały już osiągnięte” - mówiła w czwartek rzeczniczka izraelskiego rządu Shosh Bedrosian.

Netanjahu nie osłabiła niewyjątkowo brutalność, z jaką izraelscy żołnierze traktowali mieszkańców Strefy Gazy - mimo że protestował przeciwko temu właściwie cały świat. Nie osłabił go także niespodziewany atak na instalacje nuklearne na terenie Iranu w czerwcu tego roku. Netan-

jahu jest jednym z wygranych obecnego konfliktu z Palestyńczykami - i to będzie jego atut przed przyszłorocznymi wyborami.

Jeśli zawieszenie broni się utrzyma, wzmocniony z tego konfliktu wyjdzie też Donald Trump. „Ogłoszenie, że Izrael i Hamas zgodziły się na plan prezydenta Donalda Trumpa, mający na celu zakończenie dwuletniej wojny w trefie Gazy, może być największym osiągnięciem dyplomatycznym jego drugiej kadencji. W rzeczy samej, jeśli porozumienie zostanie utrzymane, Trump ma uzasadnione podstawy, by wzmocnić swoje roszczenia do miana mediatora godnego Pokojowej Nagrody Nobla” - napisała w czwartek w komentarzu rada redakcyjna „Washington Post”. Z kolei portal Politico podkreśla, że porozumienie to „moment osobistego triumfu” dla amerykańskiego prezydenta.

Czy to wystarczy, by otrzymać pokojowego Nobla w tym roku? Czy fakt, że przytoczony na początku tego tekstu warunek Macrona został spełniony, okaże się wystarczający? Odpowiedź poznamy już za chwilę. Teoretycznie obowiązujące od czwartku porozumienie nie będzie mieć wpływu na komitet noblowski. Sam proces podejmowania decyzji jest bardzo utajniony, nie znamy też szczegółów głosowania. Ale wiadomo, że komitet decyzję już podjął - a jego ostatnie posiedzenie miało miejsce w poniedziałek, a więc dwa dni przed uzgodnionym w środę w Szarm el-Szejk porozumieniem. Wiadomo jedynie, że zostanie w tym roku wskazany laureat pokojowego Nobla - pojawiające się spekulacje, że komitet nikogo nie wskaże, rozwiął Erik Aasheim, rzecznik Instytutu Noblowskiego, podkreślając, że komitet zdecydował, komu wręczy nagrodę.

Warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt uzgodnionej umowy. Konflikt Izraela i Palestyńczyków wydawał się być nierozwiązywalny, jego brutalność zdawała się tylko rosnać. A jednak udało się wypracować kompromis. Donald Trump metodą kija i marchewki, zachęt i gróźb skłonił rząd Izraela i władze Hamasu do znalezienia wspólnego języka i zakończenia wojny - przynajmniej w tej jej fazie. To ważny sygnał w skali globalnej. I daje nadzieję, że podobny kompromis jest możliwy także w konflikcie między Rosją i Ukrainą. Trwająca od 2022 r. wojna zdaje się nie mieć końca - ale podobnie wydawało się z konfliktem Izraela z Hamasem. Skoro więc na Bliskim Wschodzie udało się skłonić obie strony do rozmów, to mamy jasny sygnał, że podobny przełom jest możliwy w relacjach Kijowa i Moskwy.

**PLAN POKOJOWY PRZEWIDUJE
M.IN. PRZEKAZANIE WŁADZY
W GAZIE TYMCZASOWEJ ADMINI-
STRACJI PALESTYŃSKIEJ POD NAD-
ZOREM MIĘDZYNARODOWYM**

MATERIAŁ INFORMACYJNY WODY POLSKIE

0011380135

Chroń się przed powodzią - skorzystaj z wykupów nieruchomości!

Powodzie stają się coraz poważniejszym zagrożeniem, szczególnie dla mieszkańców terenów położonych w sąsiedztwie rzek. W odpowiedzi na rosnące ryzyko, Skarb Państwa oferuje możliwość wykupu nieruchomości o wysokim zagrożeniu powodziowym (w zasięgu wody 10-letniej). To szansa na zwiększenie bezpieczeństwa i uniknięcie przyszłych strat materialnych.

Powodzie to dziś jedno z najważniejszych zagrożeń naturalnych, z jakimi mierzy się Polska. Zmiany klimatyczne, coraz intensywniejsze opady oraz urbanizacja terenów położonych w sąsiedztwie rzek sprawiają, że ryzyko wystąpienia katastrofy rośnie z roku na rok. Dlatego świadoma ocena zagrożenia i ryzyka powodziowego jest kluczowa dla skutecznej ochrony ludzi, mienia i środowiska.

Tragiczne skutki przyniosła powódź z września 2024 r., która dotknęła południowo-zachodnią część kraju. W ciągu 22 dni żywioł zniszczył tysiące domów, dróg i obiektów publicznych, a straty materialne przekroczyły 13 mld zł. Poszkodowanych zostało prawie 250 tys. osób, a fala powodziowa zalała ponad 10 tys. budynków mieszkalnych oraz ponad 800 obiektów o szczególnym znaczeniu społecznym, takim jak szkoły, urzędy czy szpitale. Pod wodą znalazło się też 29 tys. hektarów upraw rolnych.

Skala zniszczeń pokazała, że konieczne są nowe rozwiązania – w tym możliwość wykupu nieruchomości przez Skarb Państwa dla mieszkańców terenów szczególnie zagrożonych przez powódź.

Zasady wykupu nieruchomości na terenach zagrożonych powodzią

Wykup nieruchomości może nastąpić w dwóch przypadkach. Pierwszym z nich jest potrzeba zapewnienia swobodnego przepływu wód powodziowych. W takiej sytuacji wykup jest możliwy, jeśli położenie nieruchomości względem rzeki oraz ukształtowanie terenu wskazują, że obszar powinien być przeznaczony na cele przeciwpowodziowe. Dodatkowo, istniejąca zabudowa nie może mieć dużej wartości historycznej, artystycznej ani kulturowej, a jej usunięcie nie powinno powodować istotnych strat. Korzyści wynikające z wykupu muszą prze-



Program wykupów nieruchomości przez Wody Polskie

Wody Polskie mogą, za zgodą właściciela, wykupić nieruchomość położoną na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, gdzie prawdopodobieństwo wystąpienia powodzi jest wysokie i wynosi co najmniej 10 procent. Nieruchomość jest nabywana na rzecz Skarbu Państwa, a celem takiego działania jest zapewnienie skutecznej ochrony przeciwpowodziowej.

Procedura planowania wykupów obejmuje wystąpienia Wód Polskich do gmin, na terenie których miały miejsce powodzie, z prośbą o opinię dotyczącą nieruchomości, których wykup należy rozważyć jako zasadny. Do 30 czerwca każdego roku Wody Polskie przekazują ministrowi właściwemu do spraw gospodarki wodnej zapotrzebowanie na środki finansowe na wykupy planowane w kolejnym roku. Zapotrzebowanie to uwzględnia stopień zniszczenia obiektów oraz ich wpływ na ochronę przeciwpowodziową, na przykład to, czy utrudniają przepływ wód powodziowych. Minister przekazuje zapotrzebowanie dalej - do ministra właściwego do spraw finansów, celem zabezpieczenia środków finansowych na cel przyszłych wykupów.

Na realizację wykupów nieruchomości przeznaczono 800 mln złotych do 2034 r. Środki pochodzą z budżetu państwa. Głównym celem programu jest zapewnienie ochrony ludności i mienia przed powodzią poprzez umożliwienie mieszkańcom budynków zniszczonych lub uszkodzonych w wyniku powodzi zmiany miejsca zamieszkania.

wyższać koszty finansowe i społeczne. Drugim przypadkiem jest potrzeba ochrony ludności i mienia. Wykup może nastąpić, jeśli budynek został zniszczony lub uszkodzony przez powódź, a jego odbudowa lub remont są niecelowe ze względu na ryzyko ponownego zniszczenia. Decyzja o wykupie uwzględnia położenie budynku, jego stan

techniczny, otoczenie oraz liczbę mieszkańców, co może wskazywać na zasadność umożliwienia zmiany miejsca zamieszkania. W przypadku zniszczenia budynków przez powódź wykupowi mogą podlegać nieruchomości gruntowe, a także nieruchomości gruntowe i budynkowe zabudowane na cele mieszkalne oraz inne

niż mieszkalne. Do takich nieruchomości należą m.in. działki z budynkami mieszkalnymi, zgodnie z Polską Klasyfikacją Obiektów Budowlanych, z wyłączeniem budynków zamieszkania zbiorowego, a także lokale mieszkalne stanowiące odrębną własność w tych budynkach. Dodatkowo, wykup może objąć inne nieruchomości – na przykład z budyn-

kami o innym przeznaczeniu lub niezabudowane – jeśli ich pozyskanie jest konieczne dla zapewnienia bezpieczeństwa powodziowego, zwłaszcza gdy sąsiadują z już wykupionymi budynkami mieszkalnymi.

Jak ustalana jest cena wykupu?

Cena wykupu nieruchomości ustalana jest na podstawie wyceny rzeczoznawcy majątkowego. W przypadku ogólnym jest to wartość rynkowa nieruchomości powiększona o 20 procent. W przypadku legalnie wzniesionych zniszczonych budynków mieszkalnych uwzględnia się wartość gruntu, wartość budynków i lokali mieszkalnych według stanu z dnia poprzedzającego powódź, wartość pozostałych legalnych nanieśń, takich jak garaże, również podlega wycenie, a całość oszacowanej kwoty również powiększa się o 20 procent.

Zakaz zabudowy na terenach wykupionych

Aby skutecznie chronić ludzi przed powodzią, na terenach wykupionych przez Wody Polskie obowiązują ograniczenia dotyczące zabudowy. Na tych obszarach nie wolno wznosić nowych budynków ani rozbudowywać czy odbudowywać istniejących. Zakazy te nie obowiązują w przypadku prac związanych z budową, utrzymaniem lub modernizacją wałów przeci-

powodziowych oraz innych obiektów służących ochronie przed powodzią. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba poprowadzenia przez taki teren drogi, linii energetycznej lub innego elementu infrastruktury, Wody Polskie mogą wydać zgodę na odstępstwo od zakazu zabudowy. Warunkiem jest brak możliwości poprowadzenia tej infrastruktury w innym miejscu oraz zapewnienie odpowiedniego poziomu ochrony przeciwpowodziowej.

Bezpieczna przyszłość zaczyna się dziś - skorzystaj z możliwości wykupu

Dobrowolny wykup nieruchomości przez Wody Polskie to nie tylko szansa na poprawę bezpieczeństwa powodziowego, ale także realna pomoc dla mieszkańców, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji po zalaniu domów przez wody powodziowe. To rozwiązanie, które pozwala uniknąć kolejnych strat, daje możliwość rozpoczęcia życia w nowym, bezpiecznym miejscu i wspiera odbudowę lokalnych społeczności. Jeśli Twoja nieruchomość znajduje się na obszarze szczególnego zagrożenia powodzią, warto rozważyć udział w tym programie – to krok w stronę stabilności, bezpieczeństwa i lepszej przyszłości.

Sprawdź, czy mieszkasz na terenie zalewowym

Jeśli nie masz pewności, czy Twoje miejsce zamieszkania jest bezpieczne pod względem zagrożenia powodziowego, warto skorzystać z Hydroportalu. To narzędzie dostarcza kluczowych informacji, które wspierają podejmowanie trafnych decyzji w zakresie ochrony przed powodzią – zarówno przez osoby prywatne, jak i instytucje. Hydroportal zapewnia dostęp do map zagrożenia i map ryzyka powodziowego, opracowanych na podstawie modeli hydraulicznych oraz danych statystycznych. Mapy te przedstawiają obszary narażone na zalanie w wyniku wzbrań wód rzek, sztormów czy awarii budowli hydrotechnicznych. Uwzględniają różne scenariusze powodziowe, w tym te o prawdopodobieństwie wystąpienia średnio i raz na 10, 100 lub 500 lat, a także zdarzenia ekstremalne.

Wejdź na Hydroportal
https://wody.isok.gov.pl/imap_kzgw



Krasznahorkai nie jest literatem „znikąd”, przeciwnie, już od lat orbituje w establishmencie najlepszych pisarzy europejskich. Podróżuje, bywa na festiwalach, bryluje w literackich gremiach. Znany jest ze swoich fascynacji Dalekim Wschodem. Polskim czytelnikom znany jest przede wszystkim jako autor „Szatańskiego tanga”, „Melancholii sprzeciwu” i „Wojny i wojny”.

Obywatel świata

„Nobla dobrze jest dostać około siedemdziesiątki” - żartował Ernest Hemingway, który sam dostał laur, mając 55 lat. „Człowiek nie ma wtedy zbyt wiele czasu na radykalne zmiany w życiu” - dodawał. László Krasznahorkai, rocznik 1954, wydaje się więc w odpowiednim Hemingwayowskim momencie do zbierania nagród i hołdów.

Szczególnie, że - jak twierdzi - nie naraził się jak dotąd żadnym wpływowym środowiskom politycznym i ideowym. Ceniony jest na Węgrzech, choć znany tam jest z niepochlebnych opinii na temat rodzimej polityki i społeczeństwa, lubią i nagradzają go liberalne kręgi Zachodu, ale czytają i wydają go także na Wschodzie. Z jednej strony chwaliła go przed laty Susan Sontag, wysławiał Allen Ginsberg, teraz oficjalną radość z jego triumfu wyraził Viktor Orbán.

Być może sprawia to tematyka pisarstwa Krasznahorkaia, oscylująca wokół „egzystencjalnej melancholii”. Melancholia jest bowiem tą sferą bytu, która podoba się wszystkim. W wielu jego książkach pojawia się ona równie często co Nizina Węgierska, a błotnista puszcza w czas jesieni to wszak jeden z najbardziej melancholijnych pejzaży, jakie można sobie wyobrazić.

Z Europy Środkowej

W noblowskim CV pisarza czytamy, że urodził się 5 stycznia 1954 r. w Gyuli, niewielkiej miejscinie w południowo-wschodnich Węgrzech w komitacie Békés, liczącej dziś nieco ponad 30 tys. mieszkańców, i że jego dzieciństwo i młodość „przykrył cień komunistycznej dyktatury, co głęboko ukształtowało jego literacką wrażliwość”.

Można powiedzieć, że nie był odosobniony - podobne doświadczenie przeżyły dziesiątki milionów ludzi zza Żelaznej Kurliny, ale faktem jest, że niewielu przekuło to w literacki oręż. Krasznahorkai pytany o rodzinne miasto przypomniał, że miewało w historii epizody wzniosłe: np. przed wiekami jego burmistrzem był jeden z braci Dürerów, ale akurat nie ten od słynnych drzeworytów.

Jego twórczość, czytamy dalej, „nasycona dystopijnymi wizjami, melancholią i apokaliptycznymi lękami”, odzwierciedla nie tylko trudną historię Węgier, ale także „uniwersalne pytania o kruchość ludzkiej egzysten-

LITERACKIE WOJAZE LÁSZLÓ KRASZNAHORKAIA, MORALISTY Z WĘGIER

W czwartek na Węgrzech strzeliły szampany. Literackiego Nobla dostał László Krasznahorkai. Za - jak uzasadnili to Akademicy - „fascynującą i wizjonerską twórczość, która w obliczu apokaliptycznego terroru potwierdza siłę sztuki”

Mariusz Grabowski



Tegoroczny Nobel tylko potwierdza dobrą passę László Krasznahorkaia i sympatię u krytyków i czytelników

cji”. Słowem, to literatura, a właściwie moralistyka akuratna na nasze wielowymiarowe czasy.

Szukając węgierskiej duszy

W recenzji „Melancholii sprzeciwu”, jednej z kilku powieści pisarza wydanych w Polsce, Krzysztof Varga napisał: „Świat Krasznahorkaia to nie są Węgry gulaszu, czardasza, papryki, wiodoków z Budapesztu, tych wszystkich przyjemnych makatek dla zorganizowanych wycieczek. To są Węgry zapadłej prowincji, schyłkowego komunizmu, który wyprał mózgi swoim obywatelom, a reszty dokonała tania palinka”.

Ale sprowadzenie Krasznahorkaia do roli opisywacza i kronikarza zapomnianych przez wszystkich peryferiów jest cokolwiek mylące. Owszem, jego pisarstwo, wyróżniające się długimi, hipnotycznymi zdaniem, wciąga czytelnika w świat pełen

niepokoju i refleksji, ale zawiera też przebłyski optymizmu.

Choćby odwołania do postaci i twórczości Beli Hamvasa, węgierskiego filozofa i pisarza zajmującego się zagadnieniami metafizycznymi i estetycznymi, ale też wielkiego znawcy win, lekarstwa na „węgierską duszę”.

Z lewej w prawą

W kwartalniku „Tekstualia”, w nr 3 z 2013 r. opublikowano esej Krasznahorkaia „O prędkości”. Pokazuje precyzyjnie sposób narracji pisarza, stosowane przezeń chwyt literackie, kierunek myślenia. Zacytujmy fragment:

„Chcę prześcignąć Ziemię, wybiegam na łąkę przy moście nad potokiem, wybiegam za pańnikiem z leśnych ciemności, wybiegam z bramy na rogu dwunastej przecznicy i Avenue A, i chcę być szybszy niż Ziemia, w którąkolwiek stronę nie skierowałbym myśli, wszystko sprowadzało się

do jednego, rzuć wszystko i prześcignij Ziemię, więc wyruszyłem i zacząłem biec, i instynktownie dobrze zacząłem, bo nie obrałem kierunku na Wschód i na Południe, na Północ, ani pod żadnym kątem, ale na Zachód, i dobrze postąpiłem, właśnie tak, ponieważ Ziemia kręci się z lewej strony w prawą, czyli z Zachodu na Wschód, bo tak jest prawidłowo, bo tak właśnie jest, utwierdziłem się w pierwszej chwili w przekonaniu, przecież bez wątplenia wszystko obraca się z Zachodu na Wschód, dom, kuchnia o poranku, stół z filiżanką, filiżanka z herbatą parującą szmaragdowo i wijący się z niej ku gorze zapach, i każde źdźbło trawy na łące pokryte perłową poranną rosą, i pusty paśnik w leśnych ciemnościach, to wszystko w istocie porusza się z Zachodu na Wschód (...)” (przekład Joanny Wilczak).

Ten tekst, który zdaje się nigdy nie kończyć, ma przecinki, ale po-

zbawiony jest kropek. To celowy zabieg, ma oddawać pęd i gonitwę Krasznahorkaiowych myśli. Na Węgrzech krąży dowcip, że „jeśli jesteś starszy, to lepiej nawet nie zaczynaj czytać jego prozy”.

Podróże do Azji

Noblista kojarzony jest z środkowoeuropejską prowincją, ale on zdaje się być na równi zafascynowany Dalekim Wschodem. Już w 1990 r. pojechał do Azji. Zwiedził Mongolię, Chiny i Japonię (w tym ostatnim kraju, w Kioto mieszkał ponad pół roku). W powieściach bez trudu znaleźć można echa tamtych wojaży: kontemplacyjny ogląd świata, poszukiwanie równowagi, precyzyjnie wyważony ton.

Przykładowo jego „Góra na północy, jezioro na południu, ścieżki na zachodzie, rzeka na wschodzie” z 2022 r. opowiada o poszukiwaniu sekretnego ogrodu, a co za tym idzie traktująca o roli piękna i twórczości artystycznej w świecie wszechogarniającej ślepoty i przemijania.

To właśnie „Góre...” otwiera opis przypominający japońską akwarelę: śnieżnobiała czapla stoi nieruchomo na środku rzeki Kamo w Kioto, czekając na swoją ofiarę w wirujących poniżej wodach. Niewidoczny dla przechodzących obok ludzi ptak staje się nieuchwytnym symbolem artysty mierzącego się z rzeczywistością.

Kolekcjoner

Krasznahorkai bywa autoironiczny, czasem wręcz autosarkastyczny. W wywiadach pokpiwa, że bywa jednym z najczęściej nagradzanych współczesnych pisarzy. Faktycznie: już w 1993 r. otrzymał nagrodę dla najlepszej książki w Niemczech - Bestenliste-Preis - za „Melancholię sprzeciwu”, zaraz potem najważniejszą nagrodę państwową Węgier, czyli Nagrodę Kossutha; następnie został członkiem Digitális Irodalmi Akadémia; w 2008 r. profesorem Wolnego Uniwersytetu

Berlińskiego, a dwa lata później uhonorowano go w tym mieście Nagrodą Brücke Berlin. W listopadzie 2010 r. był także gościem 2. Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada w Krakowie. Idźmy dalej: w 2014 otrzymał America Award za całokształt twórczości, a z kolei w roku 2019 National Book Award w kategorii najlepsze tłumaczenie, które przygotowała Otilie Mulzet. Tegoroczny Nobel tylko potwierdza jego dobrą passę i sympatię wśród krytyków i czytelników.

Ale popularności przydaje mu także kino. Wspólnie ze swoim przyjacielem, reżyserem i scenarzystą Bélą Tarrem Krasznahorkai jest autorem kilku scenariuszy filmowych m.in. do adaptacji filmowej „Szatańskiego tanga”, powieści, która w 1985 r. utworzyła mu drogę literacki parnas.

„László Wędrowniczek”

Krasznahorkai to kolejny węgierski Noblista po Imre Kertész, który laur Akademii dostał w 2002 r. Wziąwszy pod uwagę, że Węgry liczą 9,5 mln mieszkańców statystyka wypada imponująco.

Na koncie pisarza widnieje oficjalnie 14 powieści, niektóre z nich wciąż pozostają nieprzetłumaczone z węgierskiego. Piśsze też eseje, miniopowiadania i scenariusze.

W latach 1974-1976 Krasznahorkai był studentem wydziałów prawa na uniwersytetach w Segedynie oraz Budapeszcie. Ostatecznie dyplom zdobył na wydziale humanistycznym Uniwersytetu Loránd Eötvösa w ramach specjalności „hungarystyczno-nauczycielskiej”. Pisarz ma trzy córki: Katę, Agnes i Emmę. Jego druga żona, Dorka Krasznahorkai (panieńskie: Dóra Kopcsányi) jest sinolodką i typografką. Od czasu upadku bloku wschodniego Krasznahorkai, czując się „obywatel świata”, wciąż zmienia miejsce zamieszkania. Na Węgrzech nazywają go „László Wędrowniczek”.

TEGOROCZNY NOBEL W MEDYCYNIE TO KLUCZ DO WALKI Z RAKIEM

Limfocyty T regulatorowe pozwalają zachować równowagę między obroną a autoagresją – mówi prof. Edyta Brzóska-Wójtowicz z Uniwersytetu Warszawskiego

Anita Czupryn



Mary Brunkow, Shimon Sakaguchi i Fred Ramsdell położyli fundamenty wiedzy o tym, jak działa układ odpornościowy

Zwykle, gdy słyszymy o Nagrodzie Nobla w medycynie, spodziewamy się przełomu w leczeniu. Tymczasem w tym roku wyróżniono badania czysto podstawowe, które dotyczą mechanizmu, w jaki nasz układ odpornościowy powstrzymuje się przed atakiem na samego siebie. Czy może pani profesor wytłumaczyć laikowi, na czym to odkrycie polega i dlaczego jest tak ważne, że zasłużyło na Nobla?

Faktycznie, w tym roku Nagroda Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny ma charakter fundamentalny, można wręcz powiedzieć, że to wyróżnienie o akademickim znaczeniu. Ale nie możemy zapominać, że trzej nagrodzeni badacze: Mary Brunkow, Shimon Sakaguchi i Fred Ramsdell położyli fundamenty naszej dzisiejszej wiedzy o tym, jak układ odpornościowy jest regulowany. Zanim dokonali swojego odkrycia, uważano, że główną rolę w regulacji odpowiedzi immunologicznej pełni przede wszystkim tzw. układ centralny, czyli grasica, gdzie dojrzewają limfocyty T. Natomiast ich badania pokazały, że istnieje jeszcze inny, niezwykle ważny mechanizm i właśnie on był dotąd niedoceniany. To tak zwane limfocyty T regulatorowe, czyli bohaterowie tegorocznej Nagrody Nobla. To one już na obwodzie naszego organizmu pilnują, by odpowiedź układu odpornościowego nie była zbyt silna, żeby nie przekroczyła granicy i nie zaczęła atakować naszych własnych komórek. Innymi słowy, stoją na straży samokontroli naszego układu odpornościowego. To odkrycie ma naprawdę podstawowe znaczenie, bo właśnie dzięki niemu możemy dziś opracowywać coraz bardziej precyzyjne immunoterapie i to w leczeniu chorób autoimmunologicznych, jak i nowotworowych. Bez zrozumienia roli limfocytów T regulatorowych wiele współczesnych terapii po prostu by nie istniało. Dlatego, choć te badania miały charakter podstawowy, ich konsekwencje są jak najbardziej praktyczne i bardzo ważne dla współczesnej medycyny.

Trójka tych naukowców pracowała nad tym mechanizmem od wielu lat. Shimon Sakaguchi już w latach 90. opisał limfocyty T regulatorowe, a Ramsdell i Brunkow odkryli później gen FoxP3, niezbędny dla ich prawidłowego działania. Jeśli ten gen jest uszkodzony, system odpornościowy traci zdolność samokontroli. Czyli to nie jest odkrycie ostatnich lat, prawda?

Komitet Noblowski w tym roku zdecydował się wyróżnić odkrycie, które faktycznie ma już swoją historię i bardzo

ugruntowaną pozycję. My tę wiedzę już oswoiliśmy, dlatego wielu osobom może się wydawać zaskakujące, że to właśnie te badania zostały uhonorowane Nagrodą Nobla. Ale jeśli przyjrzymy się temu uważniej, to naprawdę jest to odkrycie, które zmieniło nasze myślenie o układzie odpornościowym. Odkrycie roli limfocytów T regulatorowych pozwoliło dostrzec mechanizmy kontroli, równowagi i tolerancji wobec własnych tkanek. I to właśnie ta równowaga między aktywnością a hamowaniem reakcji odpornościowej jest kluczem do naszego zdrowia. Gdy system traci zdolność samokontroli, rozwijają się choroby autoimmunologiczne, a gdy działa zbyt słabo, to otwiera się droga dla nowotworów czy infekcji.

Dlaczego to jest ważne, że tegoroczna Nagroda Nobla z medycyny bardziej dotyczy zmiany sposobu myślenia o układzie odpornościowym niż gotowych terapii.

Odkrycie tegorocznych laureatów jest niezwykle istotne właśnie dlatego, że stało się podstawą dla całego szeregu badań klinicznych. W tej chwili terapie z wykorzystaniem limfocytów T regulatorowych nie są jeszcze stosowane rutynowo w praktyce klinicznej. Ale obecnie toczy się ponad 200 badań klinicznych na świecie, które analizują możliwości wykorzystania tych komórek w leczeniu różnych chorób. Mówimy tu o chorobach, z którymi medycyna do tej pory radziła sobie słabo lub wcale. To choroby autoimmunologiczne, takie jak cukrzyca typu 1, reumatoidalne zapalenie stawów, stwardnienie rozsiane czy choroba Crohna.

Hashimoto także?

Hashimoto również należy do tej grupy. To schorzenia, w których układ odpornościowy błędnie atakuje własne tkanki, a my dotąd potrafiliśmy jedynie łagodzić objawy, nie rozwiązując przyczyny. Te

badania są ważne, bo dają nadzieję, że w przyszłości będziemy mogli wpływać na sam mechanizm choroby, a nie tylko na jej skutki.

To oznacza, że wkrótce poradzimy sobie z tymi chorobami?

Nie mam prostej odpowiedzi na pani pytanie; nauka też nie daje prostych odpowiedzi. Badacze zwykle są bardzo ostrożni w formułowaniu zbyt optymistycznych wniosków. Dlatego zachowując ten naukowy dystans, mogę powiedzieć, że mam nadzieję, iż tak właśnie będzie; że uda się te choroby skuteczniej leczyć. Ale ostatecznie wszystko zależy od wyników badań klinicznych, na które musimy jeszcze poczekać.

Po pandemii jesteśmy chyba trochę bardziej wyedukowani, jeśli chodzi o odporność, a już na pewno układ

odpornościowy kojarzy nam się głównie ze zwalczaniem wirusów czy bakterii. Tymczasem w przypadku odkryć tegorocznych laureatów eksperci mówią o tzw. tolerancji układu odpornościowego. Czy to znaczy, że Komisja Noblowska nagrodziła sztukę powstrzymywania się od zwalczania wirusów?

Może nie tyle sztukę powstrzymywania się od walki z wirusami, ile sztukę zachowania równowagi. Układ odpornościowy to precyzyjny i złożony system, który musi pełnić dwie, pozornie sprzeczne funkcje jednocześnie. Z jednej strony ma za zadanie zwalczać wirusy, bakterie czy nieprawidłowe, zmienione nowotworowo komórki. Ale z drugiej strony ten sam układ nie może atakować własnych komórek organizmu. I właśnie w tej umiejętności odróżniania swojego od obcego ogromną rolę odgrywają

limfocyty T regulatorowe. Ich zadaniem jest hamowanie nadmiernej reakcji obronnej wtedy, gdy nie jest potrzebna. Dzięki nim układ odpornościowy nie niszczy naszych własnych tkanek. Oczywiście, limfocyty T regulatorowe nie są jedynym mechanizmem chroniącym organizm przed autoagresją; takich mechanizmów jest kilka, działających na różnych etapach odpowiedzi immunologicznej. Niemniej to właśnie te komórki pełnią kluczową rolę w procesie wyhamowywania reakcji obronnej w odpowiednim momencie, zanim stanie się ona destrukcyjna. Gdy limfocyty T regulatorowe nie działają prawidłowo albo jest ich za mało, to wtedy układ odpornościowy zaczyna błędnie atakować własne tkanki. Wówczas rozwijają się choroby autoimmunologiczne, jak stwardnienie rozsiane, cukrzyca typu 1 czy toczeń. Odkrycie tegorocznych laureatów Nobla pozwala zrozumieć, dlaczego tak się dzieje, skąd się bierze sytuacja, w której nasz własny układ odpornościowy zamiast chronić, zaczyna zwalczać nas samych. To zupełnie zmieniło sposób, w jaki myślimy o chorobach autoimmunologicznych.

Czy nowotwory nie wykorzystują tych samych mechanizmów, by ukrywać się przed układem odpornościowym

Dokładnie tak.

A zatem ta sama wiedza może nam pomóc i w walce z rakiem, i z chorobami autoimmunologicznymi?

Tak, można powiedzieć, że limfocyty T regulatorowe mają podwójne oblicze. Z jednej strony chronią nas przed autoagresją, czyli przed niszczeniem własnych tkanek, ale z drugiej strony mogą też, niestety, sprzyjać rozwojowi nowotworów. W obrębie guza często obserwuje się dużą liczbę tych komórek, a ich obecność nie jest korzystnym sygnałem. Dlaczego? Ponieważ limfocyty T regulatorowe, pełniąc swoją funkcję hamulca, mogą nadmiernie tłumić aktywność innych komórek odpornościowych, które w normalnych warunkach powinny rozpoznać i zniszczyć komórki nowotworowe. W efekcie nowotwór może się jak gdyby ukryć przed układem odpornościowym i swobodnie rosnąć. Z tego powodu wiedza o mechanizmach działania limfocytów T regulatorowych ma ogromne znaczenie zarówno dla leczenia chorób autoimmunologicznych, jak i onkologii. W pierwszym przypadku chcemy wzmocnić ich aktywność, by układ odpornościowy przestał atakować własne tkanki. W drugim, przeciwnie, staramy się czasowo osłabić ich działanie, aby nie bloko-

wały odpowiedzi immunologicznej przeciwko nowotworowi.

Jeśli od dwóch dekad znamy już limfocyty T regulatorowe oraz gen FoxP3, to dlaczego do tej pory ta wiedza nie przełożyła się jeszcze na masowe terapie? Czy powodem jest to, że nasz organizm jest po prostu znacznie bardziej skomplikowany, niż byśmy chcieli, i że w praktyce nie da się tak łatwo odkryć leku, który od razu będzie działał na konkretne choroby?

Dokładnie tak się dzieje. Regulacja układu odpornościowego to proces, w którym bierze udział ogromna liczba komórek, białek i sygnałów chemicznych. My często mamy ogromne oczekiwania wobec nauki. Chcielibyśmy, żeby odkrycie konkretnego genu czy mechanizmu natychmiast prowadziło do opracowania skutecznego leku. Trzeba pamiętać, że od odkrycia do terapii droga jest długa. Badania kliniczne w tej dziedzinie są skomplikowane i czasochłonne, wymagają wielu etapów weryfikacji, testów bezpieczeństwa, badań na dużych grupach pacjentów.

W tym kontekście 20 czy 30 lat, jakie minęły od odkrycia limfocytów T regulatorowych, to wcale nie jest tak długo. W historii medycyny wiele przełomowych terapii dojrzało właśnie przez tyle lat.

Czyli można powiedzieć, że ta Nagroda Nobla uczy nas cierpliwości w nauce?

Zdecydowanie. Uczy cierpliwości, ale też przypomina o czymś ważnym: o roli badań podstawowych. To właśnie badania podstawowe pozwalają nam zrozumieć mechanizmy działania organizmu, dzięki czemu możemy później budować konkretne zastosowania kliniczne. Tegoroczna Nagroda Nobla dobitnie pokazuje, że takie odkrycia otwierają drzwi do przyszłych terapii. Jest tu jeszcze jedna ważna rzecz: limfocyty T regulatorowe odgrywają istotną rolę również w transplantologii. Obecnie prowadzone są badania kliniczne nad możliwością wykorzystania ich do ochrony przeszczepionych narządów. Jeśli udałoby się opracować skuteczną terapię z ich udziałem, byłby to naprawdę ogromny przełom. Największym wyzwaniem w transplantologii jest reakcja odrzutu przeszczepu, czyli sytuacja, w której układ odpornościowy rozpoznaje nowy organ jako obcy i zaczyna go niszczyć. Limfocyty T regulatorowe mogłyby pomóc w utrzymaniu tej równowagi, pozwalając organizmowi zaakceptować przeszczep, a jednocześnie nie osłabiać całkowicie jego zdolności do obrony przed infekcjami.

NAGRODA NOBLA Z FIZYKI.

JAK DZIAŁA TUNELOWANIE KWANTOWE I DLACZEGO TO ZMIENIA NASZĄ WIZJĘ RZECZYWISTOŚCI

Prąd, który płynie jednocześnie w lewo i w prawo. Elektrony, które zachowują się jak jedna cząstka. To nie dzieje się w powieściach science fiction; za to przyznano tegoroczną Nagrodę Nobla z fizyki. O tym, dlaczego to odkrycie zmienia sposób, w jaki rozumiemy rzeczywistość – mówi fizyk, dr Grzegorz Łach z Uniwersytetu Warszawskiego

Anita Czupryn

Panie doktorze, zacznijmy najprościej, jak się da: za co dokładnie John Clarke, Michel H. Devoret i John M. Martinis otrzymali tegoroczną Nagrodę Nobla z fizyki?

Nagrodę przyznano za pokazanie, że pewne zjawiska kwantowe, w szczególności tak zwane zjawisko tunelowania kwantowego, mogą zachodzić także w układach makroskopowych. Jesteśmy przyzwyczajeni do tego, że zjawiska kwantowe dotyczą bardzo małych obiektów: pojedynczych cząstek czy atomów, gdzie są one łatwo zauważalne. Tutaj chodziło o coś zupełnie innego; o sprawdzenie, czy takie efekty można zaobserwować, a nawet wykorzystać w przypadku obiektów, które da się zobaczyć gołym okiem.

Zjawisko makroskopowego tunelowania kwantowego brzmi jak zaklęcie z Harry'ego Pottera. Gdyby miał Pan to wytłumaczyć po ludzku, na czym polega kwantyzacja energii? Czym ona właściwie jest?

Użyję takiej analogii: wyobraźmy sobie, że toczymy piłkę po stole przykrytym obrusem. Jeśli mamy lekką piłeczkę pingpongową i powierzchnia jest gładka, piłka toczy się swobodnie, ruchem jednostajnym. Ale teraz założymy, że na środku tego obrusa powstała fałdka, takie niewielkie wzniesienie. Jeśli piłeczka porusza się wystarczająco

szybko, przeskoczy przez tę fałdkę. Jeśli jednak będzie zbyt wolna, wtoczy się trochę na górkę i zaraz wróci, odbijając się od bariery. Taka jest nasza intuicja dla dużych obiektów i tak właśnie zachowuje się materia w świecie klasycznym. W świecie mikroskopowym sprawy wyglądają inaczej. Gdyby tą piłeczką był pojedynczy atom i stworzyliśmy mu podobną barierę, co współcześnie można zrobić, to okazałoby się, że nawet jeśli atom jest zbyt wolny, by przeskoczyć przez przeszkodę, to i tak istnieje pewne prawdopodobieństwo, że przeminie przez nią na drugą stronę. To właśnie nazywamy tunelowaniem kwantowym. Można to sobie wyobrazić tak, jakby cząstka „wydrążyła tunel” przez barierę, mimo że nie ma dość energii, by się na nią wspiąć. To zjawisko znamy teoretycznie od niemal stu lat, od początków mechaniki kwantowej. Eksperymentalnie potwierdzono je kilkadziesiąt lat temu dla pojedynczych cząstek. Ale wciąż nie obserwowaliśmy go w świecie dużych obiektów. Gdybyśmy faktycznie przeprowadzili eksperyment z tą piłeczką, to niezależnie od liczby prób, jeśli poruszałyby się zbyt wolno, nigdy nie przeszłyby na drugą stronę bariery. Pytanie brzmiało więc: czy da się skonstruować taki duży układ, w którym tunelowanie kwantowe można by za-

obserwować? I właśnie to pokazali naukowcy nagrodzeni tegorocznym Noblem. Udowodnili, że można zbudować elektroniczny układ, który zachowuje się kwantowo. To znaczy, że może on znajdować się jednocześnie w dwóch stanach; na przykład, w obwodzie może płynąć prąd zarówno zgodnie z ruchem wskazówek zegara, jak i przeciwnie do niego. Klasycznie wyobrażamy to sobie tak: prąd płynie albo w jedną, albo w drugą stronę. Ale w świecie kwantowym możliwa jest superpozycja, czyli stan, w którym płynie jednocześnie w obie strony. Układ znajduje się wtedy w dwóch stanach naraz. Dla fizyków atomowych czy optycznych to codzienność, ale w przypadku dużych obiektów to prawdziwa rzadkość.

A zatem nobliści zobaczyli świat kwantów gołym okiem? Okazało się, że to możliwe?

Tak. Rzeczywiście, same te obwody elektroniczne, które badali, a nawet poszczególne ich elementy, to obiekty, które można zobaczyć gołym okiem.

**CZĘSTO DOPIERO
Z PERSPEKTYWY CZASU
WIDAĆ, CZY DANE ODKRYCIE
NAPRAWDĘ BYŁO PRZEŁOMOWE**

kładnie te elementy, które występowały w układach elektronicznych skonstruowanych przez tegorocznych noblistów. Okazało się, że to, co oni pokazali w prostych eksperymentach laboratoryjnych, można przeskalować i stworzyć większy układ elektroniczny, zdolny wykonywać obliczenia oparte na tym samym zjawisku. Kilka lat temu jeden z nagrodzonych, najmłodszy z nich, John Martinis, pojawił się w doniesieniach medialnych jako twórca komputera kwantowego zbudowanego z 53 kubitów, czyli elementarnych jednostek informacji kwantowej. Według autorów tego projektu komputer wykonał obliczenie zbyt trudne dla jakiegokolwiek istniejącego superkomputera klasycznego. Później to doniesienie zostało nieco zniuansowane; okazało się, że przy odpowiednim wyśiłku również komputery klasyczne są w stanie przeprowadzić takie obliczenia. Ale mimo wszystko pokazało to, że kwantowe układy elektroniczne mają ogromny potencjał i mogą w przyszłości dokonywać rzeczy naprawdę niezwykłych. I właśnie teraz, z perspektywy ostatnich kilku lat, widać wyraźnie, że ta technologia może mieć ogromne znaczenie i dlatego dziś można już w pełni docenić wagę pracy noblistów.

Wróćmy jeszcze do tego, o czym mówił Pan wcześniej – że w świecie kwantowym energia zmienia się skokowo. Nie ma płynnych przejść, tylko coś w rodzaju przeskoków po drabinie?

Tak, drabina to bardzo dobra analogia. Najstarszy z nagrodzonych, John Clarke, był jednym z twórców tzw. SQUID-a, niezwykle czułego magnetometru opartego na zjawiskach kwantowych. Działa on w ten sposób, że mamy pętlę z prądem, wykonaną z materiału nadprzewodzącego. Możemy sobie wyobrazić, że jeśli wprowadzimy do niej prąd, to będzie on krążył w nieskończoność, mimo że nie jest zasilany z zewnątrz. Takie rozwiązania są dziś powszechnie stosowane, np. w urządzeniach do rezonansu magnetycznego w szpitalach. Ten magnes, do którego wsuwa się pacjenta, to właśnie długa pętla z prądem wykonana z materiału nadprzewodzącego, utrzymywana w bardzo niskiej temperaturze i tam prąd krąży bez przerwy, choć nie ma zasilania.

Dlatego pacjent nie może mieć na sobie nic metalowego, żadnej biżuterii?

Tak jest, ponieważ wewnątrz takiego urządzenia występuje bardzo silne pole magnetyczne. I teraz, pomyśl Johna Clarke'a polegał na tym, że jeśli w takim nadprzewodzącym obwodzie zrobimy małą szczelinę, to intuicyjnie mogłoby się wydawać, że prąd przestanie płynąć,

bo obwód jest przerwany. Tymczasem, jeśli ta szczelina będzie wystarczająco cienka, na tyle, by mogło w niej zajść tunelowanie kwantowe, czyli przenikanie przez barierę, to prąd wciąż będzie płynął. Będzie jednak płynął w sposób skwantowany, to znaczy, że jego wartość nie będzie mogła zmieniać się płynnie, tylko w małych porcjach, w tzw. kwantach prądu.

John Clarke powiedział też, że ich badania są podstawą działania np. telefonów komórkowych. Czy to znaczy, że mój smartfon działa dzięki fizyce kwantowej? Jak to możliwe, że prace z lat 80. mają dziś związek z naszymi codziennymi wynalazkami?

Rzeczywiście, telefon komórkowy wykorzystuje zjawiska kwantowe, ale nie te, które zostały nagrodzone Noblem. Wszystkie zjawiska, o których mówimy, zachodzą w obwodach nadprzewodzących. Oczywiście, istnieje nadzieja, że w przyszłości uda się stworzyć nadprzewodniki działające w temperaturze pokojowej, ale na razie wszystkie wymagają chłodzenia przynajmniej do temperatury ciekłego azotu. A zatem odkrycia nagrodzone Noblem dotyczą wciąż głównie warunków laboratoryjnych, bo potrzebują chłodzenia i bardzo niskich temperatur. Nie są to jeszcze rzeczy, które można by spotkać w domowych urządzeniach. Natomiast faktem jest, że każdy telefon komórkowy wykorzystuje zjawiska kwantowe, tyle że te mikroskopowe, nie makroskopowe. Działanie pojedynczego tranzystora, który jest podstawowym elementem układów scalonych, wynika z praw mechaniki kwantowej. A w każdym telefonie takich tranzystorów mamy setki milionów, a często nawet miliardy.

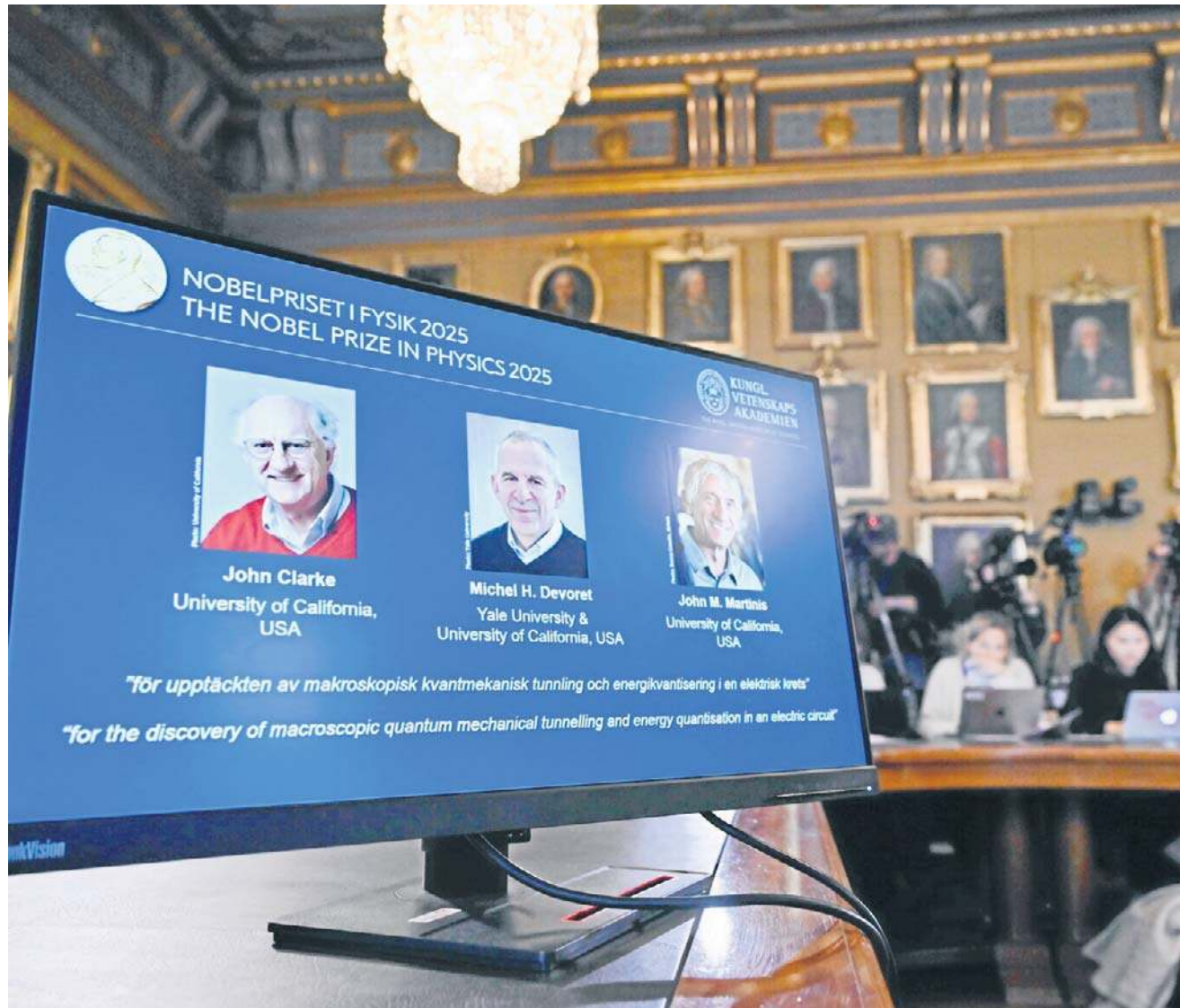
Jak daleko jesteśmy od momentu, kiedy technologie kwantowe staną się naszą codziennością?

Trudno powiedzieć. Postęp w obliczeniach kwantowych jest dziś szybki i dość systematyczny, ale nie sposób przewidzieć, kiedy osiągnie poziom praktycznego zastosowania; czy stanie się to za pięć, dziesięć, czy dwadzieścia lat. Nie wiemy też, czy po drodze nie pojawią się przeszkody, których dziś nie potrafimy przewidzieć. Natomiast pewne aspekty fizyki kwantowej już dziś wykorzystujemy w praktyce. Nie dotyczą one bezpośrednio tegorocznych odkryć, ale wcześniejszych prac Johna Clarke'a. Myślę, że w pewnym sensie ta Nagroda Nobla jest również hołdem dla tamtych badań – nad stworzeniem superczułych kwantowych magnetometrów, czyli czujników pola magnetycznego. Są one tak czułe, że jeśli umieścimy je w pobliżu

głowy człowieka, potrafią rejestrować zmienne pole magnetyczne pochodzące od impulsów elektrycznych w mózgu. Można więc wyobrazić sobie, że otaczamy głowę zestawem takich czujników i obserwujemy na bieżąco, które części mózgu są bardziej aktywne, a które mniej. Ta technika, zwana magnetoencefalografią, jest nieco podobna do elektroencefalografii, którą znamy z medycyny, ale z tą różnicą, że pole magnetyczne przenika przez czaszkę i skórę bez przeszkód, dzięki czemu uzyskujemy lepszy wgląd w to, co dzieje się wewnątrz mózgu. W kontekście diagnostyki medycznej można więc powiedzieć, że konsekwencje tych odkryć, jeśli nie trafiły jeszcze pod nasze dachy, to na pewno trafiły już pod dachy szpitali.

Oprócz medycyny, w czym jeszcze fizyka kwantowa może nam pomóc? Czy można ją wykorzystać do ochrony klimatu albo bezpieczeństwa danych?

Zjawiska kwantowe są już dziś powszechnie wykorzystywane, korzystamy z nich na co dzień, często nawet o tym nie wiedząc. Przykładem jest działanie nawigacji satelitarnej. Gdy wyciągamy telefon i sprawdzamy, jak gdzieś dojechać, urządzenie odbiera sygnał z satelitów nawigacyjnych rozmieszczonych wokół Ziemi. Cały ten system nie działałby, gdyby nie niezwykle precyzyjne zegary umieszczone na satelitach – tzw. zegary atomowe. A one właśnie działają w oparciu o zjawiska kwantowe. To dziedzina, w której w ostatnich latach dokonał się ogromny postęp. Powiem szczerze, że wraz z koleżankami i kolegami fizykami typowaliśmy, że właśnie skonstruowanie nowej generacji zegarów atomowych może zostać kiedyś nagrodzone Noblem – bo to rzeczywiście przełom. To już technologia praktycznie stosowana. Inny obszar, w którym zjawiska kwantowe odgrywają bardzo ważną rolę, to wszelkie zjawiska związane z oddziaływaniem między materią a światłem, na przykład przy tworzeniu nowych ogniw fotowoltaicznych. Dziś wygląda to tak, że większość nowych materiałów dla fotowoltaiki najpierw powstaje w teorii; projektuje się je w komputerze, analizuje ich właściwości i dopiero później przeprowadza syntezę w laboratorium, sprawdzając, jak działają w praktyce. Jeśli wyniki są obiecujące, dopiero wtedy technologię przenosi się na skalę przemysłową. Podobnie jest z nowymi sposobami przechowywania energii, nowymi akumulatorami i bateriami. Większość współczesnych technologii magazynowania energii opiera się na tzw. nanoarchitekturze lub architekturze molekularnej, czyli bardzo precyzyjnym projektowa-



dr Grzegorz Łach: W kontekście diagnostyki medycznej można więc powiedzieć, że konsekwencje tych odkryć, jeśli nie trafiły jeszcze pod nasze dachy, to na pewno trafiły już pod dachy szpitali

niu struktury materiału na poziomie atomowym.

Czy te odkrycia przybliżają nas do odpowiedzi na stare pytania filozofów: czym jest rzeczywistość, czym jest materia i czas?

To bardzo ciekawe pytanie, bo mechanika kwantowa od samego początku, co może nie było oczywiste w pierwszych latach, ale bardzo szybko stało się jasne, stawia niezwykle poważne pytania filozoficzne. Dotyczą one właśnie tego, co jest rzeczywiste, a co zależne od kontekstu; co jest naszym wrażeniem, a co właściwością samego obiektu; czy to, co mierzymy, jest cechą rzeczy, czy raczej efektem działania naszego urządzenia pomiarowego. To są niezwykle fascynujące pytania. Ten sposób myślenia i kierunek badań bardzo się rozwinął. Oczywiście można powiedzieć: „to niech się tym zajmują fizycy”, i tak długo można myśleć, dopóki dotyczy to zjawisk mikroskopowych, pojedynczych atomów. Ale jeśli zaczynamy konstruować makroskopowe obiekty, które można wziąć do ręki, a które nadal wykazują własności kwantowe, to nagle okazuje się, że trzeba te pytania zadać na nowo. Bo jeśli mówimy, że taki układ, jak ten nagrodzony Noblem, może znajdować się w stanie, w którym prąd jednocześnie płynie w lewo i w prawo, to czy to na-

prawdę oznacza, że naprawdę płynie jednocześnie w obie strony? Czy może istnieje jakaś głębsza warstwa rzeczywistości, coś, co fizycy nazywają parametrami ukrytymi, do których nie mamy dostępu, a co byłoby tym, co naprawdę istnieje? To są niezwykle ciekawe pytania. Duże nadzieje wiąże też z kierunkiem badań, który wykręć. I wtedy można by zadać pytanie: czy to pole grawitacyjne również będzie w stanie superpozycji kwantowej? Na to pytanie dziś nikt nie zna odpowiedzi. Nie wiemy nawet, czy grawitacja w ogóle jest zjawiskiem kwantowym. To jedno z najważniejszych otwartych pytań współczesnej fizyki. Gdyby udało się stworzyć taki układ i przeprowadzić eksperyment, w którym obiekt w stanie superpozycji miałby jednocześnie dwa różne pola grawitacyjne, to byłoby coś absolutnie przełomowego. To postawiłoby nas pod ścianą i zmusiłoby do fundamentalnej odpowie-

dzi: jak naprawdę działa grawitacja i czym jest rzeczywistość.

Richard Feynman żartował, że nikt nie rozumie mechaniki kwantowej. Ale pan jest fizykiem, więc o to nie zapytam. Spyta natomiast o to, co w fizyce wciąż pana zachwyca albo zaskakuje?

Och, jest mnóstwo takich rzeczy i to oczywiście bardzo subiektywne. Każdy fizyk odpowiedziałby pewnie trochę inaczej. Ja wskazałbym dwie. Pierwsza to dla mnie absolutnie fascynująca zdolność przewidywania. To, że możemy coś obliczyć teoretycznie, a potem wykonać pomiar i to się zgadza. Oczywiście jeszcze bardziej lubię sytuację, gdy się nie zgadza – ale najczęściej jednak się zgadza. Bo kiedy się nie zgadza, to zwykle okazuje się, że ktoś popełnił prosty błąd. I to jest niesamowite – pokazuje potęgę ludzkiego umysłu nad materią, to, jak wiele jesteśmy w stanie osiągnąć, po prostu intensywnie myśląc. Druga rzecz, która mnie zachwyca, to zjawiska kolektywne; sytuacje, w których mamy bardzo wiele elementów składowych, a mimo to cały układ zachowuje się jak jeden organizm. To zresztą ma związek z Noblem: w badanych układach elektronicznych poruszały się miliardy miliardów elektronów, i to nie tak, że każdy z nich robił coś osobno.

zjawiska kolektywne obserwujemy w wielu dziedzinach, nie tylko w fizyce, ale też na przykład w biologii.

Również w naukach o społeczeństwie, w socjologii?

Absolutnie. Czasami rozmawiam z przyjaciółmi, którzy zajmują się bardzo różnymi dziedzinami nauki i coraz częściej pojawia się pogląd, że fizyka to już nie tyle przedmiot badań, ile sposób badania świata. Jest pewnym sposobem myślenia. Ten sposób, jak myślał fizycy, ma swoje charakterystyczne cechy, z których sami czasem żartujemy. Staramy się tworzyć jak najprostszy model, który uchwyci istotę zjawiska. Badamy ten prosty model, analizujemy jego konsekwencje, a potem sprawdzamy, jak dobrze opisuje on rzeczywisty, bardzo złożony świat, w którym pominieliśmy całą masę szczegółów. Tradycyjnie fizycy stosowali to podejście do badania elektronów w metalu czy atomów w świetle lasera. Ale moi koledzy i koleżanki wykorzystują je dziś do bardzo różnych zjawisk, na przykład do badania, w jaki sposób woda łączy się w skałach jaskinie, albo jak ludzie dokonują wyborów, głosując w wyborach. Więc jak najbardziej taki fizyczny sposób myślenia można stosować także do zjawisk społecznych. W tym przypadku nasz układ to nie elektrony w nadprzewodniku, ale ludzie w społeczeństwie. Oczywiście, w przeciwieństwie do elektronów, każdy człowiek jest trochę inny, a oddziaływania między nimi są o wiele bardziej skomplikowane. Ale być może również tutaj da się dostrzec pewne prawidłowości, które można opisać ilościowo.



Czynne w każdą NIEDZIELĘ niektóre sklepy **CM ELEGANCJA** Aleja Katowicka 51, Nadarzyn tel. 22 739 55 00

– Pedagogika nie polega na narzucaniu swojej wizji artystycznej. Rolą pedagoga jest pomóc młodym pianistom w odnalezieniu własnej drogi i ośmielić ich, by byli sobą w muzyce – mówi pianistka prof. Joanna Ławrynowicz-Just, która przygotowywała trzech polskich kandydatów do Konkursu Chopinowskiego

Anita Czapryn



Prof. Joanna Ławrynowicz-Just: Nasza polska reprezentacja skupia bardzo różne osobowości pianistyczne, pochodzące z rozmaitych ośrodków, kształcone przez różnych pedagogów, o odmiennych temperamentach i wrażliwości. Z ciekawością obserwuję, jak się rozwijają

PROF. ŁAWRYNOWICZ-JUST: SWOBODA NA SCENIE JEST NIEZBEDNA, BY MÓC NAPRAWDĘ PRZEKONUJĄCO KREOWAĆ FRAZĘ MUZYCZNĄ

Z jakimi uczuciami ogląda Pani Konkurs Chopinowski? Świat fortepianu jest mi niezwykle bliski. Konkurs Chopinowski to dla środowiska pianistów prawdziwe święto muzyki, które odbywa się raz na pięć lat i na które wszyscy czekają z ogromnym wzruszeniem. To wyjątkowy czas; na uczelni praktycznie nie odbywają się regularne zajęcia,

ponieważ Uniwersytet Muzyczny Fryderyka Chopina, będąc współorganizatorem konkursu, udostępnia sale do ćwiczenia uczestnikom. Pedagodzy i studenci żyją konkursem. Wszyscy czekamy na każdą interpretację, z ciekawością słuchając, jak nasze dobro narodowe brzmi pod palcami pianistów reprezentujących najróżniejsze kręgi kulturowe.

W tym roku naszym dobrem narodowym są młodzi polscy pianiści; słyszeliśmy, jak grali między innymi Mateusz Dubiel, bracia Wiercińscy czy Jan Widlarz. Jak Pani odbiera ich występy? Polska ekipa jest bardzo dobrze przygotowana i złożona z ciekawych osobowości artystycznych. Warto pamiętać, że to osoby starannie wyselekcjo-

nowane; w tej edycji konkursu padł rekord liczby zgłoszeń, 640 aplikacji z całego świata. Do głównego konkursu zakwalifikowało się 85 pianistów, a więc tylko ci, którzy przeszli przez niezwykle wymagające eliminacje. Niektórzy uczestnicy to też laureaci prestiżowych konkursów pianistycznych, którzy dzięki zdobytym nagrodom uzyskali

prawo startu w Konkursie Chopinowskim z pominięciem eliminacji. Nasza polska reprezentacja skupia bardzo różne osobowości pianistyczne, pochodzące z rozmaitych ośrodków, kształcone przez różnych pedagogów, o odmiennych temperamentach i wrażliwości. Z ciekawością obserwuję, jak się rozwijają. Wielu z nich startuje w konkursie po raz

drugi, a są tacy, którzy próbują swoich sił po raz trzeci.

Eksperci zwracają uwagę na naturalność i swobodę gry u wielu pianistów. Czy takie cechy można wypracować, czy raczej trzeba je mieć w sobie od początku?

Swoboda na scenie jest niezbędna, by móc naprawdę przekonująco kreować frazę muzyczną. Oczywiście jest to efekt wielogodzinnej pracy nad warsztatem pianistycznym, ale też nad interpretacją. Ta wypracowana interpretacja później, w konkretnej chwili na scenie, ożywa i staje się niepowtarzalna. W danym dniu, o danej godzinie, właśnie taka, a nie inna. Trzeba jednak pamiętać, że warunki konkursowe są bardzo szczególne. Trudno całkowicie wyrzucić z głowy świadomość, że bierze się udział w konkursie, że jest się ocenianym i porównywanym. Idealnie byłoby, gdyby pianista mógł poczuć się jak na koncercie, myślę że tylko części uczestników rzeczywiście się to udaje.

Niektórzy komentatorzy porównują polskich pianistów do młodego Chopina. Czy to, Pani zdaniem, piękny komplement czy ryzykowne porównanie?

Uważam, że powinniśmy właśnie do tego dążyć. To, co stanowi nasze największe dziedzictwo i mówię tu o całym środowisku muzycznym w Polsce, to konieczność pielęgnowania tradycji chopinowskiej. Bo jeśli nie my, to kto ma być wierny tekstowi kompozytora i jego zasadom interpretacji? Na szczęście, mimo że od śmierci Fryderyka Chopina minęło już wiele lat, mamy ciągle jeszcze wzbogacający się o nowe odkrycia i uzupełniany materiał źródłowy: listy samego kompozytora, wspomnienia jego uczniów, przyjaciół, pamiętniki. Wiemy, jak Chopin grał i jakiej interpretacji swoich utworów oczekiwał. Mamy też dwa fundamentalne wydania jego dzieł: wydanie Paderewskiego oraz Narodowe Wydanie prof. Ekiera, opatrzone obszernym komentarzem wykonawczym. Dlatego naszym obowiązkiem, jako polskich pianistów, jest znać tę tradycję i świadomie ją pielęgnować.

Występy polskich artystów określa się też mianem powrotu do polskiej szkoły chopinowskiej. Czy Pani zdaniem taka szkoła wciąż istnieje? Czym się wyróżnia na tle pianistów z Azji czy Ameryki? Różni nas sposób myślenia o Chopinie, temperament sceniczny?

Pojęcie tak zwanych szkół pianistycznych, polskiej, niemieckiej, francuskiej czy rosyjskiej, wywodzi się z XX wieku. Dziś te granice bardzo się za-

FOT. WOJCIECH GRZEZDZIŃSKI/NIFC

cierają. Pianiści i pedagodzy podróżują po całym świecie, w efekcie tradycje szkół przenikają się. Ścieranie się różnych sposobów rozumienia estetyki chopinowskiej i różnych sposobów gry na instrumencie daje wspaniałe, niepowtarzalne interpretacje.

Polacy grają u siebie, a to ogromny przywilej, ale z drugiej strony też presja. Pani zdaniem łatwiej czy trudniej gra się przed własną publicznością?

Publiczność to jeden z najpiękniejszych elementów Konkursu Chopinowskiego. Potrafi reagować niezwykle żywiołowo na wykonawców, którzy ją poruszają, wzbudzają sympatię albo skłaniają do refleksji. To wspaniałe, ale dla polskich pianistów wiąże się też z ogromnym ciężarem oczekiwań. Trudna jest świadomość, że obserwuje ich oprócz publiczności, całe środowisko muzyczne. Młodzi artyści z pewnością mają to gdzieś z tyłu głowy. Dlatego tak ważne jest, by potrafili odciąć się od wszystkiego, co zewnętrzne: od mediów społecznościowych, komentarzy, opinii. To są bardzo wrażliwi ludzie, a presja dziś jest większa niż dwadzieścia lat temu. Występ konkursowy to już nie tylko gra na żywo. Oznacza transmisję internetową, radiową, telewizyjną. Interpretacje trafiają do sieci i zostają tam właściwie na zawsze. Internet jest jak bezdenne studnia, nic z niego nie znika. Świadomość, że wszystko zostaje zarejestrowane i może być wielokrotnie odtwarzane, na pewno nie pomaga. Najlepiej, jeśli artysta potrafi stworzyć sobie własny świat, skupić się tylko na muzyce, na tym, co chce przekazać, z poczuciem misji i sensu przekazu.

Jak wygląda przygotowanie młodego pianisty do Konkursu Chopinowskiego? Miejsiace, lata czy całe życie ćwiczeń?

To całe lata bardzo intensywnej pracy i to nie tylko nad repertuarem chopinowskim. Pianista nie może zamykać się w jednym obszarze. Od najmłodszych lat musi się wszechstronnie rozwijać. Przygotowanie do tak dużego konkursu oznacza opanowanie ogromnego repertuaru. Jest to też wyzwanie psychiczne i fizyczne. Konkurs trwa przecież trzy tygodnie, trzeba utrzymać świeżość

umysłu, dbać o kondycję i o zdrowie, by się nie przeziębici i nie osłabić organizmu. To również ogromny wysiłek mentalny. Pianiści, którzy biorą udział w konkursie po raz kolejny, mają już doświadczenie. Najtrudniej jest tym młodym, którzy startują po raz pierwszy i muszą zetrknąć się z całym tym światem medialnym: wywiadami, kamerami, transmisjami online. Tego też trzeba się nauczyć. Z kolei dojrzewanie muzyczne, pogłębianie interpretacji, zrozumienie tekstu to proces, który trwa latami. Młody człowiek, oczywiście pod opieką pedagoga, ale też poprzez własne poszukiwania, uczy się rozumieć znaczenie każdego akcentu, każdej kropki czy kreski w nutach. Pomagają mu w tym lektury: listy Chopina, wspomnienia jego uczniów, książki o pianistach i dla pianistów, ale także te o ekspresji scenicznej i wszystkie, które rozwijają wrażliwość. To ogromna kopalnia wiedzy, z której artysta czerpie, by dojść do momentu, w którym może powiedzieć: „Tak, teraz jestem gotowy podzielić się swoją artystyczną prawdą”. A trzeba pamiętać, że interpretacje dojrzejają i zmieniają się przez całe życie.

Na czym polega największe wyzwanie w pracy pedagoga? Technika, interpretacja czy przygotowanie psychiczne ucznia na stres?

Każdy pedagog ma swoją własną, wypracowaną przez lata estetykę muzyczną. Najważniejsze jest jednak, by potrafił ją przekazać w taki sposób, który pomaga zrozumieć zapis chopinowski, ale nie przytłacza osobowości ucznia. Nie chodzi o to, by kształtować kopistów własnych interpretacji, tylko by wspierać rodzącą się wrażliwość artystyczną młodego pianisty. Pedagog powinien pomóc, inspirować, towarzyszyć, ale nie przeszkadzać. Największą sztuką jest pozwolić młodemu artyście, by był sobą w muzyce i miał z tego prawdziwą satysfakcję.

Czego szuka się w interpretacji Chopina? Chodzi o wierność tradycji czy o to, by pianista miał własny głos i emocje, które przenoszą się na publiczność?

Zawsze wychodzę od bardzo wnikliwej pracy z tekstem. Szczegółowo analizujemy wszystko, co jest zapisane

w nutach, każdy, nawet najmniejszy niuans interpretacyjny, który budzi naszą refleksję. Zastanawiamy się, czy dany zapis muzyczny rzeczywiście może być zrealizowany w taki, a nie inny sposób. Dyskutujemy o znaczeniu akcentów, o zależnościach między tonacją, tempem i fakturą utworu, o dynamice. Nawet proste określenia dynamiczne jak piano czy forte, nie są jednoznaczne. Nie używając na co dzień języka włoskiego, często je splaszczamy, rozumiemy zbyt dosłownie: że piano to po prostu „cicho”. Tymczasem po włosku piano oznacza również „spokój” albo „płaski” jak horyzont. To słowo może mieć wiele znaczeń; w zależności od kontekstu potrafi znaczyć coś zupełnie innego; inne w walcu, inne w balladzie, jeszcze inne w nokturnie czy w etiudzie o wirtuozowskim charakterze. Zawsze staramy się więc zrozumieć oznaczenia muzyczne, ale i cały kontekst powstania utworu, myśli, które towarzyszyły kompozytorowi, okoliczności, emocje. Wszystko to analizujemy po to, by znaleźć interpretację właściwą dla konkretnego utworu, w oparciu o typ wrażliwości pianisty, ale też jego rodzaju techniki fortepianowej. Każdy pianista reaguje inaczej, ma inny sposób odczuwania, inną reaktywność końcówek palców, odmiennie słyszy. Chopinowskie bel canto, czyli poszukiwanie śpiewności na instrumencie wymaga, by fortepian, instrument perkusyjny z natury, zabrzmiał jak ludzki głos. To właśnie była najważniejsza idea Chopina. Każdy pedagog ma oczywiście swoją metodę, ale to tylko punkt wyjścia. Nigdy cel. Metoda musi być dopasowana do konkretnego człowieka, jego sposobu postrzegania świata, rozumienia muzyki. I to, moim zdaniem, jest najważniejsza cecha pedagoga: umiejętność dostosowania się do ucznia, by pomóc mu odnaleźć własną drogę.

Kiedy Pani o tym mówi, wiadać, jak głęboki wymiar ma granie Chopina. Konkurs Chopinowski bywa nazywany najtrudniejszym konkursem pianistycznym na świecie. Młodych pianistów trzeba czasem namawiać do udziału, czy marzą o tym od początku swojej muzycznej drogi?

Rzadko się zdarza, by trzeba było kogokolwiek namawiać, zwłaszcza w Polsce. Młodzi ludzie, którzy naprawdę kochają muzykę i chcą się rozwijać technicznie, często od samego początku marzą o udziale w Konkursie Chopinowskim. Oczywiście bywa, że ktoś w trakcie nauki odkrywa, że Chopin to nie jest kompozytor, w którym czuje się najlepiej. Że bliższy jest mu Schubert, Mozart, Prokofiew, inny świat

KAŻDY CZŁOWIEK, NIEZALEŻNIE OD JĘZYKA CZY TRADYCJI, CZUJE TO SAMO. I MYŚLĘ, ŻE W TYM TKWI TAJEMNICA I NAJWIĘKSZA TRUDNOŚĆ MUZYKI CHOPINA

emocji i estetyki. To całkowicie naturalne. Natomiast trudność Konkursu Chopinowskiego nie polega na ilości repertuaru, są przecież konkursy z szerszym zakresem utworów. Trudność tkwi w jego monograficzności. Granie wyłączanie Chopina przez trzy tygodnie wymaga ogromnej wrażliwości emocjonalnej i olbrzymiej ekspresji. Młody człowiek, który przez wiele miesięcy żyje w stanie takiego emocjonalnego napięcia, może się po prostu poczuć tym zmęczony. I to jest prawdziwe wyzwanie, by umieć te emocje równoważyć. Każdy pianista radzi sobie z tym inaczej: jedni sięgają po Bacha czy Mozarta, którzy oczyszczają emocje, inni medytują, uprawiają jogę, sport. Sposobów jest wiele. Jedno jednak pozostaje pewne: Chopin emocjonalnie głęboko eksploatuje.

Dziennikarze często pytają, czy młodzi pianiści potrafią jeszcze odkrywać Chopina na nowo. Czy dziś można go jeszcze reinterpretować? I czy w tegorocznym konkursie wiadać takie osobowości?

Myślę, że różnorodność interpretacji Chopina jest nieograniczona. I nie jest to wyłącznie kwestia indywidualnej wrażliwości. Ogromne znaczenie mają także okoliczności występu: pora dnia, kondycja psychofizyczna pianisty, jego nastrój. Czy danego dnia jest bardziej refleksyjny, czy pełen energii? Czy chce podzielić się z publicznością jakąś szczególną myślą? Czy to dobry czas w jego życiu, czy trudniejszy? To wszystko wpływa na interpretację. Artyści bardzo głęboko pracują ze swoją emocjonalnością, a ich wrażliwość nieustannie się rozwija. Dlatego nawet ten sam pianista nigdy nie zagra utworu dwa razy tak samo. U artystów obdarzonych silną, wielobarwną osobowością każdy występ jest nowym światem, nową opowieścią. I muszę przyznać, że w tym roku takich osobowości w Konkursie Chopinowskim jest naprawdę sporo.

Jakie emocje towarzyszą Pani, kiedy to Pani uczeń wychodzi na scenę Filharmonii Narodowej?

To jest ten moment, w którym nie mogę mu już w żaden sposób pomóc. Pojawia się więc pewne poczucie bezsilności, a zarazem konieczność zachowania spokoju. Staram się za-

chować odpowiedni dystans, by móc wysłuchać występu i ocenić go możliwie obiektywnie, choć obiektywizm w takiej chwili jest niezwykle trudny. Mam przecież w pamięci całą drogę, którą przeszliśmy razem: wiem, jak grał rok temu, pięć lat temu, w jakich okolicznościach się rozwijał. To zawsze rezultat długiego procesu, pedagogicznego i ludzkiego. Obserwuję, jak ten młody człowiek dojrzewa, jak zmienia się jego życie, jego emocjonalność. To piękny, ale i trudny moment. Zostaje sam na scenie, z którą musi sobie poradzić.

Wierzy Pani, że konkursy muzyczne to najlepsza droga do odkrycia prawdziwego talentu?

Nie. Uważam, że konkursy muzyczne są przede wszystkim wspaniałą okazją, by młody pianista w danym momencie swojego życia mógł wznieść się na wyżyny swojego talentu i umiejętności. Ogrom przygotowań, stres, praca nad sobą, nad własną mentalnością, nad opanowaniem tremy, nad doskonałaniem warsztatu i interpretacji, to wszystko czyni ten proces niepowtarzalnym. Myślę, że trudno o silniejszą motywację do rozwoju. Ale sam konkurs nie jest gwarancją sukcesu. Znam laureatów Konkursu Chopinowskiego, którzy dziś nie koncertują albo nie zrobili wielkiej kariery. I odwrotnie, są pianiści, którzy odpadli na wcześniejszych etapach, a dziś odnoszą sukcesy, są zapraszani na prestiżowe koncerty, świetnie funkcjonują w życiu artystycznym. Zwycięstwo w Konkursie Chopinowskim otwiera drzwi, daje przepustkę do intensywnego życia koncertowego, przynajmniej na kilka lat. Ale potem wszystko zależy już od artysty. Czasem bywa i tak, że laureat pierwszej nagrody po dwóch latach ma problem z wypełnieniem kalendarza koncertami. Dlatego uważam, że brak sukcesu w konkursie w żadnym razie nie zamyka drogi artystycznej.

Czy prywatnie ma Pani swoje ulubione wykonanie Chopina, takie, które jest dla Pani wzorem lub inspiracją?

Tak, mam wielu artystów, którzy pobudzają moją wyobraźnię. To zarówno współcześni pianiści, jak i ci dwudziesto-wieczni. Istnieją konkretne interpretacje, których nigdy nie

zapomnę, koncerty, które zapadły mi w pamięć na całe życie. Byłoby mi jednak trudno wskazać jedną jedyną, bo tych poruszających do głębi było po prostu zbyt wiele.

Podczas przygotowań zdarzają się chwile, gdy musi Pani przypominać uczniom: „Muzyka to nie rywalizacja, to wolność i piękno”?

Właściwie o rywalizacji nigdy nie rozmawiamy. Często powtarzam moim studentom słowa: „Pamiętaj, nie ścigas się z nikim, tylko z samym sobą”. Najważniejsze jest pokonywanie własnych barier i ograniczeń. Oczywiście, przy tak ogromnym repertuarze i codziennej, wielogodzinnej pracy może pojawić się rutyna. Czasem pianista zaczyna traktować muzykę zbyt technicznie, mechanicznie. Wtedy wracamy do sedna, do pytania: po co gramy? Przecież muzyka to sposób komunikacji z publicznością, język emocji i myśli zapisanych w nutach. To o tym trzeba pamiętać każdego dnia. Ćwiczenia przy fortepianie wymagają nieustannej kreatywności, a przy tak dużym nakładzie pracy to ogromne wyzwanie.

Na koniec, czym różni się Konkurs Chopinowski od innych pianistycznych konkursów na świecie?

Przed wszystkim swoją monograficznością, tym, że całości poświęcony jest Fryderykowi Chopinowi, kompozytorowi o niezwykle bogatej emocjonalności i ogromnej głębi. Rozmawiałam kiedyś z chińską pianistką i zapytałam, skąd w Chinach tak ogromne zainteresowanie Chopinem, skoro Polska wydaje się krajem kulturowo tak odległym. Odpowiedziała mi: „Chopin jest nam bardzo bliski, bo w jego muzyce są wszystkie emocje”. A wszystkie emocje są uniwersalne. Każdy człowiek, niezależnie od języka czy tradycji, czuje to samo. I myślę, że właśnie w tym tkwi tajemnica i zarazem największa trudność muzyki Chopina.

CV



Joanna Ławrynowicz-Just
Pianistka, prorektorka Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina, kierowniczką Katedry Fortepianu UMFC.

MŁODY CZŁOWIEK POD OPIEKĄ PEDAGOGA, ALE TEŻ POPRZEZ POSZUKIWANIA, UCZY SIĘ ROZUMIEĆ ZNACZENIE KAŻDEGO AKCENTU W NUTACH

Trzy lata temu doszło do eksplozji na cennych dla Rosji i Niemiec rurociągach Nord Stream i Nord Stream 2. Nadal niewiele wiadomo o tej śmiałej operacji na dnie Bałtyku. Dużo informacji - ale nieoficjalnych - przekazały zachodnie media na podstawie dziennikarskich ustaleń. Szwecja i Dania zakończyły swoje śledztwa bez wskazania winnych. Najbardziej zaawansowane jest dochodzenie niemieckie.

Z medialnych przecieków wynika, że tamtejsi prokuratorzy uważają, że sabotaż przeprowadziła grupa siedmiu Ukraińców. Wydano nakazy aresztowania. Dwie osoby aresztowano we Włoszech i w Polsce. Serhij K. i Wołodimir Z. walczyli przed sądami, by uniknąć ekstradycji do Niemiec. Nie przyznają się do winy.

Celem sabotażu były biegnące po dnie Bałtyku dwa gazociągi: Nord Stream i Nord Stream 2. Łączą one Rosję z Niemcami. Docelowo miały dostarczać ogromną ilość 110 mld metrów sześciennych gazu rocznie. Projekt był wspólnym przedsięwzięciem rosyjsko-niemieckim mającym błogosławieństwo najwyższych władz w Moskwie i Berlinie. W finansowanie zaangażowało się też kilka innych zachodnich dużych koncernów gazowych. Każdy z gazociągów składa się z dwóch nitek. Cztery pokryte betonem stalowe rury o długości około 1200 km i średnicy ponad 1 metra leżą na głębokości około 80-110 m.

Nord Stream został oddany do użytku w 2012 roku. Nord Stream 2 został ukończony we wrześniu 2021 roku i napełniony gazem, ale nigdy nie został oddany do komercyjnej eksploatacji. Drugi rurociąg miał podwoić przepustowość istniejącego rurociągu Nord Stream, zwiększając zależność Europy od taniego rosyjskiego gazu. Stany Zjednoczone i szereg krajów europejskich, w tym Ukraina, od początku sprzeciwiały się niemiecko-rosyjskiemu projektowi, a Waszyngton nałożył sankcje na jego operatora, Nord Stream 2 AG, i jego kierownictwo w lutym 2022 r. Niemcy anulowały proces certyfikacji NS2 kilka dni przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę 24 lutego 2022 r.

Jaki uszkodzono Nord Stream?

26 września 2022 r. szwedzcy sejsmolodzy zarejestrowali kilka wybuchów, w ciągu około 17 godzin, u wybrzeży duńskiej wyspy Bornholm. Eksplozje ładunków założonych prawdopodobnie na rurach spowodowały pęknięcie trzech z czterech rurociągów: dwóch nitek Nord Stream i jednej Nord Stream 2.

W momencie sabotażu żadna z rur Nord Stream nie była eksploatowana, ale zawierały one gaz, co spowodowało, że duńskie władze zgłosiły poważny wyciek w nocy 26 września 2022

WOŁODYMYR Ż., WERSJA NIEMIECKA I CO JESZCZE?

Warszawski sąd okręgowy przedłużył do 40 dni areszt dla podejrzanego o wysadzenie Nord Stream Wołodymira Ż. Sprawa budzi ogromne kontrowersje, a mieszkający w Polsce Ukrainiec twierdzi, że nie miał nic wspólnego z atakiem

Grzegorz Kuczyński



Mecenas Tymoteusz Paprocki, reprezentujący Wołodymira Ż., złożył zażalenie na decyzję o 40 dniach tymczasowego aresztu dla swojego klienta

r. Według duńskiej agencji energetycznej trzy z czterech uszkodzonych rur zawierały 778 milionów metrów sześciennych gazu ziemnego, co odpowiada około trzymiesięcznemu zapotrzebowaniu Danii na gaz. Zatrzymanie wycieku zajęło kilka dni.

Tylko jedna z czterech rur pozostała nienaruszona. W styczniu 2025 roku Dania wydała pozwolenie na przeprowadzenie prac konserwacyjnych, ale nie jest jasne, czy jakiegokolwiek prace zostały wykonane.

Kto stał za wybuchami?

Nikt nie przyznał się do odpowiedzialności. Minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow powiedział w 2024 r., że „jasne” jest, iż za sabotażem stoją Stany Zjednoczone, nie przedstawiając jednak żadnych dowodów. Moskwa twierdziła już w 2022 r., że Waszyngton miał interes w przeprowadzeniu sabotażu, ponieważ chce sprzedawać więcej skroplonego gazu ziemnego do Europy.

Sekretarz ds. energii USA Jennifer Granholm stwierdziła zaraz po sabotażu, że „wydaje się”, iż to Rosja jest odpowiedzialna

za serię wybuchów, które zniszczyły rurociągi, mówiąc wówczas w BBC, że „jest bardzo mało prawdopodobne, aby te incydenty były przypadkowe”.

Niemcy nie obarczyły publicznie winą rządu ukraińskiego, mimo że ich śledztwo szybko zaczęło wskazywać Ukraińców i wydano nakazy aresztowania siedmiu osób. Niemcy nie zwróciły się również do Kijowa o pomoc prawną w celu aresztowania podejrzanych. Berlin zasugerował nawet w 2023 roku, że sabotaż mógł być operacją „pod fałszywą flagą”, mającą na celu wciągnięcie Kijowa w pułapkę.

Co ustalono?

Ołeksandr Mereżko, przewodniczący komisji spraw zagranicznych parlamentu, zasugerował, że atak na Nord Stream mógł być rosyjską prowokacją mającą na celu osłabienie Ukrainy. Kijów wielokrotnie zaprzeczał, jakoby był zamieszany w sabotaż Nord Stream, zwłaszcza po serii dochodzeń przeprowadzonych przez zachodnie media wyraźnie wskazujących na Ukrainę.

Polska
Piątek-niedziela, 10-12.10.2025

tażu. W śledztwie, powołującym się na wysokich rangą ukraińskich urzędników ds. obrony i bezpieczeństwa, którzy byli bezpośrednio zaangażowani w sabotaż lub posiadali wiedzę na temat tego planu, stwierdzono, że prezydent Wołodimir Zełenski początkowo zatwierdził plan, ale po rzekomym otrzymaniu ostrzeżenia od CIA nakazał ówczesnemu głównodowodzącemu Walerijowi Załużnemu wstrzymanie go. Stwierdzono, że Załużny jednak kazał przeprowadzić ryzykowną operację po modyfikacji planu. On sam zaprzecza tym oskarżeniom.

Co ustaliły Dania i Szwecja?

Dania i Szwecja, których wyłączne strefy ekonomiczne ucierpiały w wyniku sabotażu, jako jeden z pierwszych wszczęły w tej sprawie śledztwa. Prokuratorzy doszli do wniosku, że był to akt sabotażu, ale w lutym 2024 r. zamknęli śledztwo, nie identyfikując żadnych podejrzanych, uznając, że sprawcy nie działali z terytorium tych dwóch skandynawskich krajów.

Wersja niemiecka jest inna

Niemcy zakończyły już prawie dochodzenie w sprawie sabotażu Nord Stream, przynajmniej pod względem kryminalistycznym, i zidentyfikowały siedmiu Ukraińców, wobec których wydano nakazy aresztowania - wynika z ustaleń wspólnego dziennikarskiego dochodzenia przeprowadzonego przez niemieckie media ARD, „Süddeutsche Zeitung” i „Die Zeit”. Z tych informacji wynika, że niemiecka prokuratura uważa, że sabotaż mógł zostać przeprowadzony bezpośrednio przez czterech nurków. Niemcy twierdzą, że wyszkoleni nurkowie mogli przymocować urządzenia do rurociągów na głębokości około 70-80 metrów.

Prokuratorzy twierdzą, że grupa Ukraińców wyruszyła z Rostocku na północno-wschodnim wybrzeżu Niemiec na wynajętym jachcie żaglowym, aby przeprowadzić atak. Niemiecki magazyn „Der Spiegel” i stacja telewizyjna ZDF poinformowały, powołując się na przecieki ze śledztwa, że na jachcie, który wypłynął 6 września i powrócił 23 września 2022 r., znajdowała się grupa sześciu osób: pięciu mężczyzn i jedna kobieta.

Łódź o nazwie Andromeda została zauważona na małej duńskiej wyspie Christiansø, w pobliżu miejsc wybuchów, w szwedzkim porcie Sandhamn oraz w marinie w polskim Kołobrzegu, zanim powróciła do Niemiec. Niemieccy śledczy, którzy przeprowadzili nalot na jacht w styczniu 2023 r., znaleźli na pokładzie ślady tych samych materiałów wybuchowych, które odkryła Szwecja w miejscach wybuchów - poinformowały niemieckie media.

Serhij K. aresztowany we Włoszech

W sierpniu włoska policja aresztowała Ukrainca podejrzanego o koordynowanie ataków na gazociąg Nord Stream w 2022 r.. To był pierwszy znaczący przełom w prowadzonym przez Niemcy śledztwie dotyczącym tajemniczych podwodnych eksplozji. Niemieccy prokuratorzy zidentyfikowali podejrzanego jedynie jako Serhija K. i stwierdzili, że należał on do grupy osób, które podłożyły urządzenia na rurociągach w pobliżu Bornholmu.

Podejrzany to 49-letni obywatel Ukrainy, znany jedynie jako Serhij K. Włoska agencja informacyjna Ansa zidentyfikowała go jako Serhija Kuzniecowa. Sąd w Bolonii orzekł, że ukraiński podejrzany powinien zostać wydany Niemcom. Nadal zaprzeczając zarzutom, jego obrońcy oświadczyli 16 września, że kierują sprawę do najwyższego sądu i odwołują się od decyzji o ekstradycji.

Wołodimir Ż. aresztowany w Polsce

Niemieckie media poinformowały, że w 2024 r. Berlin wydał europejski nakaz aresztowania ukraińskiego instruktora nurkowania, zidentyfikowanego jako Wołodimir Z., w związku z atakami na Nord Stream. Podejrzany, który w tym czasie mieszkał w Polsce, wyjechał na Ukrainę, poinformował polscy prokuratorzy. Stwierdzili oni również, że nie ma dowodów sugerujących, iż Polska była wykorzystywana jako centrum koordynacyjne ataków.

Z niemieckich ustaleń wynika, że mężczyzna został przewieziony z Warszawy do Kijowa samochodem zarejestrowanym na ukraińskiego attaché wojskowego.

Jednak poszukiwany europejskim nakazem aresztowania wydanym przez Federalny Trybunał Sprawiedliwości w Karlsruhe „w związku z podejrzeniem sabotażu konstytucyjnego, zniszczeniem mienia oraz zniszczeniem rurociągu Nord Stream 2” Wołodimir Z. wrócił potem do Polski.

Został zatrzymany 30 września w miejscu swojego zamieszkania - w podwarszawskim Pruszkowie. 3 października mężczyzna został przesłuchany jako świadek w polskim śledztwie w sprawie uszkodzeń rurociągów i wycieków gazu na dnie Morza Bałtyckiego. Warszawski sąd okręgowy przedłużył 6 października areszt do 9 listopada, tj. na 40 dni od daty zatrzymania Ukrainca.

O jego ewentualnym wydaniu Niemcom będzie decydował sąd po zapoznaniu się z dokumentacją dostarczoną przez stronę niemiecką. Ma na to 100 dni. 49-letni Wołodimir Z. twierdzi, że nie miał nic wspólnego z atakiem i że w czasie, gdy do niego doszło, przebywał w Ukrainie.

S p r a w a n a j w y ż s z e j w a g i



PULS

#185

Anna Czerny-Marecka

TEN CHOPIN NIE JEST OBJĘTY
NOCNĄ PROHIBICJĄ

Jeżeli okazała grupa Polaków usypia z dźwiękami Walca Es-dur w głowie, a budzi się „słyszac” Fantazję f-moll, jeżeli w nocy rodacy spierają się ze znajomymi na komunikatorach, czy lepszy był Li, czy może Lee, to znak, że właśnie trwa kolejny Konkurs Chopinowski w Warszawie. I to jest cudne, wspaniałe, orzeźwiające. Po prostu gra muzyka! Raz na pięć lat wszyscy melomani, wielbiciele muzyki klasycznej, przestają czuć się jak margines muzyczny. Wreszcie media, te publiczne, te prywatne, i te społecznościowe są ich. Bo na medialnym straganie w dzień konkursowy takie toczą się rozmowy:

- Omdlałam, ten Walc As-dur w wykonaniu X był genialny! - O nie, Y zagrał go lepiej, X nie umie w rubato! - Ale Y miał błędy tekstowe! - Parę nietrafionych nutek jury nie weźmie pod uwagę przy tak fantastycznej muzykalności! Słyszalas frazowanie X? No Chopin płynął! - Ale dynamikę Y miał bardziej zniuansowaną!

I grają pianiści Chopina w warszawskim tramwaju i w Sejmie, a jakiś meloman programista tworzy tabelkę w Excelu, angażując AI do wróżenia z nut, kto wygra. I lecą na Facebookach i Instagramach, nawet na zdawkowym X fotki, fragmenty nagrań, ochy i achy. I podziw dla jurorów, że umieli wybrać do drugiego etapu tylko czterdzieścioro pianistów z ponad osiemdziesięciu, bo przecież poziom w tegorocznej edycji wystrzelił w kosmos. I wkurzenie na jurorów, bo nie przeszedł ten/ta, którego/którą już widzieliśmy w finale. Prawda, że powinien dalej grać Mateusz Dubiel?

Chopin spłynął pod strzechy. Jeżeli widzicie kogoś, kto pracuje w urzędzie, firmie, nawet w sklepie w słuchawkach na uszach, jest duże prawdopodobieństwo, że właśnie słucha Konkursu na żywo. Jeżeli ma odpowiednie ku temu warunki, to nie tylko słucha, ale i dyskutuje na czacie z całym światem i ogląda, ogląda, ogląda...

A jest na co popatrzeć. I jacy oni są wszyscy ładni! Nie zawsze poza sceną, kiedy udzielają wywiadów czy pozują do zdjęć, natomiast zawsze, kiedy grają. Przepoczwarczają się, gdy płynie przez nich muzyka Chopina.

Kiedy już patrzymy, nie da się nie zauważyć, że większość uczestników Konkursu Chopinowskiego to Azjaci. Reprezentują Chiny, Japonię, Koreę Południową, Tajwan, Malesję, a w tej edycji także USA czy Kanadę. Jakże ciekawie jest uczyć się, słuchając ich recitali, odróżniania cech wyglądu zależnych od narodowości (bo Azjaci różnią się między sobą tak jak my, Europejczycy), jak uważnie trzeba czytać imiona i nazwiska, żeby zapamiętać i odróżnić od siebie dwóch panów Chen, trzech Lee i troje chińskich pianistów Li.

Już dawno między bajki można włożyć pokutującą niegdyś wśród znawców opinie, że Azjaci grają Chopina perfekcyjnie tylko i wyłącznie technicznie, nie oddając ducha muzyki. To krzywdzący stereotyp. Są nie tylko biegli w palcach, ale i niezwykle muzykalni i świadomi niuansów interpretacyjnych. I chociaż moje melomańskie serce bije przede wszystkim dla Polaków, podziwiam Azjatów wyjątkowo, bo mieli do Chopina najdalszą drogę. Wszak wychowani zostali w innej kulturze, także muzycznej. Słyszeli w dzieciństwie inne dźwięki, inne akordy, tworzone w innych systemach tonalnych. Musieli się tego Chopina nauczyć nie tylko jako kompozytora, ale i człowieka. A przy tym polskiej kultury, w której Chopin jest tak mocno zanurzony. Ba! Wielu z nich uczy się, i to z powodzeniem, polskiego języka. A my puchniemy z dumy. Patriotycznie i narodowo, a przecież także światowo. Wreszcie mamy ku temu prawdziwy powód. Konkursie Chopinowski, trwaj, jesteś piękny!

PS Jeżeli kogoś dziwi tytuł, to wyjaśniam, że Chopin trafił nie tylko pod strzechy, ale i do sklepów monopolowych, gdyż jego imieniem nazwaną wódkę. Być może pomysł ten (dla mnie słaby) inspirowany był słynną frazą z „Wesela” Wyspiańskiego: „Chopin, gdyby jeszcze żył, to by pił”.

Adam Buła

CZARNEK SPUSZCZONY
Z ŁAŃCUCHA

Początek października zapisze się w historii Polski doniosłym faktem, że Przemysław Czarnek z PiS znalazł jeszcze w Polsce wieś, gdzie wypasione za eurodopłaty chałupy nie są - co do jednej - ogrodzone wypasionymi ogrodzeniami. Dzięki czemu Czarnek może być za trzymaniem psów na łańcuchach, żeby mu kostek nie obgryzały, jak po tej wsi jeździ na rowerze.

Występ byłego ministra edukacji jest typowym przykładem rozwijanej u nas sztuki komunikacji, polegającej na tym, że jak ci się zdarzy - chłopie - powiedzieć coś głupiego, to się nie przejmuj, tylko zacznij wmawiać całej reszcie, że to ona jest głupia. Jak nie zadziała, to dopiero możesz powiedzieć, że nie powiedziałeś tego, co powiedziałeś. Ostatecznie, jak już jest bardzo srogo - na wszystkie kolejne pytania w temacie zacznij odpowiadać: ale Polsce grozi inwazja Tuska z kosmosu. Albo cokolwiek, byle też na Tuska.

Czarnek, w swej roli twardego zawodnika brońającego tradycyjnych wartości umyślił sobie zatem, że powie coś w kontrze do przyjętego właśnie w Sejmie zakazu trzymania psów na łańcuchu. I odpalił w radio ZET obiektywnie koszmarnie głupawą historyjkę:

- Ja, jak jeżdżę na rowerze, to jestem szczęśliwy, kiedy widzę psa uwiązanego na łańcuchu, a nie psa, który biega luźno. Pies uwiązany na łańcuchu ma przy sobie również miskę z wodą, ma przy sobie jedzenie, ma budę i nie zagraża nikomu, kto przejeżdża - powiedział były szef resortu edukacji.

Czarnek łże tu jak pies, no chyba że nie jeździ po wsiach tylko po skansenach wsi polskiej. Nawet na Lubelszczyźnie nie ma już opcji, by wiejskie zagrody nie miały wmurowanego w ziemię albo chociaż postawionego na betonowych cokolikach ogrodzenia z siatkowych segmentów. To oczywiście w wersji dla wsiowej biedoty. Każdy polski jeź od lat zmaga się z tą plagą podnoszenia na wsi zagrodowego statusu.

Skąd więc wezmą się te psy, co to za Czarnkiem będą biegać, usiłując capnąć go za kostkę. No bo te zwolnione z łańcuchów na wiejskich posesjach mogą go co najwyżej hurtowo obszczezać z py-

skiem przy siatce. O co - tak Bogiem a prawdą - trudno by było mieć do nich pretensje...

Kostka Czarnka to już jest zresztą faza druga tej historii, gdy do bohatera dociera, że jego występ nie przysporzył mu popularności i odpala się frazę „przekręcili moje słowa”. Swoją drogą nie trzeba mieć psiego nosa, by poczuć, że Czarnek wpadł tu w sporą panikę, bo swój wpis w socialach z apelem o jego dobre zrozumienie zatytułował: „nie manipulujcie psami”. A weźże człowieku manipuluj se psem uwiązanym na łańcuchu.

Dalej to już klasyka prawicowego populizmu, importowana wprost z Oceanu: nieważne, jak bredzisz, ważne, jaką przy tym robisz minę. Więc ufnie patrząc wprost do kamerki, trzymający się po profesorsku za oprawki okularów Czarnek mówi: „oto co powiedziałem”. I... puszcza inny fragment programu niż ten, za który jest krytykowany. Jak ja zazdroścuję tupetu tym... bezwstydnym...

Więc Czarnkowi się dostaje, że powiedział w radio ZET: „jak widzę psa na łańcuchu, to jestem szczęśliwy”. Bardziej uczciwi krytykują go za całe zdanie, że jest szczęśliwy jeżdżąc na rowerze. A Czarnek, oburzony, że jego wypowiedź jest manipulowana, puszcza fragment wypowiedzi, w którym opowiada, że miał 15 lat owczarka niemieckiego.

Po czym, zdejmując już okulary, by twarz swoją pocziwają uczynić w kadrze pełniejszą, dodaje, że miał tego psa w dużym kojcu na dużym podwórzu i uważa, że to jest najlepsze.

No sorry, nie jest. Ale nie chce mi się z tobą chłopie o tym gadać, za bardzo lubię psy. Nawet jak mi nie chcą zrobić miejsca na najlepszej w salonie kanapie. I nie, nie wciskamy tu sobie kitu o miastowych: nazywam się Buła, tatuś był chłopem, a ja mieszkam na wsi. Co nie znaczy, że muszę być wsiakiem.

Dalej jednakże profesor lekko się już sroży i dodaje z naciskiem: „Tak, wolę jeśli pies jest uwiązany na łańcuchu, aniżeli wałęsa się bezpańsko po wsi. Tak, wolę jeśli pies jest uwiązany na łańcuchu, aniżeli by miałby mnie kąsać po kostkach albo gryźć po kolanach. I nikt mnie nie przekona, że ugryzienie dziecka wracającego ze szkoły jest lepsze, aniżeli trzymanie psa na łańcuchu”.

No i zrobiło się srogo, a ujawnione fakty są porażające: czołowy polityk PiS przez 15 lat trzymał wielkiego psa z wielkimi zębami na wsi bez łańcucha. Ile biednych polskich dzieci, wracających ze szkoły, pokąsało po kostkach oraz pogryzło po kolanach to jego niemieckie bydle?

Możemy uznać za paradoks to, że w erze komunikacji agencje informacyjne i komunikowania przechodzą przez okres kryzysu. Także sami użytkownicy informacji są w kryzysie, myląc często fałsz z prawdą; to, co autentyczne, z tym, co sztuczne

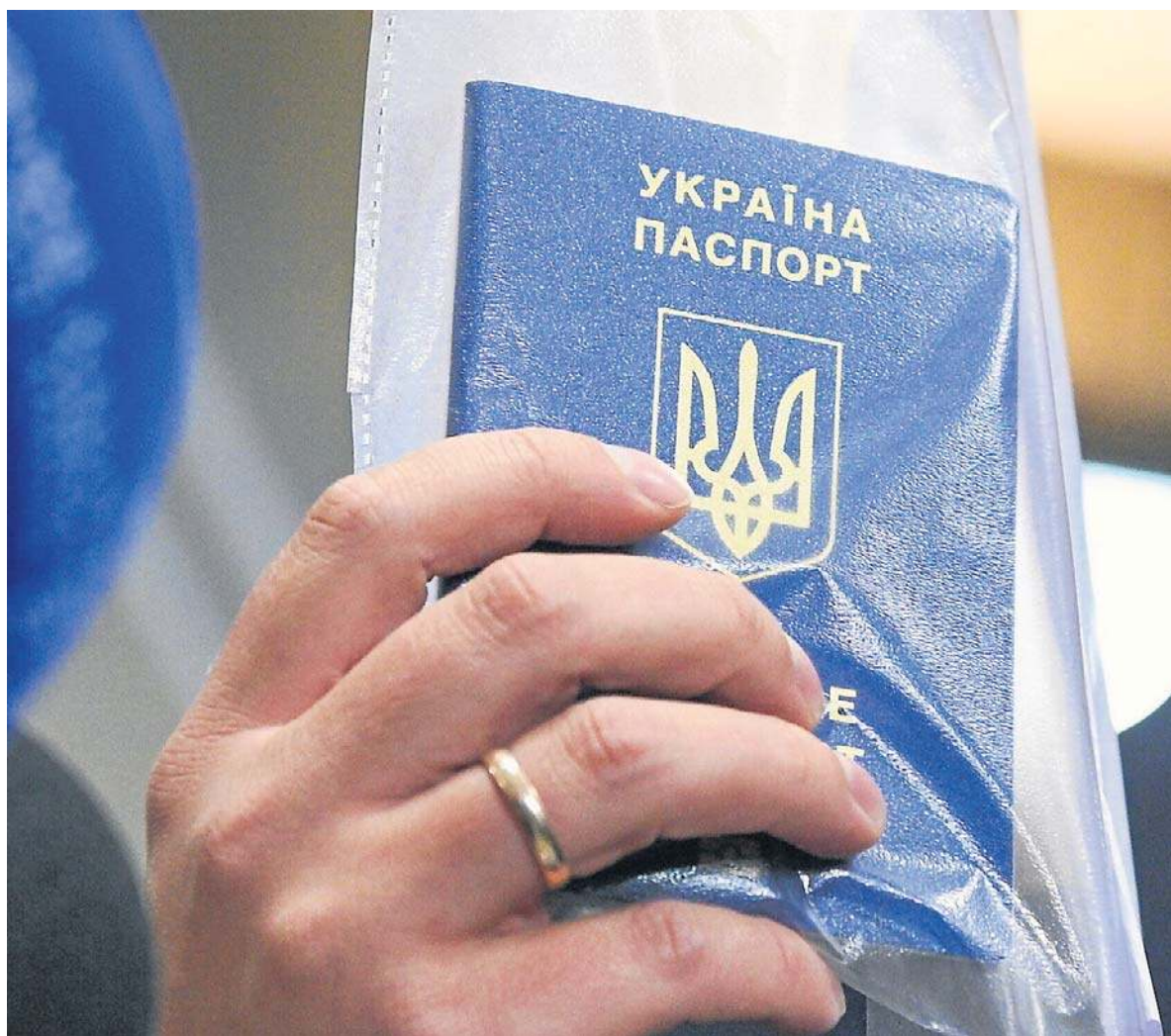
FOTOkomentarz tygodnia



7 PAŹDZIERNIKA, ŚWIAT

Druga rocznica masakry dokonanej przez Hamas w Izraelu wywołała globalne poruszenie. 7 października na całym świecie oglądaliśmy protesty w poparciu Izraela, ale też Palestyny (na zdjęciu demonstrant w Chile). Czy w końcu uda się opanować te emocje? Donald Trump ogłosił, że Izrael i Hamas osiągnęły porozumienie i rozejm dotyczący walk w Strefie Gazy właśnie wszedł w życie. Do poniedziałku Hamas ma zwolnić wszystkich przetrzymywanych izraelskich zakładników. Gdyby rzeczywiście do tego doszło, mielibyśmy jeden z najważniejszych geopolitycznych przełomów ostatnich lat

FOT. PAP/EPA/ALEN DIAZ



FOT. PAP/MARCIN OBARA

9 PAŹDZIERNIKA, WARSZAWA. Mecenas Wołodymyr Ż., podejrzewanego o wysadzenie Nord Stream 2, trzyma w ręku jego ukraiński paszport. Niemcy wystawili za Ukraińcem europejski nakaz aresztowania i polski sąd zdecydował o jego zatrzymaniu na 40 dni. Prawnik Ukraińca złożył zażalenie na tę decyzję



FOT. PAP/EPA/STEPHANIE LECOQ / POOL

8 PAŹDZIERNIKA, FRANCJA. Premier Sebastien Lecornu zapisał się w historii polityki, gdyż podał się do dymisji, zanim w ogóle utworzył rząd. I przypomniał, jak głęboki jest kryzys polityczny nad Sekwaną



FOT. PAP/TOMASZ WOJASIK

8 PAŹDZIERNIKA, WIELOWIEŚ. Widoczna na zdjęciu dynia waży aż 624 kg. Była hodowana na konkurs na największą dynię, ale ostatecznie na niego nie dotarła. Stała się za to atrakcją dla mieszkańców

GRZYBOBRANIE. NARODOWY SPORT POLAKÓW

Z lasów każdego roku wynosimy 100 tysięcy ton podgrzybków, kozaków, borowików, kurek, maślaków. Zbieramy grzyby dla samych grzybów, dla zdrowia, dla kontaktu z naturą, czasami chcemy się po prostu wyciszyć i odstresować. Potem nasze zbiory smażymy, mrozimy, marynujemy, suszymy. I znowu ruszamy do lasu, by pielęgnować pasję zbieractwa

Dorota Kowalska

Coroku jest to samo. Zbliża się wrzesień, Jacek, pięćdziesięciolatek, zaczyna nerwowo przestępować z nogi na nogę. Zerka na Facebooka, śledzi serwisy informacyjne, buszuje po sieci. Coś sprawdza.

- Zgadnij, co? - pyta Marta, żona.

- Pojęcia nie mam! - przyznaje.

- Sprawdź, czy już pokazały się grzyby - wybucha śmiechem.

Kiedy się pokażą, Jacek mógłby wygrać konkurs na najlepszego męża świata. Wyprzedza myśli Marty. Sprząta, robi zakupy, odbiera dzieci ze szkoły. Wszystko po to, aby w piątek wieczorem zapytać: „To może jutro rano skoczę na grzyby?”.

- Nie chodzi na spacer, nie chodzi do siłowni, nie uprawia sportu. Mówię mu przynajmniej raz w tygodniu, że musi zrzucić trochę brzucha. „Tak, tak” - obiecuje i na tym się kończy. Pokażą się grzyby, biega pięć godzin po lesie, a potem przyjeżdża do domu i pęka z dumy. „Zrobiłem 14 tysięcy kroków” - woła od progu, że niby tak dba o kondycję - opowiada Marta.

I przyznaje, że roboty przy grzybach nie ma. Jacek sam wszystko obiera, część grzybów suszy, część marynuje, część mrozi, czasami zanoszą sąsiadom.

Ale w tym roku Jacek jest jakiś nieswoj. Nie wie, co robić. Zaczęła już sprzątać, czy jeszcze czekać? Raz piszą, że w lasach pusto, innym razem, że zaczęły się prawdziwe grzybowe wysyp.

Zostaje telefon do eksperta. To są grzyby czy ich nie ma?

- To zależy, gdzie - odpowiada Janusz Piechociński, były wiceprezes Rady Ministrów, minister gospodarki, były prezes PSL i zapalony grzybiarz.

Tam, gdzie była susza grzybów nie ma, tam gdzie lało - są. Ale bywają takie regiony w Polsce, choćby pod Warszawą, gdzie

grzybni najzwyczajniej w świecie zdążyła się zakonserwować. Mało padało w tym roku, mało w zeszłym, mało dwa lata temu. I teraz nawet jeśli spadnie na nią deszcz, trzeba czasu, żeby się odrodziła.

- Poziom wód gruntowych jest bardzo niski. Poza tym, dzisiaj deszcze są intensywne, ale krótkotrwałe, a to grzybni nie służy - tłumaczy ekspert Piechociński.

I dodaje, że w tym roku grzyby pokazały się miesiąc temu. Wtedy były rekordowe zbiory, oczywiście nie wszędzie. Ale on pod Starym Sączem zbierał kosze borowików i dostrzegł, że zaczynają pojawiać się prawdziwki. Dwa tygodnie temu pod Tarczynem zebrał ich 17,5 kilograma. Ale przyszły przymrozki i w sobotę spod Wyszkowa przywiózł ledwie koszycek grzybów.

Dla podtrzymania tradycji

Janusz Piechociński pasję zbieractwa oddziedziczył po mamie. Ta, jak mówi, zbierała grzyby z sukcesami. Sąsiedzi biegli do Puszczy Kozienickiej, w okolicy której mieszkali, z samego rana. Ona poszkoła, potem po pracy spokojnie brała koszyk w rękę i ruszała w las. Wracając, uśmiechała się już od progu.

- I tak to się u mnie zaczęło. Nie mam czasu jeździć gdzieś daleko, więc zbieram grzyby w okolicach Celestynowa czy Piaseczna - opowiada Piechociński. Chodzi w tak zwane swoje miejsce, rano, w sportowym dresie. Wchodzi w kępy brzołek, w zarośla i szuka. Kiedyś po takiej porannej wyprawie spotkała go jakaś kobieta. „Ale ja pana widziałam wczoraj rano, latał pan jak wariat z wiaderkiem między drzewami” - zagadała ze śmiechem.

Najważniejsze, żeby wiedzieć, gdzie latać. Grzyby rosną



Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 procent podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję

w określonych miejscach, dlatego w nowy las trzeba zawsze wejść z jakimś tubylcem. Taki wie, gdzie szukać grzybów. On nie lubi zbieranych grzybobrań, tych krzyków: „Mam! Znalazłam! Ale piękny!”. Ale czasami zdarza mu się pójść w zarośla z przyjaciółmi czy znajomymi. Bywa, że celowo omija jakiegoś grzyba, żeby potem usłyszeć: „Piechociński nie zauważył, a ja znalazłem!”.

Rekord grzybobrania to było 86 kilogramów surowego prawdziwka zebranego pod Bielskiem Podlaskim. Nic nie zapowiadało takiego sukcesu. Była susza, chociaż kilka dni wcześniej przeszły nad tym terenem burze. Wziął 20-litrowe wiaderko i poszedł w las. W starym, sosnowym, niewiele znalazł, więc może przy torfowisku? Kilka szarych kozłarzy. Dalej był zagajnik sosnowo-brzozowy. A tam same prawdziwki. Wracał w to miejsce

z cztery razy. Miał tyle grzybów, że pakował do wiaderka same kapelusze, bo szkoda było miejsca na nożki.

Dzisiaj grzyby rozdaje - surowe, świeżo zebrane. Kiedyś robił znajomym prezenty w postaci stoiczek z grzybami marynowanymi, ale, jak przyznaje, żona się zbuntowała. „Moje ręce, moje paznokcie, moje słoiki, mój czas i moja cierpliwość. Basta!”. Musiał jej wcześniej grzyby obrać, przygotować, ale i tak miała dość. Dziś obdarowywani sami muszą grzyby obrabiać.

- Najbardziej lubię pierogi z kapustą i grzybami, rydze z paterkami, które zawsze przyrządzam z przyjaciółmi. Lubię zbierać grzyby, ale mówiąc szczerze, wielkim fanem grzybowych dań nie jestem - przyznaje wiceminister.

Mimo tego, chodzi i zbiera. A czasami człowiek przemierzy wiele kilometrów, umorduje się

inaczej, nawet małego maślaka, o prawdziwku nie mówiąc.

- Czemu ludzi ciągnie do lasu? Co takiego jest w tym zbieraniu grzybów? - dopytuje.

- A dlaczego mój szwagier potrafi przesiedzieć nad Wisłą 16 godzin, wrócić do domu przemierzając i opowiadać, że miał cztery brania? - wzrusza ramionami Piechociński. - Pasja i tyle - dodaje.

Chociaż przyznaje, że zbieranie grzybów to jedyna czynność, przy której tak się koncentruje, tak skupia na szukaniu, że nie myśli o niczym innym. Kiedy był ministrem, biegł do lasu przed godziną piątą, bo przed godz. 7.00 czekała już na niego ochrona.

- Najgorsze chwile przeżywałem wtedy, kiedy wiedziałem, że są grzyby, a byłem służbowo w jakiejś innej części Polski. Miałem wtedy świadomość, że mój rywal w zbieraniu, pewien eme-

ryt, wybiera mi wszystkie grzyby - śmieje się były minister gospodarki. W tym roku też biega po zagajnikach. Szuka.

Dla grzybów i kontaktu z naturą

Mówi się, że chodzenie na grzyby to sport narodowy Polaków. Ale też, według Lasów Państwowych, co roku grzybiarze zbierają łącznie około 100 tys. ton grzybów. W ostatnim czasie portal Rankomat.pl przeprowadził badanie, które pokazało, że 38 proc. z nas nie chodzi po lasach w poszukiwaniu prawdziwków, borowików czy maślaków - 62 proc. Polaków deklaruje, że zbiera grzyby.

Ci, którzy wybierają się na grzybobranie, robią to przede wszystkim dla samych grzybów - tak odpowiedziało 68 proc. ankietowanych. Dla wielu jest to także okazja do kontaktu z naturą (64 proc.) i spędzenia czasu na świeżym powietrzu (54 proc.). Blisko połowa zbieraczy traktuje grzybobranie jako sposób na wyciszenie i odpoczynek psychiczny, a 32 proc. podtrzymuje w ten sposób rodzinną tradycję. Tylko 5 proc. osób przyznaje, że grzybobranie jest dla nich źródłem zarobku.

Ci, którzy grzybów nie zbierają, boją się zjedzenia trujących okazów - taki powód niechodzenia do lasu podało 37 proc. osób; 21 proc. przyznało wprost, że boi się zatrucia, a 25 proc. nie cierpi papająco i kleszczy.

Jeszcze inni boją się zgubienia w lesie, spotkania dzikich zwierząt, postrzelenia przez myśliwych. 3 proc. ankietowanych nie chce pobrudzić lub zniszczyć ubrania.

Z kolei w badaniu agencji SW Research dla „Wprost” 21,2 proc. osób stwierdziło, że często zbiera w sezonie grzyby, 50,2 proc. zbiera je czasami, a 28,6 respondentów twierdzi, że za grzybami po lasach nie biega.

Może nie wszyscy o tym wiedzą, ale nie wszędzie grzyby są tak dostępne, jak w Polsce. W wielu krajach obowiązują ograniczenia w ich zbieraniu. Zbiór wymaga płatnej licencji, bez której grożą surowe kary finansowe.

I tu Polacy stanęli murem za grzybiarzami, bo opinie na temat tego typu przepisów są podobne - niezależnie od tego, czy ktoś grzyby zbiera, czy nie. Uczestnicy badania przeprowadzonego przez Ogólnopolski Panel Badawczy Ariadna dla Wirtualnej Polski w zdecydowanej większości (84 proc. badanych) są przeciwni wprowadzeniu ograniczeń wagowych zbierania grzybów na własny użytek. W tym ponad połowa respondentów (54 proc.) jest „zdecydowanie” pewna, że nie wolno ograniczać polskich grzybiarzy, a 30 proc. uznaje, że „raczej” nie powinno się określać granicy wagowej zbiorów.

Tylko 9 proc. respondentów uznaje, że konieczne są regulacje w tej kwestii. 7 proc. badanych nie ma zdania na ten temat.

Dla bigosu i bitek

Wojciech Kowalczyk to były świetny piłkarz, reprezentant Polski, srebrny medalista olimpijski z Barcelony, a dzisiaj, po zakończeniu sportowej kariery, ekspert piłkarski.

- Byłem świetnym piłkarzem, teraz jestem świetnym grzybiarzem - śmieje się na początku naszej rozmowy.

Właśnie, bo Kowalczyk słynie w sportowym środowisku z zamiłowania do zbierania grzybów. On też, jak Janusz Piechociński, po lasach biegał od dzieciaka. - Mój wuj był sołtysem w małej wiosce Koziołek koło Warki. W czasie wakacji jeździliśmy tam całą rodziną i razem z dziadkiem czy tatą chodziliśmy po lasach - wspomina.

Wuj, sołtyś, miał wszystko: truskawki, ogórki, owoce, ale oni szukali grzybów.

- Nauczyłem się wtedy dwóch rzeczy: spać w stodole na sianie i zbierać grzyby. W stodole na sianie spało się dlatego, żeby rano, wychodząc do lasu, nie zbudzić domowników - tłumaczy Kowalczyk.

W tym roku był już kilka razy na grzybach, trochę nazbierał, ale szału nie ma. Nie było deszczu, sucho. Jak każdy grzybiarz ma swoje ulubione miejsca.

- W lipcu i sierpniu grzybów nie zbieram, są najczęściej robaczywe. Dla mnie sezon zaczyna się we wrześniu - mówi.

Najczęściej jeździ w okolice Przasnysza i Szczytna, bo ponoć nigdzie nie ma takich lasów. Tam zbiera pierwsze, najlepsze grzyby, głównie prawdziwki. Ale są też Warka, Wilga, Grabów nad Pilicą.

Jego rekord? W Wielbarku, jakieś 15 lat temu, zebrał dwa kosze czerwonych kozaków. Żadnego innego grzyba - same czerwone kozaki.



Prawdziwek, czyli borowik szlachetny, to najbardziej pożądany grzyb w polskich lasach. Ale są też miłośnicy ryzdów, kurek czy maślaków

Wyjeżdża na grzyby bardzo wcześnie, właściwie wchodzi do lasu, kiedy świta. Śmieje się z kolegami, że muszą uprzedzić miejscowych kolarzy.

- A kto to taki? - dopytuje.

- Miejscowi, którzy jeżdżą na rowerach i zbierają przy drodze najlepsze okazy - tłumaczy. - Więc wjeżdżam wcześnie, bo raz, że nie ma wtedy korków, a dwa, włącza mi się duch rywalizacji - dodaje.

Ale przed wejściem do lasu zawsze zapali papierosa, zje kanapkę, napije się ciepłej herbaty czy kawy z termosu i dopiero wtedy rusza w zarośla.

- Czemu Polacy tak lubią zbierać grzyby? - pytam.

- Myślę, że z wielu powodów, ale nie bez znaczenia jest tu polska kuchnia, w niej bez suszonych grzybów ani rusz - tak odpowiada. W każdym razie on nie wyobraża sobie bigosu czy wółowych bitek bez grzybów.

Jest fanem tych suszonych, ale niektóre marynuje, część przegotowuje i mrozi. Słoiczki z marynowanymi kapeluszami rozdaje sąsiadom.

- Dla mnie najważniejsze jest chyba samo chodzenie po lesie, kontakt z naturą. Grzyby to taki dodatkowy bonus - mówi.

Dla zdrowia i wyciszenia

Lekarze i psychologowie są zgodni: ruszać do lasu! Zbieranie grzybów dobrze wpływa na nas i nasze samopoczucie. Spacerowanie po lesie, schylenie się po grzyby wzmacnia nasz układ krążenia. Kontakt z naturą, zapach lasu uspokaja, obniża ciśnienie krwi i poziom stresu.

- Żyjemy w rzeczywistości, w której panuje szum informacyjny, jesteśmy przebudzowani, a grzybobranie to taka

ucieczka od codzienności, forma odreagowania. Znacznie lepsza niż butelka wina wypita wieczorem - mówiła mi swego czasu psycholog Maria Rotkiel.

Poza tym, w każdym z nas siedzi gdzieś głęboko atawistyczny instynkt zbieracza. Ludzie zawsze zbierali jedzenie, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Kiedy zbieramy grzyby ze znajomymi, czasami licytujemy się, więc jest w tym wszystkim także element rywalizacji, ale to nie on dominuje.

- Myślę, że zbieranie grzybów jest dzisiaj tak modne, bo jest formą wyciszenia, podczas którego na dodatek obcujemy z naturą. Sama uwielbiam chodzić na grzyby - przyznała Rotkiel.

Tym bardziej że grzyby po prostu są. Występują we wszystkich strefach klimatycznych, przede wszystkim na łąkach, ale także w wodach - i tych słodkich, i tych słonych. Do tej pory opisano około 70 tysięcy gatunków grzybów, ale ta liczba może być większa. Jak można wyczytać w Wikipedii, pierwszy grzybami zainteresował się Teofrast - grecki uczony, filozof, uczeń i przyjaciel Arystotelesa, który zaliczył je do roślin pozbawionych korzeni. Nie potrafił więc określić sposobu, w jaki się żywią. W epoce rzymskiej badania nad grzybami nie posunęły się naprzód. Rzymianie szczególne znaczenie przypisywali trufiom. Wierzyli, że te powstają od uderzeń błyskawic, które przekazują im moc niezbędną do kreacji życia - stąd trufle były stosowane jako środek wspomagający zajście w ciążę. Kult grzybów powszechny był wśród Majów i Azteków, z kolei w Indiach grzyby uważano za symbol płodności. Po raz pierwszy

zarodniki grzybów zaobserwował w 1588 roku włoski uczony, wynalazca, lekarz i literat Giambattista della Porta, ale przez kolejne dwieście lat wciąż dominował pogląd o spontanicznym powstawaniu grzybów. W XVII, XVIII i XIX wieku zainteresowanie grzybami rosło - wielu badaczy systematycznie opisywało kolejne odkryte ich gatunki, często zresztą jeden gatunek pojawiało się kilkakrotnie pod różnymi nazwami. Dopiero Pier Andrea Saccardo, włoski mykolog i botanik, dokonał klasyfikacji grzybów, porządkując wszystko to, o czym donosili jego poprzednicy.

Wspomniany już wyżej Janusz Piechociński napisał na Twitterze: „W polskich lasach występuje 1,4 tys. gatunków grzybów jadalnych, choć tylko 47 z nich jest dopuszczonych do obrotu produkcji przetworów grzybnych. Przeciętny Polak rozpoznaje 15 gatunków grzybów, a wytrawny grzybiarz około 40 gatunków”.

Dla bycia razem

Anna Wszyzkowska mówi, że rozpoznaje 20 gatunków, ale od dziecka jeździła z rodzicami na grzybobrania. Przychodziło późne lato, jesień - w sobotę pakowali się w czworkę do starego, wysłużonego „malucha” (oprócz rodziców jeszcze brat) i jechali do lasu.

- To był swego rodzaju rytuał. Jeździliśmy w jurę krakowsko-częstochowską. Tata miał tam swoje ulubione miejsca, zawsze pełne grzybów. Wyruszyliśmy bladym świtem, wracaliśmy na obiad, który mama zawsze przygotowywała dzień wcześniej - opowiada Anna, dzisiaj bizneswomen.

Pamięta, że w lesie mieli trzymać się rodziców, chociaż zdarzało im się zgubić; na szczęście całą czwórką, tata zawsze jednak znajdował wtedy drogę powrotną. Nauczył ją, że trzeba szukać słupów z liniami wysokiego napięcia, bo one doprowadzą człowieka do drogi albo jakiejś miejscowości.

- To były wspaniałe wyprawy. Lubiliśmy je z bratem. Poznaliśmy grzyby, zresztą te zebrane przez nas zawsze przeglądali rodzice. Podczas tych wypraw sporo rozmawialiśmy ze sobą. Tata opowiadał nam o drzewach, przyrodzie, to były niesamowite lekcje biologii - wspomina Anna. Pamięta radość z każdego znalezionego grzyba, te kapelusze wystające z mchu, śpiew ptaków. I powroty do domu. Byli zmęczeni, ale szczęśliwi. Mama obierała potem te grzyby godzinami. Często suszyła, ale robiła też słoiki. Nos wykrecało, bo po całym domu niósł się wtedy zapach octu, którego do dziś nienawidzi.

- Na studiach jakoś przeszła mi pasja zbierania grzybów, ale kiedy założyłam własną rodzinę, z przyjemnością do starych nawyków wróciłam. Na szczęście mąż też uwielbia wycieczki po lesie - śmieje się. Jeżdżą na grzyby od września, w każdy weekend, jeśli nie wyskoczy coś nieprzewidzianego. Uwielbiają to. Postanowiła połączyć rodzinne grzybobrania z piknikami. Zawsze bierze do samochodu jakieś smakołyki, koc, zawsze robią sobie w lesie dłuższą przerwę, żeby posiedzieć i pogadać.

- Niezwykle dużo dają mi te nasze grzybowe wyprawy. Bardzo ciężko z mężem pracujemy, dzieci oprócz szkoły mają sporo

dodatkowych zajęć. A to jest czas, który spędzamy razem. Poza tym, wyłączam wtedy głowę. Nie myślę o papierach, kontrahentach, o problemach, po prostu wypatruję prawdziwków, podgrzybków, maślaków - wylicza. No i jest wśród natury, gdyż ogródek przed domem to zdecydowanie nie to samo.

Dla bezpieczeństwa

Fachowcy radzą jednak, aby nie popadać w amok grzybobrania.

- Jeżeli nie znamy grzybów, to ich nie zbieramy, bo tak jest dla nas bezpieczniej, ponieważ grzyby jadalne mają swoje odpowiedniki, które są trujące. W związku z tym lepiej nie popełnić błędu i zbierać te, których jesteśmy pewni - mówił w rozmowie z TVN24 Paweł Bukowski z Nadleśnictwa Kolbudy w województwie pomorskim.

W razie wątpliwości można udać się do Wojewódzkiej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej. - Można skorzystać jeszcze z różnych pomocy naukowych czy też z aplikacji, atlasów grzybowych czy też z wydań papierowych atlasów, a być może z porady osób starszych, które już dłużej są na grzybach i mają większą wiedzę od nas. A jeśli rzeczywiście chcemy poznać nowego grzyba, nic nie stoi na przeszkodzie, żeby go dostarczyć do stacji sanitarno-epidemiologicznej, podpytać fachowców. Tam nam powiedzą więcej - tłumaczył leśnik.

Początkujący grzybiarze powinni raczej zbierać grzyby rurkowe niż blaszkowe. Jeśli jednak po ich spożyciu poczujemy się źle - będziemy mieli nudności, wymioty, gorączkę - trzeba niezwłocznie zgłosić się do lekarza.

Kolejna sprawa: rozeznanie terenu. Przed samym rozpoczęciem zbierania grzybów orientujemy się, w jakim miejscu jesteśmy, skąd przyszlizmy. Obserwujemy Słońce, jeśli jest widoczne, i teren, po którym się poruszamy. W lesie są linie oddziałowe, drogi, kamienie graniczne czy słupy energetyczne, często ponumerowane. One mogą posłużyć za punkty odniesienia.

I wreszcie - zabezpieczmy się przed kleszczami.

Jacek w końcu zapełnił lodówkę, wyszorował podłogi i w sobotę pojechał na grzyby. Ruszył pod Siedlce. Zna te lasy. W niedzielę chwycił koszyk i pognał do zagajnika za domem. Zbiór może nie powalał z nóg, ale zrobił przepyszny sos z maślaków i dwa słoiczki marynowanych podgrzybków.

- Niech jeździ! - pacha ręką Marta. I wylicza plusy: trochę pochodził po lesie, był na świeżym powietrzu, odstresował się, wyciszył, a te kilka tysięcy kroków też mu wyjdzie na zdrowie. I będzie miał o czym gadać z kolegami, bo wszyscy to zapaleni grzybiarze.

Ulica 10 Maja w Głogowie. Ba. Uliczka. 232 metrów długości, 18 numerów, 47 zameldowanych mieszkańców. Tak mówi ostatni raport demograficzny z 21 grudnia 2024 roku.

Po jednej i drugiej stronie domy pamiętające czasy przedwojennego Glogau: wolnostojące, bliźniaki, ale jest też kilka, w których na każdym piętrze mieszka inna rodzina: niekiedy dwie, niekiedy trzy. Domki ładne, zadbane. Każdy z ogrodem. Sporym: trawnikami, drzewami ozdobnymi i owocowymi („Czereśnie są przepyszne – szpaki zlatują się do nich z całej okolicy” – uśmiecha się pani Eugenia Rudkiewicz spod jedenastki, której czereśnia w tym roku bardzo obrodziła).

Ta mała droga łączy spokojniejszą ulicę Fryderyka Chopina, z ruchliwszą ulicą Tadeusza Kościuszki, przy której stoi miejski szpital.

już po przejściu miasta przez Polaków – opowiada Andrzej Ruebenbauer, który przy 10 Maja mieszka od urodzenia, w domu pod numerem pięć.

- Jak to się stało? – dopytuję.
- Nie wiem, ile w tym prawdy, a ile legendy, ale opowiem: działo się to 10 maja, w dniu uroczystym, kiedy burmistrz Hoinka otrzymał symboliczne klucze do miasta od dowódcy wojsk radzieckich, tych wojsk, które wyzwoliły Głogów. Uroczystość była w ruinach Starego Miasta. I burmistrz Hoinka, w dowód wdzięczności, sprowadził z pobliskiej Kotli całą cysternę bimbrową, i podarował ją radzieckim żołnierzom. A Ruscy, jak popili, to strzelali na oślep, a na koniec zabawy podpalili ten jeden, nieszczęsny dom na naszej ulicy – wspomina.

Do 1945 roku przy dzisiejszej 10 Maja mieszkali urzędnicy, rzemieślnicy, kupcy.

Niemiecka pościel leżała jeszcze na łóżku

Jednymi z pierwszych, którzy zamieszkali przy 10 Maja, była rodzina Andrzeja Ruebenbauera.

- Odkąd pamiętam, żyliśmy z innymi sąsiadami z ulicy jak w jednej, wielkiej rodzinie – uśmiecha się pan Andrzej.

Był nauczycielem w szkole samochodowej. Ale tylko do sierpnia. Przez wszystkie lata pracy wykształcił w Głogowie setki mechaników – można więc powiedzieć, że każde auto w mieście widziało się kiedyś z jego absolwentem. Ale teraz koniec – zdrowie na dłużej nie pozwala.

Jego rodzice, kiedy wprowadzili się pod piątkę, wspominali, że „jeszcze pościel leżała na łóżkach”. Niemcy zostawili wszystko to, czego nie mogli zabrać: mebli, ale też innych rzeczy codziennego użytku.

sną 1939 roku urodziło się siódme (...) Po drugiej stronie domu mieliśmy duży ogród. Uprawiane były na nim różne warzywa. Była też stajenka dla naszej Kariny (...)

Andrzej Ruebenbauer wspomina: - Mój ojciec – przedwojenny oficer Wojska Polskiego, był z Poznańskiego, ale do Głogowa przyjechał wprost z obozu pracy na Węgrzech, w którym był w czasie wojny. W Głogowie został kierownikiem urzędu, który zajmował się osiedlaniem repatriantów. Miał wykształcenie rolnicze, potem pracował więc aż do śmierci w głogowskiej cukrowni. Mama zajmowała się domem. Ja urodziłem się już tutaj, w Głogowie, i od dziecka mieszkam na 10 Maja. Całe życie tu spędziłem, patrzyłem, jak ta nasza ulica się zmienia. Do lat 70. było tu tak, jak tuż po wojnie. Potem niektórzy starszy sąsiedzi zaczęli umierać, ich dzieci powyjeżdżały, pojawili

sprowadzali się w ostatnich latach starsi ludzie – dla wygody, bo nie ma schodów. Są też nowi sąsiedzi, młodzi, z dziećmi – jak Bogumiła Szlifierz spod trójki (wcześniej przez całe lata w jej domu mieszkał autor książki „Mieszkam koło szpitala...” – Wiesław Maciuszczak).

Ten dzień to wielkie święto sąsiedztwa, dobrego sąsiedztwa

Pani Bogusia zaprasza nas do mieszkania.

- Ostrożnie, na samą górę, niech pan uważa, bo schody stare, drewniane, strone – ostrzeżenie. Siadamy przy kuchennym stole, pani Bogusia parzy herbatę, na paterze lądują trzy rodzaje ciasta.

- Bogusia jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale ile ona dla nas i dla ulicy dobrego zrobiła! To ona

tekst Robert Migdal Dziennikarz „Gazety Wrocławskiej”, reportażysta, autor wielu książek i wywiadów



JEDNEGO SĄSIADA BRAKUJE. NO ALE ON MA KRASNALE W OGRODZIE I WIELKIE NOŻYCE NA ŚCIANIE, WIĘC Z NIM NIGDY NIE WIADOMO, PEWNIENIE KIEDYŚ SIĘ PRZEŁAMIE

Nie pierwszego, nie trzeciego, ale dziesiątego. Dlaczego?

Ulica 10 Maja. Dziwna nazwa. Skąd się wzięła? Tak to wyjaśnia w swojej książce „Mieszkam koło szpitala... Wspomnienia głogowian” Wiesław Maciuszczak, historyk, były mieszkaniec tej ulicy: „Zaproponował ją – w 1945 roku – Adam Królak, jeden z nowych mieszkańców Głogowa, bo tego dnia niemiecki Glogau stał się polskim Głogowem. Nazwa jest więc na pamiątkę przekazania władzy cywilnej w mieście polskiemu burmistrzowi”.

A burmistrz Eugeniusz Hoinka zapisał we wspomnieniach: „10 Maja 1945 roku, o godzinie 10.30 w imieniu władz polskich przejąłem miasto wraz z resztą ludności niemieckiej oraz rannymi jeńcami niemieckimi”.

Domy przy wtedy jeszcze Herderstrasse, nazwanej tak na cześć niemieckiego pisarza Johanna Herdera, przetrwały oblężenie Głogowa – Twierdzy Głogów, czyli Festung Glogau – zimą 1945 roku. W większości nienaruszone.

- Jedyny dom na ulicy został zniszczony nie w czasie Festung Glogau, ale

„Każdy dom posiadał od ulicy kwietnik, na niektórych posadzono ozdobne drzewa. Potężne modrzewie i świerki rosły do niedawna przed nr 2, 8 i 9, a przed nr 3 – okazała czereśnia. Za budynkami z obu stron urządzono ogrody warzywne. Rosły tam również drzewa i krzewy owocowe. W komórkach i w specjalnych budowlach, hodowane były zwierzęta. Niektóre mieszkania centralnie ogrzewane, inne były ogrzewane piecami kaflowymi. Wszędzie były toalety i łazienki. Doprowadzona energia elektryczna. Nie było tu jeszcze gazu” – czytamy opis niemieckich domostw w czterostoronicowym wydawnictwie okolicznościowym zatytułowanym „Wehikuł czasu” (odbitka na ksero, na zwykłym papierze – ale w kolorze. Skarbnica wiedzy – w pigułce – o historii ulicy).

Tuż po tym, jak Głogów stał się polskim miastem, „co odważniejsi osadnicy zaczęli zajmować domki willowe, remontowali je na własną rękę (...) Część budynków oddano do dyspozycji instytucjom i urzędom, by zapewnić mieszkania niezbędnym dla miasta fachowcom” – to kolejny opis ze wspomnianej wyżej broszurki.

- W moim domu mieszkali za Niemca dwaj bracia z żonami i dziećmi. Jeden na górze, drugi na dole. Przedsiębiorcy: jeden z nich miał odlewnię żeliwa i nawet są jeszcze w mieście studzienki ściekowe, na których jest napisane „Glogau” – to on je zrobił. Drugi prowadził fabrykę kafla na piec. Mam piec z tymi kaflami do dzisiaj. Nie zdemontowałem przez tyle lat, bo jest ładny – został tylko na pamiątkę, bo ogrzewanie mam już gazowe – wspomina Ruebenbauer.

Jedną z dawnych mieszkanek przedwojennej ulicy 10 Maja, która po latach odwiedziła miejsce swojego dzieciństwa, była Dorotea Voigt de Vara. Przyjechała na spotkanie do swojego Glogau w 2018 roku. I jak pisze w książce „Mieszkam koło szpitala... Wspomnienia głogowian” Wiesław Maciuszczak, „podzieliła się okruciami pamięci”:

„Dom przy ulicy Herderstrasse 10 w Głogau zbudowany został w 1938 roku (...) Mój ojciec, Karl Voigt, był dyrektorem banku. Wprowadziliśmy się do mieszkania najprawdopodobniej w tym albo w następnym roku (1939). Rodzice mieli sześćoro dzieci, a wio-

się nowi lokatorzy. Remontowali domy, przerabiali je po swojemu. Ja swojego do dzisiaj nie ociepliłem styropianem, wolę, by wyglądał tak, jak po wojnie.

Mieszkańcy cenili sobie spokój („niby w mieście, a jak na wsi”) i że wszędzie jest blisko („i szpital za rogiem, kościoły, autobus niedaleko”).

- No i zakład pogrzebowy mamy na naszej ulicy, najstarszy w całym mieście, bo jeszcze w latach 50. ojciec obecnego właściciela miał zakład stolarski i meble produkował. Meble i... trumny. Coś dla żyjących i coś dla tych, co odeszli – kiwa głową pan Andrzej.

Pokazuje dom naprzeciwko. - O, tu umarła nasza wieloletnia sąsiadka, córka odziedziczyła, sprzedała i poszła sobie gdzieś pod Warszawę. Niektórzy nie chcą w tych starych domach mieszkać, wolą nowe bloki. Nie patrzą na to, że dom to nie tylko cztery ściany, że też otoczenie, ludzie, koło których się żyje i z którymi się żyje. Dla mnie to wielka wartość. Ja bym się z 10 Maja nie wyprowadził – zaklina się Ruebenbauer.

Ulica się zmienia, ale jej puls wciąż mocno bije. Na partery domów po-

wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka – mówi Ruebenbauer.

Bogumiła Szlifierz uśmiecha się skromnie pod nosem, nakłada na talerzyki babkę piaskową oraz ciasto z kremem i owocami. Krem znakomity, a babką, choć ma rodynki, też się częstuje. Gdy chwałę wypieki, mówi: - Sama nie piekłam, to kupne, ale ze sprawdzonej cukierni.

A potem zaczyna opowiadać. - Gdy się tu wprowadziłam, zastanawiałam się, dlaczego ta ulica ma taką nazwę. No i kto tu mieszka, kim są moi sąsiedzi, co robią, jakie mają pasje? Chciałam poznać ich historie, historie ich rodzin, historie poprzednich lokatorów.

- Po co? – pytam, może trochę zbyt obcesowo.

- Zaciekała mnie przeszłość tego miejsca. Zaczęłam pytać – najpierw najbliższych sąsiadów, potem tych dalszych: jak to było kiedyś. I wtedy wpadłam na pomysł, żeby zebrać wszystkich i usiąść z nimi przy jednym stole. Wielkim stole, ustawionym na środku ulicy! I porozmawiać, powspominać. Chciałam, żeby moi sąsiedzi wyszli

z domów, żeby się otworzyli bardziej jeden na drugiego, żeby każdy opowiedział, co go trapi, boli, co mu się podoba, a co nie. Żeby wyciągnąć starszych mieszkańców z ich czterech ścian, z samotności. I zintegrować tych starszych z młodszymi.

Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku - jakże inaczej, data nie mogła być inna.

Taki był finał wielomiesięcznych przygotowań. Najpierw pani Bogusia sama chodziła od domu do domu, pytając, czy zgadzają się na świętowanie imienin ulicy i co sądzą o tym pomysle („Tym, których nie zastałam w domu, wrzucałam kartkę z informacją do skrytki pocztowej” - wspomina). Potem zorganizowała spotkanie mieszkańców - przyszli prawie wszyscy (zabrakło jednego sąsiada). Gdy jednogłośnie przyjęto jej pomysł, ruszyła lawina pism (zgoda na zamknięcie ulicy od miasta, wysyłanie zaproszeń - do byłych i obecnych mieszkańców, do proboszcza, do radnych, prezydenta). Gdy uporała się z papierami - poszło jak z płatka. Nie obejrzała się i był maj. Ulica zamknięta, na środku stoły przykryte - elegancko - obrusami.

Stoły i krzesła wyciągnęli ze swoich domów, wszyscy pomagali nosić. Na nich wylądował imieninowy tort, obok - ciasta i soki, żadnego alkoholu. Kwiaty w doniczkach.

Imieniny można zacząć, jeszcze tylko ostatni sznyt. Pani Bogusia wieśza kolorowe trójkątki na płotach („wcześniej były balony, ale powietrze z nich schodziło i wyglądało to źle”), pilnuje dostawy stołów i żeby były obrusami przykryte (ma być elegancko!).

I tak już jest każdego roku. Zawsze w maju. Zawsze dziesiątego.

Atmosfera jest rodzinna. Są chwile wzruszenia („kiedy wspominamy tych, których już z nami nie ma”) i łączy radości („kiedy się spotkamy z kolegami, sąsiadami, przyjaciółmi niewidzianymi od lat”). Ale też i śmiech: „kiedy opowiadamy sobie historie sprzed lat - jak tę tragiczno-śmieszna, kiedy jeden z sąsiadów wyskoczył przez okno, ale się nie zabił, bo spadł na drzewo owocowe pod oknem i gałęzie zamortyzowały upadek”) - słucham coraz dziwniejszej opowieści.

- I co z nim teraz?

- Dawno się wyprowadził, mieszka na drugim końcu Polski, w Lublinie, ale często odwiedza Głogów. Przyjeżdża do nas na 10 Maja.

- Wspominamy też dawnych mieszkańców ulicy, opowiadamy tym, którzy tu teraz mieszkają - kim byli ich sąsiedzi, kto wcześniej mieszkał w ich domach. To ważne, bo pamięć bywa ulotna - mówią zgodnie i dodają: - Te spotkania są budujące. Dodają nam jakiejś takiej energii na cały rok. I chyba po każdym bardziej się z sąsiadami lubimy, choć wydaje się, że bardziej się już lubić nie da.

Ludziom spodobała się taka forma integracji. - Głogowianie zaczepiają mnie na ulicy: „Pani Bogusiu, czy na pewno w przyszłym roku będzie to święto na ulicy?”. Więc chyba im się podoba - mówi pani Bogusia.

Organizuje imieniny od początku do końca. Dbą o wszystko, począwszy od stołów, poprzez catering, na ulicznym grajku skończywszy. Organizacja takiej imprezy to koszty, ale...

- Znalazłam sposób - uśmiecha się pani Bogusia. - Napisałam projekt, żeby otrzymać pieniądze z budżetu obywatelskiego. Spodobał się w całym Głogowie. Nawet ludzie z innych części miasta głosowali na nasz pomysł. I dostaliśmy pieniądze. I w tym roku też składamy wniosek do budżetu - dodaje. Sama chodzi od domu do domu, zbiera podpisy.

- Wieczorem zmęczenie jest ogromne, ale i satysfakcję trudno opisać. To jest taka radość w sercu: że ludzie przychodzą, że się im podoba - mówi pani Bogusia.

Mieszkańcy ulicy, głos zbiorowy, niczym chór: - Doceniamy bardzo to, co Bogusia robi dla nas. Że nas tak integruje. Że dzięki niej bycie sąsiadem to nie jakieś slogany. Że to ma wartość. Że dzięki niej nie dzielimy się tylko pomidorami, które nam na działce obrodziły, ale swoim życiem - radościami, problemami. Te rozmowy są bezcenne. Budują wspólnotę. Taką naszą, maleńką, na jednej ulicy - dodają.

Wspólnota nie składa się na organizację imienin - każdy, kto przychodzi, przynosi coś ze sobą: czy to ciasteczka, czy ciasto upieczone, może być też kupione, ktoś zrobi herbatę, ktoś inny przyniesie kawę, kolejny wodę. Jak u cioci na imieninach.

Świętują i obecni mieszkańcy ulicy, i dawni, którzy zjeżdżają tego dnia choćby z Zielonej Góry, Lublina czy Wrocławia, przychodzą też osoby z pobliskich ulic i z najdalszych zakątków Głogowa. Przy jednym stole siedzą i dzieci, i dorośli, w tym historycy - ciekawi wspomnień mieszkańców. Nie może zabraknąć prezydenta Głogowa.

Jest jak w domu, młodszy usługują starszym, a to kawę przyniosą, a to cukier podadzą.

- Nigdy nie było problemu, żeby jedna sąsiadka drugiej cukru pożyczyla, nawet jak była komuna. A sąsiad coś mocniejszego, gdy zabrakło w domu, a goście na progu - śmieją się mieszkańcy.

Andrzej Ruebenbauer zastanawia się chwilę: - Pamiętam jeszcze, jak w czasach PRL co sobotę była taka sąsiedzka tradycja na ul. 10 Maja: do mojej matki schodziły się sąsiadki, znosiły wszystkie potrzebne produkty, kto co miał w domu: mąkę, jajka, owoce, cukier i wspólnie piekły ciasta. Jak pachniało w całym domu!

- A czemu u was w domu odbywało się pieczenie?

- Bo nie wszystkie panie potrafiły upiec, a moja mama tak. Uczyla je, pokazywała, co i jak, skończyła szkołę gastronomiczną.

Pani Bogusia dalej: - Chciałam, żeby na tych symbolicznych imieninach ludzie się nie tylko spotkali, zjedli i powspominali. Ale też, żeby to był taki moment pojednania, jeśli jacyś sąsiedzi są skłóceni ze sobą, to żeby podali sobie ręce na zgodę.

- Czyli nie tylko sielanka? - dopytuje.

- Mamy sąsiadów innej wiary, która nie pozwala im obchodzić imienin, urodzin i wspólnie świętować. Bo to ich zdaniem pogańskie zwyczaje. Ale szanują naszą nową, sąsiedzka tradycję, nie protestują, że ulica jest zamykana, a pod ich oknami ludzie imprezują. Dobrzy ludzie, spokojni sąsiedzi. Mają swoje



Rok 1959. Atmosfera na ul. 10 Maja nie zmieniła się przez dekady

zasady. My to szanujemy, choć integrować się w ten sposób z nami nie chcą. No i jest jeszcze jeden sąsiad na ulicy, który nikogo nie lubi.

- A jednak - nie chciałem, żeby to źle zabrzmiało, choć chyba tak właśnie zabrzmiało.

- I on nie chce mieć z nami, swoim sąsiadami, niczego wspólnego. Nic mu się nie podoba, niczego nie chce. Ale co roku liczymy na cud. Każdego roku go zapraszamy do wspólnego stołu, do wspólnego świętowania, do poznania się bliżej. Może kiedyś się przełamie, może kiedyś do nas wyjdzie.

Sąsiad, który nikogo nie lubi? Na ulicy, gdzie lubią się wszyscy? Idę do niego, ryzyk-fizyk, najwyżej przeklnie mnie albo wyśmiej, że zachwygam się 10 Maja.

Mały, zadbanej dom. Równo przystrzyżony żywopłot, który zastania ogród za domem przed oczami ciekawskich („On tam poustawiał mnóstwo krasnali ogrodowych, takich gipsowych, kolorowych” - opowiadają jego sąsiedzi).

Przed domem - na ścianie pozwieszane podkowy i wielkie, metalowe nożyce. Przy jednym z okien dziwna konstrukcja z dwóch luster: jedno skierowane na ulicę, obok drugie, które przechwytyje odbicie z pierwszego i w którym właściciel domu (nie pokazując się odpowiedzialnym) może zobaczyć, kto do niego przyszedł.



Pierwsze „Imieniny ulicy 10 Maja” odbyły się 10 maja 2018 roku - jakże inaczej, data nie mogła być inna

Przy płocie - dwie tabliczki „Uwaga! Zły pies”, choć nie słycać żadnego szczekania, gdy podchodzę przed furtkę.

Zanim nacisnę dzwonek, muszę odgarnąć pajęczyny. Widać, że rzadko ktoś korzysta z przycisku. Dzwonię. Cisza. Nikt nie wychodzi. Nie reaguje. Przychodzę pod dom pana Stanisława czterokrotnie, w różnych porach dnia. Bez skutku. Nie ma z nim kontaktu.

- Z nim już tak jest. Nie otwiera nikomu. Samotnik. Kiedyś to jeszcze okno uchylał i rzucił „złym słowem” - mówią mieszkańcy.

- „Złym słowem”?

- No, żeby odejść, ale mówił to w wulgarny sposób... Dziś tylko patrzy przez te swoje lusterka i nikomu nie otwiera.

Szkoda, bo byłem bardzo ciekawy: Jak postrzega swoich sąsiadów? Dlaczego się od nich izoluje? Czy stoją za tym jakieś niesnaski z przeszłości?

Na ulicy nóżka chodzi

Dla dzieci dzień imienin ulicy to raj. Tego jednego dnia mogą się bawić, bezpiecznie, na środku ulicy. Malować kredą, pograć w piłkę od płotu do płotu, bez obawy, że coś nadjedzie. Jest wesoło.

No, i jak to na imieninach, jest muzyka. Przez lata przychodził profesjonalny muzyk, rozkładał organy elektroniczne i grał. W tym roku był DJ. Kto ma ochotę, może potańczyć na środku

ulicy. - Ludzie czują rytm, podrygują, nóżka im chodzi. I wychodzą na środek ulicy. I tańczą. Cudowny widok - śmieją się mieszkańcy.

Pani Bogusia zapewnia, że te wszystkie zachwyty wcale nie są na potrzeby mediów. - Dowód mam - kładzie na stole ciężką, oprawioną na bordowo, księgę pamiątkową, w której co roku wpisują się goście.

Pani Bogusia napisała na stronie tytułowej: „Kochani! Z całego serca dziękuję za waszą obecność i udział w obchodach imienin ulicy 10 Maja. Oddaję w wasze ręce tę księgę, w której proszę Was o pamiątkowe wpisy. Każdy będzie na wagę złota”.

Różne kolory długopisu, różne charakterystyki pisma:

„Wychowałam się na tej ulicy od trzeciego tygodnia życia do dorosłości. Napełniłam beztróską, radością, spokojem i atmosferą wspólnoty sąsiedzkiej. Wyniosłam to w swoje dorosłe życie. Ulico, sąsiedzi, koleżanki - dziękuję”.

„Bardzo się cieszymy, że jesteśmy częścią tej pięknej ulicy i społeczności bardzo życzliwych sąsiadów (...).”

„Świetna inicjatywa dla obecnych i byłych mieszkańców 10 Maja”.

„To fantastyczna sprawa”.

„Pomysł bardzo oryginalny, godny naśladowania i kontynuacji”.

„Superdoskonała wycieczka historyczna po ul. 10 Maja”.

„Dziękuję za zorganizowanie święta mojej ukochanej ulicy 10 Maja. Dziś jestem tu z synem Wojtkiem i wnuczką Olusiem. Moja mama Irena niestety już odeszła...”.

„To możliwość poznania fantastycznych ludzi”.

„Mamy szczęście mieszkać na najpiękniejszej ulicy w Głogowie”.

„Drodzy sąsiedzi. Dziękujemy za wspólne biesiadowanie na naszej pięknej ulicy. To wyjątkowe wydarzenie (...) Niech najmłodszy uczy się od naszych najstarszych tradycji”.

„Ja chodziłam tą ulicą od września 1976 do marca 2008 do pracy do szpitala”.

Dom nr 9. Śliczny, zadbanej. Właśnie tu mieszkają Teresa i Lucjan Koch.

Klimatyczne mieszkanie na parterze - na ścianach obrazy biją po oczach soczystymi barwami. W powietrzu czuć farbami pomieszanymi z zapachem roślin zlanym deszczem. Intensywny zapach wpada przez otwarte okno.

- Dobrze, że pada. Bo sucho w ogrodzie strasznie.

- Niech pan siada, kurtkę ściągnie, porozmawiamy. O sąsiadach z ulicy? Chętnie i od razu panu powiem, że ludzie z innych części miasta nam zazdroszą. Tak, tak. Zazdroszą. Że sąsiedzi mogą tak funkcjonować obok siebie. Na zamkniętych osiedlach, w anonimowych blokach, wieżowcach - ludzie się nie znają. Nie to co u nas... - mówi pani Teresa, malarka.

Jego mąż Lucjan (przez wiele, wiele lat lokalny przedsiębiorca - prowadził m.in. najbardziej znany sklep z ekskluzywnymi ubraniami w mieście) dodaje:

- Ja żyję tu od 1960 roku. Wtedy moi rodzice kupili ten dom. Miałem 20-letnią przerwę po ślubie, ale wróciłem: mama umarła, ojciec został sam. Trzeba było się nim zaopiekować. Mieszkał z nami jeszcze 14 lat.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Ulica 10 Maja, kilka lat po wojnie. Dzieci wychowywały się wspólnie

- Dobrze nam tu. Nikt na nikogo źle nie patrzy, nikt na nikogo źle nie mówi. Wprowadziło się na naszą ulicę wielu młodych ludzi, to dobrze. To bardzo otwarcie sąsiedzi. Otwarte umysły. Świeże. Z jedną z sąsiadek mamy wspólną pasję: rośliny, wymieniamy się nawet sadzonkami. Jak trzeba, to i sąsiadce dziecko można przypilnować, jak w potrzebie jest i musi coś gdzieś szybko załatwić. I sąsiadce, co sama mieszka, w życiu codziennym pomóc, bo dzieci daleko - mówi pani Teresa. Pomoc działa w dwie strony. - Mąż wiele razy prosił kogoś z młodszych sąsiadów o pomoc: żeby przyszedł, coś mu pomógł przenieść.

Nigdy nikt nie odmówił - wspomina Teresa i dodaje: - Uważam, że trzeba być otwartym na drugiego człowieka, empatycznym. To procentuje. Jeśli lubisz ludzi, to ludzie lubią ciebie. Nie ma szans, żeby się nie porozumieć.

- Nie ma problemu, że sąsiad do sąsiada, bez umawiania się z wyprzedzeniem, bez zapowiedzi telefonicznych, wpadnie pogadać, zobaczyć co słycać. I nie ma jakiejś wrogości, dystansu. Mamy najbliższych sąsiadów innej wiary. No i co z tego? Dla nas nie ma to znaczenia. Ważne, jakim jest człowiekiem i sąsiadem - mówi pan Lucjan i dodaje: - Ja mówię mojemu sąsiadowi, co z boku mnie mieszka: „Sąsiad nie jest potrzebny bez przerwy, cały czas. Ale ważne jest to, że jak jest potrzebny, to jest obok. I pomoże”.

- Lucjan i Teresa są bardzo życzliwi, przyciągają ludzi - rzuca przysłuchująca się rozmowie pani Bogusia. - To nasze papużki-nierozłączki. Cudownie na nich patrzeć, jak się wspierają.

- Oj tak, mąż mnie wspiera. Bardzo. Zwłaszcza kiedy jakiś obraz namaluję na ciężkiej płycie i trzeba go przenieść - uśmiecha się Teresa.

Jej obrazy wiszą w całym domu. Piękne. Jedne w ramach, ale głównie bez: samo płótno naciągnięte na ramy.

Kolorowe postaci w różnych pozach i strojach (przeważają kobiety) przyciągają uwagę. Feeria barw. Uderza z nich niesamowita, pozytywna energia. Coś jak połączenie Pabla Picassa i Salvadora Dalego. Ale jednak widać oryginalny styl pani Teresy.

Ulubione obrazy pokazała sąsiadom podczas ostatnich imienin

ulicy. Te ulubione. Porozwieszała je na płocie.

Największą uwagę przyciągał portret kobiety w zielonej sukni. Tajemniczy, z dziwnymi postaciami w tle.

- Dla żony-artystki, która maluje obrazy, to dobre miejsce. Tu może być kreatywna. Może spokojnie tworzyć - mówi Lucjan.

- A ja niekiedy myślę sobie, że nawet tu za cicho jest. Wolałabym, żeby trochę szumu było: żeby dzieciaki biegały po okolicy, trochę hałasowały - dodaje pani Teresa.

Na 10 Maja mieszka sporo osób samotnych, ani dzieci, ani wnuków na miejscu nie mają. Sąsiedzi są bliskimi.

- Wiemy, jak ktoś dłużej choruje, to od razu zakupy zrobimy, po leki ktoś poleci, albo coś innego załatwić. Sąsiad jest cudownym lekiem na samotność - mówią mieszkańcy 10 Maja.

Ponad 80 procent Polaków deklaruje: nie unikamy sąsiadów

„Polacy w ogromnej większości twierdzą, że są otwarci na kontakty sąsiedzkie” - czytamy w telefonie zdanie z badań „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzonych przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS) i patrzę na reakcję pani Bogusi, która razem ze mną odwiedziła małżeństwo Kochów. Potem podrzucam jeszcze trochę suchych faktów, bo chcę wiedzieć, jak teoria ma się do praktyki: „Ankietowani utrzymują, że nie unikają sąsiadów, nie izolują się od nich (84%), więcej nawet - w miarę możliwości starają się nawiązywać z nimi kontakty, pozdrawiając, zamieniając kilka słów czy rozmawiając z napotkanym sąsiadem (88%). Zdecydowana większość badanych twierdzi, że ma życzliwych, dobrych sąsiadów, na których w razie potrzeby mogliby liczyć (80%). Jednocześnie jednak sąsiedzkie relacje większości Polaków zdają się mieć przede wszystkim konwencjonalny, grzecznościowy charakter, a prawie trzy piąte badanych przyznaje, że w relacjach z sąsiadami starają się postępować tak, by nikt z nich nie miał do nich pretensji, ale trzymają się na dystans (57%).

Pani Bogusia: - Taka wspólnota, jak u nas, jest rzadkością. W wielkich miastach, w blokowiskach jest gorzej. A na zamkniętych osiedlach? Dramat!

Jak sąsiedzi są ze sobą na „dzień dobry” - to już sukces.

- Z perspektywy socjologicznej, dobre relacje sąsiedzkie mają bezpośredni wpływ na kapitał społeczny, zasób oparty na zaufaniu i współpracy, który decyduje o jakości życia, a także o poziomie bezpieczeństwa i solidarności w danej społeczności. Tam, gdzie ludzie się znają, rośnie skłonność do pomagania, spadają poziomy anonimowości i obojętności - wyjaśnia dr Barbara Kilińska, adiunkt Wydziału Nauk Stosowanych z Uniwersytetu Dolnośląskiego DSW i dodaje: - Relacje sąsiedzkie wymagają zaangażowania, czasu i kultury dialogu. Współczesny styl życia, mobilność, tempo pracy, cyfrowa komunikacja często osłabiają potrzebę nawiązywania kontaktów z osobami „zza ściany”. Warto więc odzyskać świadomość, że sąsiad to nie tylko współlokator budynku, ale potencjalny sojusznik, przyjaciel, czasem nawet „rodzina z wyboru”. Właśnie w tych lokalnych więziach rodzi się realna demokracja i troska o otoczenie.

- Czyli bardzo poważna sprawa, choć rodzi się z prostej życzliwości - zagaduję.

- Gdy panuje życzliwość i wzajemna troska, przestrzeń ta staje się bardziej przyjazna, bezpieczna i estetyczna. Wówczas chętniej się w niej żyje, pracuje i wychowuje dzieci. Coraz częściej mieszkańcy inicjują sąsiedzkie wydarzenia: wspólne święta ulicy, lokalne obchody, pikniki czy spotkania integracyjne na podwórkach i placach. Tego typu inicjatywy sprzyjają nawiązywaniu relacji, ułatwiają rozmowę i przełamują codzienną anonimowość. Niekiedy już samo zorganizowanie prostego spotkania na świeżym powietrzu, staje się okazją do poznania się i zbudowania podstawowego zaufania.

Nie bez znaczenia jest też aspekt wychowawczy, dzieci uczą się postaw społecznych przez obserwację dorosłych. Jeśli widzą, że ich rodzice witają się z sąsiadami, pomagają im i angażują się w życie wspólnoty, wchłaniają te wartości jako coś naturalnego. Tak kształtuje się obywatelskość od podstaw.

Pół wieku temu, jak i teraz

Pani Bogusia mieszka w domu (pod trójką, przypomnijmy), w którym na parterze przez wiele lat żył i przyjmował pacjentów znany głogowski lekarz, chirurg Tadeusz Sulicki (blok operacyjny głogowskiego szpitala nosi jego imię). Już za jego czasów wspólnota międzysąsiedzka na 10 Maja miała się świetnie.

- To był sąsiad! - wspomina pan Andrzej. - Przyjechał do Głogowa w latach 60.

We wtorki i w piątki przyjmował prywatnie: w gabinecie. Ludzi była masa: z całego Głogowa przyjeżdżali, spod Głogowa furmankami, a potem dowody wdzięczności pacjentów biegały po podwórku: kury, gęsi, kaczki.

- Moja mama miała z doktorem taki układ sąsiedzki - przychodził do niej i pytał: „Pani Wando - gąska czy kaczka?”. Bo sam oskubać i ubić nie potrafił. A może nie lubił. I mama jednego ptaka dla doktora oporządzała, a drugi był dla nas - opowiada pan Andrzej i wspomina:

- Doktor to był człowiek wielu pasji. Młodzię lubił. O historii nam opo-

wiadał. Tej prawdziwej, nielegalnej, o Katyniu, o zbrodniach radzieckich. Miał wielkie poszanowanie, posłuch wielki. Nikt nawet nie pomyślał, żeby na niego donieść. A i swoimi pasjami nas, dzieciaków z 10 Maja, zarażał. Co niedziele nas do kina Bolko zabierał na seanse. Filmy o Indianach oglądaliśmy. Pamiętam, że niekiedy w czasie filmu wchodziła na salę bileterka, pani Majewska, i mówiła: „Pan Sulicki proszony do wyjścia. Pilny przypadek. Karetka już czeka przed kinem”.

Jak kupił sobie auto, piękną Warszawę, to pakował dzieciaki z sąsiedztwa do środka i wioził nas nad wodę, na Glinianki na Paulinów. A od sąsiadów za wizyty lekarskie nigdy pieniędzy nie brał. Gdy któryś z sąsiadów chciał mu zapłacić, mówił: „A w dupę mam cię kopnąć?”.

Pan Andrzej dodaje też, jak z zakładu pogrzebowego (był dokładnie vis-a-vis domu chirurga) wychodziła właścicielka i żartowała przez ulicę: „Tadziu, przysłałbyś jakiegoś klienta do mnie, a nie wszystkich tylko bierziesz dla siebie”.

Jak doktor Sulicki po sąsiedzku życie ludzkie ratował. Sam Bross był pod wrażeniem

Czuje, że o doktorze mieszkańcy mówić mogą bez końca.

Obok ul. 10 Maja, ciągnie się ulica Chopina. Mieszkała tam rodzina: matka, ojciec i czwórka dzieci, trzy córki i syn. Rok 1965.

- My, dzieciaki, bawiliśmy się w tym czasie najchętniej w wojnę. A w Głogowie sporo było jeszcze broni, niewypałów, niewybuchów, granatów poukrywanych, które potrafiłmy znaleźć. I pewnego dnia ten jeden, jedyny syn przyniósł do domu pocisk. Wiele rodzin nie miało ciepłej wody, łazienek. Oni też nie. Grzali wodę do kąpieli na środku kuchni. I ten chłopak, pach, ten pocisk w ogień wrzucił. I czekał o będzie - wspomina pan Andrzej.

Wybuch był straszny. Chłopaka na miejscu zabiło, a jedną z jego siostr odłamki poraniły okropnie. Ojciec chwycił ranną córkę i na rękach zniósł ją do karetki, która na sygnale pognęła do szpitala. Dziewiąta wieczór, sprowadzono doktora Sulickiego. Mieszkał kilkanaście metrów od szpitala.

Nie miał takiego sprzętu i aparatury, jak dzisiaj. Operował, odłamki powyciągał. Nie ruszył tylko jednego, dużego, który utkwiał przy sercu. Bo gdy próbował go ruszyć, serce natych-

miast przestawało pracować. Zaszły pacjentkę i wysłał ją na konsultację do Wrocławia. Zbadał ją sam profesor Wiktor Bross, ikona medycyny, pierwszy, który w Polsce przeprowadził operacje na otwartym sercu. Prof. Bross stwierdził: „Tu nic więcej robić nie wolno. Ten lekarz z Głogowa zrobił wszystko to, co trzeba i dobrze, że tego odłamka nie wyciągał, bo gdyby go ruszył, to pacjentka by już nie żyła”.

- I niech sobie pan redaktor wyobrazi, że ta dziewczyna, dziś starsza kobieta, żyje! Urodziła dzieci, mąż już jej umarł, a ona żyje nadal - pan Andrzej nie może wyjść z podziwu.

„Po co ma pan chować w grobie dwójkę dzieci osobno?”

Co się dziś dzieje z tą dziewczynką, cudem ocalałą w wybuchu? Gdzie jest teraz? Jak wspomina ten tragiczny czas? Janka wtedy miała 16 lat. Dzisiaj - 76.

„Kiedyś mieszkała na drugim piętrze, w starym domu, obok był garaż” - mówi mi przez telefon pan Andrzej. - „Bym pana zaprowadził, ale w szpitalu wylądowałem, podleczyć się muszę”.

Chodzę pobliską ulicą Chopina, gdzie Janka mieszkała 60 lat temu. Od domu do domu - wybieram tylko te stare, poniemieckie. Do drzwi nowych budynków nawet nie pukam.

W większości domów nikt nie otwiera. Ci, którzy są w mieszkaniach - nie kojarzą wybuchu sprzed lat, ani dziewczynki, która ocalała. Nie dziwię się - to głównie młodzi ludzie.

W jednym z domów - dwa mieszkania. Dzwonię pod dwójkę („Janka mieszkała na piętrze”).

Otwiera starsza, szczupła kobieta. Uśmiecha się: „Kogo pa szuka?”.

Ubrana jest w letnią sukienkę, z lekkim dekoltem. Na piersi widzę bliznę, która biegnie prawie od szyi w dół, w okolice serca.

- Szukam pani Janiny, która mieszkała tu jako młoda dziewczynka: Janka Wagner... - pytam, choć jestem pewien, że już ją odnalazłem.

- To ja - odpowiada kobieta. - To mnie 60 lat temu ocalał doktor Sulicki i jego zespół. Do końca życia będę mu wdzięczna. Niech pan wejdzie - dodaje i zaprasza do mieszkania na piętrze.

Siadamy w pokoju, przy stole nakrytym białym obrusem. To w tym miejscu wydarzyła się przed laty tragedia.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Mieszkańcy wspominają, że zawsze żyli z sąsiadami jak w rodzinie

- A że mnie pan tu znalazł, to dopiero niespodzianka. Wiele lat tu nie mieszkałam. Wyprowadziłam się stąd na osiedle Kopernik z mężem. Ale wróciłam tutaj, do mieszkania rodziców, po latach. Na starość.

Wspomina: - To był 25 stycznia 1965 roku. Szedł mi 16. rok życia, urodziny mam we wrześniu. Nie wiedziałam, że coś wybuchło. Myślałam, że wysiadł prąd, bo był wielki błysk i nagle zrobiło się ciemno. Nie straciłam przytomności: pamiętam widok zakrwawionego brata, który leżał oparty o drzwi, pamiętam ból, jaki mi rozrywał prawy bok, i to, że leżałam na podłodze i chciałam podsunąć sobie stołeczek, żeby na nim usiąść, ale siły nie miałam. I tatę pamiętam, jak mnie trzymał na rękach i tulił. I to, jak strasznie płakał.

I pamiętam doktora Sulickiego, bo to doktor z ulicy obok, który był przy mnie, który ze swoimi ludźmi mnie ratował.

- Ta blizna na piersi to ślad po tym wybuchu? - dopytuje.

- Nie. Tu mnie cięli lekarze z Wrocławia, już później. Doktor Sulicki mnie operował od prawej strony - bo dwa odłamki uderzyły mnie w prawy bok. Rozerwały płuco i doszły w okolice serca. Jeden zdołali wyciągnąć, drugiego - który utkwiał w osierdziu prawej komory serca - nie udało się ruszyć. A próbowali. Trzy razy. Gdy lekko wyciągali, serce przestawało bić - więc zostawili w spokoju.

Rodzina opowiadała mi, gdy doktor Sulicki wyszedł po operacji na korytarz, to był cały w mojej krwi. Tata wspominał, że wyglądał jak „po świniobiciu”. Powiedział tylko: „Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy. Córka ma cholernie silne serce, ale niech się pan z pogrzebem syna wstrzyma jeszcze. Nie wiadomo, czy córka przeżyje. Po co ma pan w grobie dwójkę dzieci chować osobno?”.

Pani Janina uśmiecha się. - A ja z tym kawałkiem metalu przy sercu już 60 lat żyję. Czworkę dzieci urodziłam.

Doktora Sulickiego widywała później wielokrotnie. - No bo przecież mieszkał niedaleko. A gdy dzisiaj przechodzi 10 Maja, zawsze go wspominam, czule, z wdzięcznością.

Dzieciarnia na środku jezdnii bawiła się razem

Gdy wracam na 10 Maja, spotykam jeszcze Eugenię Rudkiewicz, mieszka pod numerem jedenastym. Też pamięta dawne czasy, dawnych sąsiadów, żyje w tym samym domu od ponad 50 lat.

Wita mnie w progu. Zaprasza do środka.

- Z roku na rok coraz gorzej z pamięcią. Ale dobre rzeczy pamiętam. Na przykład to, jak się tu, na 10 Maja sprowadziłam. Bo to była dobra decyzja, żeby tu zamieszkać, wśród dobrych ludzi.

Pani Eugenia przyjechała na Dolny Śląsk tuż po wojnie, z Tarnopolskiego, z Kresów. Ale nie od razu do Głogowa. Najpierw zamieszkała w pobliżu Rudnej.

Zaczyna snuć opowieść: - Mąż pracował w terenie, ja na miejscu - w Rudnej. W skupie żywca pracę dostałam. Dobrą. A męża tak poznałam, że siedziałam przy biurku, przy oknie, a on na dachu pracował. I mnie zaczęła. Małymi kamykami we mnie rzu-



Bogusia (na zdjęciu po prawej) jest naszą sąsiadką od niedawna. Ze 12 lat. Ale to ona wymyśliła święto „Imieniny ulicy 10 Maja”, ona nas integruje. Cudowna sąsiadka - mówi Andrzej Ruebenbauer

cał. Żeby uwagę zwrócić. No i zwrócił - uśmiecha się kobieta.

- „Danka” na mnie wołali, choć wpisane w papierach mam „Eugenia”. Mąż jeździł do pracy, a to do Legnicy, a to do Polkowic. I co rusz mu jakieś mieszkanie służbowe proponowali, a ja się z tej Rudnej ruszać nie chciałam. Ale, gdy kolejne mieszkanie, na 10 Maja właśnie można było kupić, najpierw je zobaczyła moja mama. Zachwyciła się tym miejscem i powiedziała: „Kupujcie”. I tak tu jestem tyle lat. I nie żałuję przeprowadzki - wspomina.

W domu, w którym mieszka do dzisiaj, wprowadziła się w latach siedemdziesiątych.

- Dzieci było tu mnóstwo, a samochodów mało, więc dzieciarnia na środku jezdnii się bawiła razem. Przy dzieciach każdy każdemu pomagał, w opiece. Ja w szpitalu pracowałam, mąż był elektrykiem. Trójka dzieci, w ogródku warzywa, owoce no i świnka, i kury - opowiada.

- I wie pan, cieszy mnie to, że czasy się zmieniają, a ludzie się nie zmieniają. Dzisiaj też, nawet bardziej, bo dzieci daleko, na sąsiadów liczyć mogę. O, niby błaża rzecz, a jednak ważna. Dzwonek do drzwi mi się zepsuł. Sąsiad przyszedł, naprawił, grosza nie wziął. Za „dziękuję” - opowiada pani Eugenia i dorzuca:

- Mówi się, że czasy niebezpieczne, że ludziom ufać nie należy. Ludziom może i nie, ale sąsiadowi? - uśmiecha. - Sąsiedzi nawet klucze mają od mojego domu, tak na wszelki wypadek. Gdybym zasłała.

Góra z górą się nie zejdzie, ale sąsiad z sąsiadem

Państwo Stanisława i Piotr Kachnowicz mieszkają pod numerem szóstym. Sprowadzili się tu 20 lat temu, do mieszkania na parterze. Wcześniej mieszkali m.in. w czteropiętrowym bloku, też w Głogowie, przy ul. Obrońców Pokoju.

Pan Kachnowicz: - Jak trzeba z mechaniką coś w aucie pomóc, to sąsiad zza płotu nigdy nie odmawia. Jak to mówią: w rodzinie dobrze mieć księdza, lekarza i mechanika samochodowego. My tego ostatniego mamy za sąsiada - uśmiecha się.

- Ja jestem urodzony na wsi. Cenię sobie spokój, a mieszkając na tej ulicy spokój jest. Okno można otworzyć, poddychać swobodnie.

Gdy słucham ich opowieści, wracają wspomnienia. Moje wspomnienia o sąsiadach z dzieciństwa. Bo przecież państwo Kachnowiczowie byli moimi sąsiadami. Dwa piętra niżej, kiedy jako mały Robercik (ponad cztery dekady temu) mieszkałem w Głogowie, w bloku w wielkiej płyty, właśnie przy Obrońców Pokoju.

- A co u rodziców?
- A państwo mieli dwóch synów.
- A jak tam siostra?
- A co słyhać u dawnych sąsiadów? Macie z nimi kontakt?

Opowieści o rodzinie, sąsiadach z bloku przy Obrońców, przeplatają się jedna z drugą, kto na którym piętrze mieszkał, co u kogo słyhać.

Sąsiadów się nie zapomina. A spotkać ich po latach to jak cud.

WZROST INTENSYWNOŚCI SĄSIEDZKICH WIĘZI TO EFEKT UBOCZNY PANDEMII COVID-19?

Genialna poetka Agnieszka Osiecka pisała przed laty: „Jak dobrze mieć sąsiada/Jak dobrze mieć sąsiada/On wiosną się uśmiechnie/Jesienią zagada”. Sielankowo jest w tekście piosenki Osieckiej. A jak wyglądają relacje międzysąsiedzkie w Polsce w ostatnich latach?

Odpowiedź mogą przynieść badania „Relacje sąsiedzkie” przeprowadzone przez Centrum Badań Opinii Społecznej (CBOS), a opublikowane w styczniu 2025 roku.

- Odkąd prowadzimy badanie więzi społecznych w miejscu zamieszkania, możemy obserwować, że relacje sąsiedzkie o charakterze czysto grzecznościowym i konwencjonalnym stają się stopniowo (zwłaszcza w ostatnim siedmiolecu) coraz mniej powszechne. W ciągu całego analizowanego okresu niespełna trzydziestu lat obserwujemy także minimalne, ale jednak dość systematyczne, zmniejszanie się zakresu sąsiedzkiego współdziałania o charakterze pomocowym, polegającego na wyświadczeniu sobie drobnych przysług, jak np. pożyczanie sobie czegoś, pilnowanie domu, pomoc w opiece nad dziećmi czy odbieranie przesyłek. Być może to ostatnie zjawisko świadczy o wzroście dostępności i jakości profesjonalnych usług wszelkiego rodzaju, co nie wymusza już konieczności proszenia sąsiadów o tego typu pomoc - informuje CBOS.

Natomiast dużo częstsze w relacjach z sąsiadami, niż były rejestrowane przez badaczy kiedykolwiek wcześniej, są dzisiaj kontakty o charakterze towarzyskim - wzajemne odwiedzanie się, bywanie u siebie na uroczystościach rodzinnych czy innych spotkaniach.

- W porównaniu z 2017 rokiem odsetek badanych, którzy utrzymują tego typu zażyłe kontakty z sąsiadami, wzrósł aż o 20 punktów procentowych. Tę tendencję wzrostową obserwujemy również w dłuższym okresie - jeśli za punkt odniesienia przyjąć rok 1995, to odsetek tego typu relacji zwiększył się o 14 punktów procentowych - czytamy w raporcie Centrum Badań Opinii Społecznej.

Od roku 2008 na podobnym poziomie utrzymuje się liczba sąsiedzkich konfliktów.

Polacy deklarują, że konflikty w najbliższym sąsiedztwie zdarzają się tylko nielicznym spośród nich, co jedenasty (9%) z badanych przyznał, że jest skonfliktowany z sąsiadami. W większości przypadków są to spory czy animozje ze stosunkowo niewielką grupą (od jednego do pięciu sąsiadów - 7%). Tylko zupełnie nieliczni (1%) są skonfliktowani i żyją jak przystawiony pies z kotem z większością sąsiadów.

- Mimo spadku niewielkiego znaczenia samopomocowych usług sąsiedzkich, ogólnie rzecz biorąc w ciągu ostatnich siedmiu lat zdecydowanie zwiększył się wcześniej dość stabilny odsetek badanych utrzymujących bliskie relacje z sąsiadami, zarówno te o charakterze towarzyskim, jak i pomocowym. O ile w okresie 2008-2017 odsetek ten nie przekraczał jednej trzeciej deklaracji, to obecnie sięga prawie połowy wskazań. Z drugiej strony wyraźnie zmniejszyła się liczba badanych utrzymujących tylko jednego typu kontakty z sąsiadami, natomiast nie zmienił się odsetek respondentów nieutrzymujących żadnych bliższych z nimi kontaktów. Tak znaczący wzrost intensywności sąsiedzkich więzi w ostatnich latach można interpretować jako efekt uboczny pandemii COVID-19 i okresu społecznej izolacji, która siłą rzeczy skazywała nas na współdziałanie z najbliższymi sąsiadami. Zadzierzgnięte wówczas więzi najwyraźniej utrzymują się do dziś - podsumowuje CBOS w swoich najnowszych badaniach.

PROCES W SPRAWIE ZABÓJSTWA IWONY CYGAN TRWA SIEDEM LAT. KIEDY WYROK?

Do zabójstwa Iwony Cygan doszło w 1998 roku, ale do dziś nikt nie odpowiedział za zbrodnię dokonaną na 17-letniej mieszkance Szczucina. Od ponad siedmiu lat w Sądzie Okręgowym w Rzeszowie trwa proces. Kiedy możemy spodziewać się wyroku?

Robert Gąsiorek

Na temat zabójstwa, do którego doszło w sierpniu 1998 roku w Szczucinie, zrodziło się wiele teorii i domysłów. Śledztwo w sprawie zbrodni mimo przesłuchań szeregu osób i przeróżnych ekspertów przez wiele lat nie mogło się doczekać szczęśliwego finału. Gdyby nie upór bliskich Iwony oraz ich prawnika, śledztwo prawdopodobnie już dawno byłoby umorzona. Tymczasem ku końcowi zmierza proces, który od ponad siedmiu lat toczy się przed Sądem Okręgowym w Rzeszowie. Na ławie oskarżonych zasiada w sumie 17 osób. Wśród nich Paweł K., który zdaniem prokuratury brutalnie zamordował młodą mieszkankę Szczucina, a także jego ojciec Józef, który miał mu pomagać w dokonaniu zbrodni.

- Proces trwa bardzo długo i już chcemy jego końca - mówi Aneta Kupiec, siostra zamordowanej 27 lat temu Iwony Cygan.

Brutalne zabójstwo

Ciało nastolatki zostało odnalezione 14 sierpnia 1998 r. w miedzywaniu Wisły w Łęce Szczucińskiej. Zwłoki nosiły ślady pobicia, na szyi Iwony zacisnięty był metalowy drut, ręce miała związane z tyłu sznurkiem. Sekcja wykazała, że zginęła na skutek duszenia i zachłyśnięcia własną krwią. Przed śmiercią sprawca się nad nią znęcał - obciążł jej część włosów i wyrwał kolczyki.

Bezpośrednio po zabójstwie Iwony Cygan nie udało się ustalić sprawcy. Początkowo śledztwo prowadziła prokuratura w Dąbrowie Tarnowskiej, później sprawą zajmowała się Prokuratura Okręgowa w Tarnowie. Postępowanie było kilkakrotnie umarzane, wznawiane i znowu zamykane. Po kilku latach sprawą zainteresowało się policyjne Archiwum X. W wyniku poczynionych ustaleń w 2009 r. śledztwo podjęła Prokuratura Okręgowa w Tarnowie, ale wciąż nie przynosiło ono rezultatów.

Przełom nastąpił w 2016 r. Sprawą zajęli się wtedy Wydział Zamiejscowy Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Krakowie. Do pracy nad sprawą wrócili też policjanci z krakowskiego Archiwum X.

Złamana zмова milczenia

O tym, że śledztwo nabrało tempa, można się było przekonać w październiku 2016 roku. W Łęce Szczucińskiej odbył się wtedy eksperyment procesowy, mający na celu ustalenie istotnych dla śledztwa okoliczności sprawy, jak również weryfikację materiałów dowodowych.

- Jesteśmy o krok od złapania zabójców. Śledztwo jest bardzo zaawansowane, a miejscowa zмова milczenia została złamana. Są świadkowie, którzy wskazują określone okoliczności sprawy. Poddajemy je teraz weryfikacji - mówił wtedy prokurator Piotr Krupiński, naczelnik małopolskiego oddziału Prokuratury Krajowej, który zajmował się sprawą zabójstwa Iwony Cygan.

W trakcie eksperymentu wykorzystano specjalistyczny sprzęt, m.in. dron oraz cyfrowe urządzenie do mapowania miejsc zdarzeń. Po wykonanych czynnościach śledczy przekazali, że udało im się znaleźć drut, z którego zabójcy oderwali prawdopodobnie kawałek, by zacisnąć go na szyi Iwony. Do prokuratury zaczęli się też zgłaszać świadkowie, którzy dzielili się swoimi informacjami nt. śmierci dziewczyny. Śledczy podkreślali, że w końcu na dobre udało im się złamać zmovę milczenia, która panowała w Szczucinie.

Pierwsze zatrzymania w sprawie zabójstwa Iwony Cygan nastąpiły pod koniec 2016 roku. Do aresztu trafił m.in. Józef K., który usłyszał zarzut pomocnictwa w zabójstwie ze szczególnym okrucieństwem. Zatrzymano również Renatę G., przyjaciółkę Iwony, która odpowiada dziś przed sądem za składanie fałszywych zeznań, a także dwóch policjantów Leszka W. i Grzegorza J., którzy w okresie, gdy doszło do zbrodni, pracowali w Komisariacie Policji w Szczucinie.

Prokuratura wystawiła też list gończy za Pawłem K., czyli synem Józefa K., którego prokuratura oskarża o zabójstwo ze szczególnym okrucieństwem. Mężczyzna został schwytyany w Austrii 9 stycznia, a następnie deportowany do Polski.

Początkiem stycznia 2017 roku prokuratura wspólnie z policją przeprowadziła kolejny eksperyment procesowy. Doszło do niego w środę dnia, w samym centrum Szczucina. Odtwarzano moment, w którym Iwona wsiadała do poloneza, którym mógł się poruszać Paweł K.

Pierwszy wyrok

W marcu 2017 roku zapadł pierwszy wyrok w sprawie zabójstwa Iwony Cygan. Sąd Rejonowy w Dąbrowie Tarnowskiej na 11 miesięcy więzienia, w zawieszeniu na dwa lata oraz 3 tys. zł grzywny skazał Leszka W. Były policjant komisariatu w Szczuci-

ROZSTRZYGNĘCIE SĄDU BĘDZIE OGROMNYM PRZEŁOMEM W SPRAWIE, KTÓRA OD 27 LAT CZEKA NA WYJAŚNIENIE

nie uznany został winnym nadużycia uprawnień w celu osiągnięcia korzyści majątkowej oraz utrudniania śledztwa.

W kolejnych miesiącach zatrzymano innych byłych, a także pracujących wtedy funkcjonariuszy policji ze Szczucina i Dąbrowy Tarnowskiej. Wśród nich znalazł się m.in. były komendant Komendy Powiatowej Policji w Dąbrowie Tarnowskiej Andrzej K., były szef szczucińskiego komisariatu Maciej Cz. oraz były szef wydziału kryminalnego dąbrowskiej komendy Bogdan P.

W sumie w sprawie zarzuty niedopełnienia obowiązków i utrudniania śledztwa usłyszało 14 byłych już funkcjonariuszy policji.

Śledztwo prowadzone przez prokuratora Krupińskiego zakończyło się 1 grudnia skierowaniem do Sądu Okręgowego w Tarnowie aktu oskarżenia przeciwko wszystkim podejrzanym.

Oskarżeni są już na wolności

Ostatecznie proces został przeniesiony do Sądu Okręgo-

wego w Rzeszowie. Temu, aby sprawa nie była rozpatrywana, przez tarnowski sąd, sprzeciwiała się rodzina Iwony Cygan.

O przeniesieniu sprawy do Rzeszowa zdecydował ostatecznie fakt, że wszyscy sędziowie Sądu Okręgowego w Tarnowie wystąpili o wyłączenie ich od udziału w rozpoznaniu sprawy zabójstwa Iwony Cygan. Na decyzję sędziów wpłynęło to, że jeden z oskarżonych w sprawie zabójstwa nastolatki ze Szczucina, były policjant Maciej Cz., był powiązany rodzinnie z sędziami tarnowskiego sądu.

Proces w rzeszowskim sądzie ruszył 6 czerwca 2018 roku. Został on w dużej mierze utajniony. Gdy postępowanie sądowe się rozpoczynało, tylko jeden oskarżony odpowiadał z wolnej stopy. Reszta była doprowadzana na rozprawy z aresztów śledczych.

W październiku 2018 roku sąd uchylił takie środki zapobiegawcze wobec większości oskarżonych. Za kratkami pozostali wtedy jedynie Paweł K. i jego ojciec Józef. Jednak i oni po kilku latach wyszli na wolność.

W październiku 2021 roku sąd zdecydował o zwolnieniu z aresztu ze względów zdrowotnych Józefa K. Natomiast w czerwcu 2022 roku na wolność wyszedł Paweł K. W uzasadnieniu takiej decyzji sąd odwoływał się m.in. do Europejskiej Konwencji o Ochronie Praw Człowieka i Podstawowych Wolnościach.

- Sąd nie zmienił zdania, że w stosunku do oskarżonego ustały przesłanki do stosowania środków zapobiegawczych, ale w miarę upływu czasu tymczasowy areszt odbierany jest jako antycypacja kary - wyjaśniała wtedy Brygida Gradkowska-Ferenc, ówczesna rzeczniczka prasowa Sądu Okręgowego w Rzeszowie.

Z argumentacją sądu nie zgadzała się rodzina Iwony Cygan. Ale zaskarżona przez nich

oraz prokuratura decyzja sądu została ostatecznie utrzymana i wszyscy oskarżeni odpowiadają przed rzeszowskim sądem z wolnej stopy.

Proces w sprawie zabójstwa Iwony Cygan trwa już ponad siedem lat. W tym czasie przesłuchano kilkuset świadków, w tym tzw. świadków incognito. W sprawie wypowiedziało się również szereg biegłych z różnych dziedzin.

- Z pewnością liczbą świadków, liczba opinii, w ogóle całe postępowanie przygotowawcze, jakie w tej sprawie się toczyło i problemy z tym związane, które zresztą znajdują odzwierciedlenie na liście oskarżonych, bo pamiętajmy, że jest tam cała grupa policjantów, świadczą o tym, że ta sprawa należy do trudniejszych, jakie znalazły się na wokandzie Sądu Okręgowego w Rzeszowie - mówi sędzia Tomasz Mucha, rzecznik prasowy Sądu Okręgowego w Rzeszowie.

W trakcie toczącego się procesu dziennikarz Mateusz Baczyński opublikował materiały, które podają w wątpliwość ustalenia prokuratora Krupińskiego i policjantów z Archiwum X. Rodzina Iwony Cygan ocenia to jednak jako forsowanie linii obrony oskarżonych i uderzenie w dobre imię zmarłej nastolatki.

- Zaczęły powstawać różne historie na temat Iwony, ale to jest narracja oskarżonych, którą od wielu lat już słyszę. Nasz mecenas zawsze powtarzał, że prawda zawsze się obroni i w to głęboko wierzę. Jeździłam na rozprawy, czytałam akta sprawy i wiem, jakie są dowody - podkreśla Aneta Kupiec.

Czekając na wyrok

Jak udało się nam dowiedzieć, proces w sprawie zabójstwa Iwony Cygan zmierza ku końcowi. Wyrok może zostać ogłoszony na początku przyszłego roku. - Sędzia referent widzi szansę na zakończenie postępowania w pierwszym kwartale przyszłego roku - potwierdza sędzia Mucha.

Rozstrzygnięcie sądu, choć jeszcze nieprawomocne, będzie ogromnym przełomem w sprawie, która od 27 lat czeka na wyjaśnienie.



Proces w sprawie zabójstwa Iwony zmierza ku końcowi. Głównym oskarżonym jest Paweł K.



Sobór rozpoczął ingres 2540 ojców soboru do Bazyliki Świętego Piotra, a następnie odbyła się uroczysta msza święta do Ducha Świętego

SOBOROWE ABC. W 63. ROCZNICĘ SOBORU WATYKAŃSKIEGO II

11 października 1962 r. Jan XXIII otworzył w Watykanie pierwszą sesję soboru powszechnego, który przeszedł do historii jako Vaticanum Secundum

Mariusz Grabowski

Sobór rozpoczął ingres 2540 ojców soboru do Bazyliki Świętego Piotra, a następnie odbyła się uroczysta msza święta do Ducha Świętego, którą celebrował dziekan kolegium kardynalskiego Eugène Tisserant, o którym chodziły słuchy, że „władza wszystkim językami świata (znał m.in. perski i amharski).

Ojcowie soboru złożyli wyznanie wiary i wysłuchali przemówienia Jana XXIII.

Bez precedensu

Sobór trwał do 8 grudnia 1965 r., a po śmierci Jana XXIII przewodniczył mu Paweł VI. Ogłoszono 16 dokumentów, reformujących niemal całość życia Kościoła: cztery konstytucje (trzy dogmatyczne, jedną duszpasterską), dziewięć dekretów i trzy deklaracje.

O ile poprzednie sobory powszechne koncentrowały się wokół dogmatów o Chrystusie i Trójcy Świętej, o tyle Sobór Watykański II był zorientowany na „duszpasterski konkret”, na wewnętrzną odnowę całego Kościoła. Był pierwszą, zakrojoną na tak szeroką skalę refleksją Kościoła o sobie samym, aby mógł skuteczniej ewangelizować świat.

Ostatnim akcentem soboru było uroczyste publiczne posiedzenie na placu przed Bazyliką św. Piotra, msza celebrowana przez Pawła VI, orędzie papieża i ojców soboru oraz odczytanie papieskiego breve „In Spiritu Sancto”, oznajmiającego zamknięcie obrad.

Jak podają autorzy tomu „Katolicyzm A-Z” (hasło: „Sobór Watykański II”), w obradach uczestniczyło 3058 ojców soborowych, czyli 108 kardy-

nałów, 5 patriarchów, 9 prymasów, 543 arcybiskupów, 2171 biskupów, 12 opatów udzielnych, 16 prałatów udzielnych, 65 prefektów apostolskich, 129 wyższych przełożonych zakonnych.

Wspomagało ich ponad 450 ekspertów. Przysłuchiwało im się ponad 50 audytorów i 106 obserwatorów delegowanych przez 28 wspólnot niekatolickich. Z Europy uczestniczyło 1060 ojców soborowych, z Ameryki Północnej 416, z Ameryki Środkowej 89, z Ameryki Południowej 531, z Azji 408, z Afryki 381, z Australii 74.

Ponadto w soborowym biurze prasowym pracowali dziennikarze przygotowujący codzienne oficjalne sprawozdania. W czasie obrad pracowali dyżurni, zwykle księża studiujący w Rzymie, którzy doręczali

dokumentację ojców soborowym, zakrystianie, technicy, lekarze i sanitariusze, kucharze i kelnerzy przygotowujący posiłki oraz funkcjonariusze straży watykańskiej. W czasie soboru odbyło się 168 posiedzeń plenarnych, 10 posiedzeń publicznych, 147 przemówień, zwanych relacjami, w których omawiano treść projektów uchwał.

Postanowienia

Pod względem doktrynalnym sobór uroczystie potwierdził niektóre elementy tradycyjnego nauczania papieża ostatnich dziesięcioleci lub włączył do magisterium Kościoła postulat teologów, np. przyłączenie się Kościoła katolickiego do ruchu ekumenicznego, wprowadzenie języków narodowych do liturgii, przyznanie większego znaczenia Pismu Świętemu w liturgii i życiu Kościoła itp.

W soborowym nauczaniu znalazły się też i takie elementy, które zostały ponownie odkryte po wiekach zapomnienia, gdyż znane były już w początkach chrześcijaństwa, np. kolegialność, diakonat stały, koncelebra, komunie św. pod dwiema postaciami dla wszystkich.

Niektóre postanowienia soboru - wielokrotnie później krytykowane - oznaczały zupełną zmianę w nauczaniu Kościoła katolickiego, np. przyznanie prawa do wolności religijnej wszystkim (a nie, jak dotychczas, tylko katolikom) czy uznanie pozytywnych elementów w innych wyznaniach chrześcijańskich, a nawet w religiach niechrześcijańskich.

Ille było soborów?

Vaticanum II wpisywał się w istniejącą od starożytności tradycję spotkania biskupów całego Kościoła w celu ustanowienia praw kościelnych i uregulowania spraw doktryny wiary i moralności. Początkowo sobory były zwoływane przez cesarzy rzymskich. Ich postanowienia musiały być jednak zaakceptowane przez biskupa Rzymu.

Historycy Kościoła są zgodni, że odbyło się 21 soborów powszechnych (od Nicejskiego I w 325 r. do Watykańskiego II). Według obecnego prawa kanonicznego (kan. 337-341) papież zwołuje sobór według własnego uznania, przewodniczy jego obradom osobiście lub przez delegatów, a także określa ramy obrad i zatwierdza dekrety soborowe. Śmierć papieża podczas trwania obrad powoduje ich zawieszenie do czasu wznowienia przez następcę.

Chrystus i Wielkanoc

Otwarta pozostaje sprawa tzw. Soboru Jerozolimskiego opisanego w Dziejach Apostolskich (15,2-29) jako zebranie apostołów i starszych w Jerozo-

limie ok. roku 49. W sensie ścisłym nie był to sobór powszechny, choć rozstrzygnięto na nim kwestię konieczności przestrzegania wymogów prawa przez chrześcijan pochodzenia nieżydowskiego - nawróconych pogan.

Pierwszym soborem powszechnym był Sobór Nicejski I zwołany przez cesarza Konstantyna do Nicei w Bitynii, trwający od 19 do 25 lipca 325 r. Postanowienia na nim zapadłe wywarły znaczący wpływ na dalszy rozwój religii, kultury i nauki, a także długotrwałe oddziaływały na wydarzenia polityczne.

W zgromadzeniu, które obradowało w auli pałacu cesarskiego, wzięło udział ok. 220 hierarchów pod przewodnictwem Hozjusza z Kordoby. Podczas obrad sformułowano wyznanie wiary, w którym sprecyzowano naukę o Bogu Ojcu i Bożym Synu, uznając, że Jezus Chrystus jest Bogiem, ponieważ jest współistotny („homousios”) Bogu Ojcu. Użycie nomenklatury filozoficznej świadczy, że podstawy ówczesnej doktryny chrześcijańskiej precyzowano za pomocą terminów z nauki greckiej.

Zgromadzenie wprowadziło także jednolity dla całego Cesarstwa Rzymskiego termin obchodów uroczystości upamiętniającej zmartwychwstanie Chrystusa: w pierwszą niedzielę po pierwszej wiosennej pełni Księżyca. Na tej podstawie cesarz Konstantyn ustanowił doroczne święto państwowe, czyli Wielkanoc.

Nie każdy taki sam

Stosunek innych Kościołów chrześcijańskich do soborów jest zróżnicowany. Cerkiew prawosławna i tzw. Kościoły starokatolickie uważają za powszechne tylko pierwsze siedem soborów (od Nicejskiego I do Nicejskiego II). Prawosławie uznaje również sobory IV (równoległy do soboru zwołanego przez papieża Hadriana II) i V, które odbyły się w Konstantynopolu.

Protestanci z kolei, opierając się na zasadzie „sola scriptura” (jedynie Biblia stanowi nieomylny autorytet w sprawach wiary) uznają, że sobory powszechne są ze swej natury omylne, a ich postanowienia należy zakwestionować w sytuacji, gdy znajdują się one w sprzeczności z nauką Pisma Świętego.

Mimo to zdecydowana większość protestantów na podstawie samej Biblii uznaje, że postanowienia dotyczące Trójjedności Boga i natury Chrystusa wyrażone w czterech pierwszych soborach ekumenicznych (od Nicejskiego I do Chalcedońskiego) wyrażają naukę biblijną.

Synodalne ścieżki

Sobory są wydarzeniami o charakterze powszechnym

i nie są tym samym, co synody, mające charakter lokalny. Mają tradycję równie starożytną - pierwszy synod to tzw. synod rzymski z roku 154 pod przewodnictwem biskupa Rzymu Aniceta przy okazji wizyty w mieście św. Polikarpa ze Smyrny, późniejszego męczennika.

Wydaje się, że synody odbywały się i stanowiły pewną podstawową formę działania w pierwszym okresie istnienia Kościoła. Żyjący na przełomie II i III wieku Tertulian uważa je za zjawisko zupełnie normalne, a na nich „ważniejsze sprawy rozważa się wspólnie”, zaś żyjący pół wieku później Firmilian z Kapadocji potwierdza w korespondencji ze św. Cyprianem, że „corocznie jako starsi i przełożeni się zbieramy, aby zarządzić, co naszej trosce jest powierzone”.

Gdy uformowała się także struktura patriarchatów, czyli głównych ośrodków danego regionu świata, takich jak np. Rzym, Aleksandria czy Antiochia, na ich czele stawali biskupi tych stolic. „Biskupi prowincji lub patriarchatu gromadzili się zatem na wzór Apostołów z Piotrem, by rozstrzygać w Duchu Świętym potrzeby Kościoła” - pisze ks. Mariusz Bakalarz w tekście „Skąd się wzięły synody?”.

Będzie kolejny sobór?

W kręgach teologów, zwłaszcza konserwatywnych, od wielu lat mówi się o zwołaniu kolejnego soboru, który miałby „przywrócić” równowagę doktrynalną, przechyloną na Vaticanum II w stronę liberalizmu.

Wierni pamiętają jeszcze reakcję papieża Franciszka, gdy 14 września 2017 r., wchodząc do wypełnionej biskupami z całego świata Sali Klementyńskiej Pałacu Apostolskiego, zapytał: „Czy to sobór watykański III?”.

Ten papieski żart nabiera wymowy, gdy ma się świadomość, do kogo został zaadresowany. Takimi słowami Franciszek rozpoczął spotkanie z ponad setką biskupów, którzy przyjęli wówczas święcenia. W przemówieniu papież podkreślił m.in., że biskupi nie mogą godzić się jedynie na „potwórki z przeszłości”, ale muszą mieć „odwagę postawienia pytania, czy propozycje z wczoraj są nadal ewangelicznie ważne”.

Zgodnie z Kodeksem Prawa Kanonicznego to do papieża należy określanie, które sprawy mają być przedmiotem obrad soboru, oraz ustalanie porządku obowiązującego w czasie jego trwania.

Kodeks precyzuje również, że „wszyscy i tylko biskupi, którzy są członkami kolegium biskupów, mają prawo i obowiązek uczestniczenia w soborze powszechnym z głosem decydującym”.

ANIOŁY RZEMIOSŁA. WIELKA SZANSA DLA ARTYSTÓW RZEMIEŚLNIKÓW Z CAŁEJ POLSKI

Do 10 października każdy artysta może zgłosić się do konkursu „Anioły Rzemiosła”. Nagrodą jest roczne stypendium w wysokości 60 tysięcy złotych i wystawa w Łazienkach Królewskich. Bez wsparcia rzemiosło nie ma szans przetrwać – podkreśla pomysłodawczyni konkursu projektantka mody Izabela Łapińska

Anita Czupryn

Dla kogo jest konkurs „Anioły Rzemiosła”?

„Anioły Rzemiosła” to konkurs dedykowany artystom i rzemieślnikom z całej Polski. W tym roku odbywa się jego druga edycja. Na zgłoszenia czekamy do 10 października. Zwieńczeniem będzie gala i wystawa finałowa w Pałacu na Wyspie w Łazienkach Królewskich. Zwycięzcy otrzymają roczne stypendium na rozwój swojego talentu. Do konkursu może zgłosić się każdy, o ile prace będą z jednej kategorii: haft i koronkarstwo, złotnictwo i jubilerstwo, kowalstwo i metaloplastyka.

Jak narodził się ten pomysł?

Pomysł zrodził się z mojej pasji do rzemiosła. Od zawsze przy tworzeniu kolekcji współpracowałam z rzemieślnikami: hafciarkami, artystami robiącymi guziki czy inne niezwykle detale. Kocham pracę twórczą wykonaną rękami. Jej szlachetność i niepowtarzalność zawsze podkreślała walory moich kreacji. Wiele lat temu, kiedy zaczynałam swoją karierę, rzemiosło w Polsce kojarzyło się raczej z Cepelią, czymś nieco prząsnym, odziedziczonym po Polsce Ludowej. Poznałam wiele utalentowanych i wyjątkowych ludzi, z ogromnym umiętnościami, którzy nie mieli możliwości, by pokazać swoje prace szerszej publiczności. Pytali mnie wtedy: „Gdzie mogę zaprezentować swoją pracę? Czy ktoś będzie zainteresowany zakupem?” Sama też jestem rzemieślnikiem. Byłoby łatwiej gdybym była częścią dużej korporacji lub chociaż posiadała duże

przedsiębiorstwo, wtedy też bym ich zatrudniała, jak Roberto Cavalli zatrudniał setki szwaczek z Kalabrii. Za każdym razem, gdy pojawia się u mnie utalentowana osoba, przypominam sobie własną drogę sprzed lat. Z całego serca chce, aby moi koledzy i koleżanki po fachu mogli pokazać światu swój talent i być docenionym. I tak powstał pomysł „Anioły Rzemiosła”. Do prezentacji prac rzemieślników wybrałam Łazienki Królewskie, miejsce wyjątkowe - Pałac reformatora i wybitnego mecenasa Króla Stanisława Augusta, który był właśnie patronem artystów.

Wspaniale i dumnie to brzmi, by mieć wystawę właśnie tam.

Dobrze pamiętam siebie sprzed wielu lat. Moje marzenia się spełniły, pokazywałam swoje kolekcje w wyjątkowych miejscach, obcując ze wspaniałą publicznością. Przez lata pracy spotkałam niezwykle ludzi: wspaniałych i wybitnych aktorów, choreografów, dziennikarzy, którzy dzielili się ze mną swoją przestrzenią artystyczną, zapraszając mnie do mediów. Dzięki temu mogłam opowiadać światu o tym, co robię. Dzisiaj sprawia mi wielką radość dzielenie się moim doświadczeniem. A moją myślą przewodnią „Aniołów Rzemiosła” stało się motto: Daj skrzydła talentom!

Dzisiaj w szkole dzieci nie uczą się haftowania, nie wyszywają na tamborku, nie mają zajęć praktyczno-technicznych z haftu. Na wsiach nie

spotka się już kowali. Znikają dawne profesje. Konkurs Anioły Rzemiosła ma chronić ginące rzemiosło?

O to również chodzi! W swoich pracach zawsze starałam się przywracać dawny kunszt epoki. Pamiętam sytuację sprzed kilkunastu lat, kiedy pojechałam do Częstochowy i zobaczyłam szyl: „Zakład sztukaterii. Likwidacja”. Weszłam do zakładu, w którym siedział 80-letni pan. Pytam: „Naprawdę zamyka pan zakład?”. A on odpowiedział: „Proszę pani, dziś wszyscy kupują styropian, sztukaterii już nikt nie chce”. To było przykre. Podobna historia miała miejsce na Powiślu w zakładzie parasoli, którego dzisiaj już nie ma. Kiedyś było takie powiedzenie: Pasują jak rękawiczki. A dlaczego? Ponieważ były szyte na miarę. Dlaczego musimy jeździć do Paryża, czy Londynu, aby móc zamówić tak piękne i potrzebne przedmioty naszej garderoby. To właśnie przed wojną do Polski przyjeżdżali goście na zakupy tak wyjątkowych przedmiotów. Polska kultura została okaleczona przez wojny i doświadczenia historyczne. W sklepach nie było wyboru, a Polki słynące z szyku i elegancji miały jedno wyjście: skomponować, dopasować i uszyć

DLACZEGO MUSIMY JEŹDZIĆ DO PARYŻA, CZY LONDYNU, ABY MÓC ZAMÓWIĆ TAK PIĘKNE I POTRZEBNE PRZEDMIOTY NASZEJ GARDEROBY

swoją własną strój. Był to powód, dla którego ręczna praca przestała kojarzyć się z luksusem, jednocześnie triumfowały sklepy sieciowe, co do dzisiaj mnie zadziwia. Pamiętam, jak proponowałam komuś ręczny haft czy ozdobne guziki: „Tylko nie hafty, nie chcę wyglądać jak babcia”. Dzisiaj pracujemy, aby ten trend był w odwrocie.

Tylko czy my, jako odbiorcy, potrafimy dziś docenić ręczną robotę?

Jest dużo lepiej, świadomość rośnie. Tak, jak Pani zauważyła, chodzi właśnie o to, żeby tę świadomość budować i ocalać to, co ginie. Zwycięzcy „Aniołów Rzemiosła” sprzed dwóch lat, Iwona Tamborska tworzy niezwykle biżuterię. Wszyscy znamy René Lalique’a, jego szkło i przepiękne rzeźby. Miał to szczęście, że w młodości spotkał marszanda. Ten człowiek dał mu pieniądze i powiedział: „Zrób to, co ci serce podpowie, a ja to kupię”. Dzięki temu powstała słynna ważka, którą możemy oglądać dziś w muzeach, i całe kolekcje, które zachwycają świat. Współczesny artysta często żyje w dwóch światach: za dnia uczy angielskiego czy sprzedaje w sklepie, a po godzinach robi to, co kocha. Jeden z laureatów pierwszej

edycji „Aniołów Rzemiosła” opowiadał, że też za dnia pracował, a wieczorami rzeźbił. W domu słyszał: „Zajmij się czymś poważnym, co ty robisz?”. I nagle dzięki naszej inicjatywie jego życie się odmieniło. Muzeum kupiło jego dzieła. Dlatego tak ważny jest promotor lub prawdziwy marszand. Znam kobietę, która promuje zawodowo artystów, tak, aby oni mogli zajmować się wyłącznie tworzeniem. Dzięki temu ich prace są wspaniałymi dziełami powstającymi z potrzeby ducha i zamiłowania do piękna. Znam takie jednostki w Polsce, dzięki którym powstają takie „ważki Lalique’a. Carmen Tarcha potrafi tak promować i odnajdywać takie brylanty do oszlifowania. Jedną z pierwszych kolekcjonerek, która doceniła urodę moich kreacji, nie zawałała się, aby udostępnić swoją galerię do zaprezentowania laureatów „Aniołów Rzemiosła”. To pokazuje, jak ogromna jest moc ludzi wspierających ten konkurs. Oprócz stypendiów artyści dostaną możliwość prezentacji i przestrzeń do tworzenia.

Co jeszcze ten konkurs daje młodym twórcom? Które historie szczególnie panią poruszyły?

Nagroda finansowa umożliwia zrealizowanie minikolekcji, promocję na targach, co daje możliwość poszerzenia grona odbiorców. Wspaniałym przykładem są już laureaci poprzedniego konkursu. Iwona Tamborska wystawiła swoje prace w muzeum w Chinach, gdzie jej prze-

piękną i niezwykle misterna biżuteria pojawiła się na billboardach. Tamborska jest rekomendowana przez Przewodnik Homo Faber, a jej roboty są poszukiwane. Inna laureatka, Izabela Barańska-Oleksy, zwyciężczyni w kategorii haftu, miała wykłady na uniwersytecie, a jej prace pokazane zostały w muzeum w Koziennicach. Widać, że laureatom naprawdę rosną skrzydła, a my im w tym trochę pomagamy. Miałam wątpliwości, czy organizować drugą edycję. Ale kiedy spotykałam laureatów i słyszę, jak zmieniło się ich życie, to mam wrażenie, że czuję z nimi ogromną więź. Widzę w nich siebie sprzed lat.

Wspomniała pani o mecenasie. Dawniej budował sztukę, od Medyceuszy po współczesne fundacje. Jak pani wyobraża sobie rolę mecenasów w XXI wieku? Czy nie pojawiają się chwile zwątpienia?

Nie mam wątpliwości, że warto to robić, choć bywa trudno. Chciałabym wskrzesić dawną ideę mecenatu. Może dziś brzmi to archaicznie, ale kiedyś zamożni i wpływowi ludzie brali pod swoje skrzydła artystów, pozwalając im się rozwijać. Nie każdy potrafi się przebić, nie każdego stać na menedżera. Dzisiaj praktycznie nie ma ludzi przygotowanych do bycia menedżerami rzemieślników. Powstają fundacje, które promują, ale to wciąż kropla. Potrzebujemy wielu takich kropel, by mogły wydrążyć skałę. Wzruszyła mnie kiedyś sytuacja, której doświadczyłam we Francji. Na kolacji poznałam producentów żywności, którzy do-

starczali swój towar do supermarketów. Dowiedziałam się, że wydają płyty młodego pianisty i finansują jego pierwsze koncerty w Rzymie i Zurichu. Pomyślałam: to jest właśnie mecenat. Nie tylko sponsoring, ale też wspinała historia firmy. Dla mnie mecenat nie oznacza jedynie wielkich fundacji czy korporacji. Liczą się gesty wspinających ludzi. Iva Georgijew powiedziała: „To dla mnie zaszczyt wspierać artystów i chce zrobić to z własnych prywatnych środków finansowych”. Byłam szczerze poruszona. To był początek prawdziwego, prywatnego mecenatu w Polsce. Marzę, żeby takich osób było więcej; aby zamiast kupować kolejny przedmiot masowej produkcji, zdecydować się na zakup unikatowego dzieła artysty albo wspierać, jak Iva. O to w tym chodzi. Choć przyznam, bywa trudno. Czasem czuję się wyczerpana zniechęlić: proszę klientów, dziennikarzy, instytucje i mówię: „Daj skrzydła talentom”. Niektórzy odpowiadają: „Fajnie sobie to wymyśliłaś, ale co z tego?”. Pomaganie nigdy nie jest łatwe. Ale kiedy ktoś podejmuje wyzwanie i mówi: „Tak, z przyjemnością”, wtedy rodzi się coś pięknego.

Akurat w tym roku obchodzi pani 20-lecie twórczej pracy. Jak się zostaje projektantką mody?

Są szkoły dla projektantów, ale to nie wystarczy. Potrzebna jest siła, charyzma, pasja. Coś, co pcha cię do przodu, czasem pomimo braku pieniędzy, kontaktów czy marszandów. Ja tę siłę miałam. Od początku kochałam to, co robię, i czułam w tym prawdę. Zawsze powtarzam: jeśli coś jest zgodne z twoim sercem, jeśli naprawdę w to wierzysz, to się uda. Bez tej prawdy trudno o sukces.

Co zmieniło się w pani przez te dwie dekady?

Zawsze byłam wierna sobie. To też część tej prawdy, żeby nie podążać ślepo za trendami. Dwadzieścia lat temu było bardzo trudno, bo wszyscy patrzyliśmy na Zachód, inspirowaliśmy się innymi trendami i kolekcjami zagranicznych projektantów. Do mnie przychodzili klienci i pytali, czy mam to, co jest modne na świecie. Na przykład, gdy Prada pokazała motylki, oni chcieli motylki. A ja robiłam kolekcję inspirowaną carską Rosją. Słyszałam zdziwienie: „Nie masz motylków?”. Nie miałam, bo jestem projektantką. To była trudna droga. Ale mimo krytyki i śmiechu, że jestem projektantką od babcynych koronek, to twardo i pewnie przekonana o słuszności swoich decyzji, szłam swoją ścieżką.



Izabela Łapińska: Zawsze byłam wierna sobie. To też część tej prawdy, żeby nie podążać ślepo za trendami

Jaka była pani najodważniejsza decyzja na początku kariery?

Właśnie ta: żeby się nie bać. Nie bać się rzemiosła, nie bać się haftu i koronki. Mimo że po pierwszych kolekcjach okrzyknięto mnie wówczas „hafciarką”, a dla mnie to był komplement. Uwielbiam Paryż, odkładałam pieniądze, aby jeździć do stolicy mody, a tam paryżanki zaczepiały mnie na ulicy, podziwialiły moje haftowane sukienki, pytały gdzie je kupiłam. To

był miód na serce. Pamiętam kobietę prowadzącą butik z renomowanymi ubraniami takich projektantów jak Sonia Rykiel czy Anne Fontaine. Zaczepiła mnie na ulicy, a potem kupiła kilka moich sukienek. Miałam zaledwie 23 lata. W Polsce śmiano się ze mnie, a w Paryżu zamawiano moje stroje. To było nobilitujące. Dlatego wiem, jak ważne są takie inicjatywy jak konkurs „Anioły Rzemiosła”. Jeśli w Łazienkach Królewskich zacne jury składające się z ta-

kich wielkich artystów jak: Stanisław Baj, Rafał Olbiński, Andrzej Pałowski oceniają prace artystów, to buduje i wyróżnia twórców startują-

cych w eliminacjach. Nauczyłam się i zajęło mi to trochę czasu, że indywidualizm zawsze kosztuje. Konsekwencja i wierność sobie to trudna

WIELU ARTYSTÓW, KTÓRZY DZIS PRZYCHODZĄ DO MNIE, NIE ZAWSZE MAJĄ ODWAGĘ MIMO TALENTU. GDY SŁYSZĄ „NIE”, ZAMYKAJĄ SIĘ W SOBIE

droga. Jednak warto! Pamiętam radość, kiedy robiłam pierwszy pokaz. Pamiętam zachwyt i entuzjazm Alicji Resich-Modlińskiej, która zaproponowała mi wsparcie medialne w periodyku, w którym piastowała funkcję redaktor naczelnej. Pani Alicja zawsze wspierała artystów. Takie wsparcie działa jak środek dopingujący. Wiem, że to jest potrzebne artystom, bo oni tworzą w samotności, zdani sami na siebie, jak często pełni wątpliwości czy jest komukolwiek potrzebne?

Kto był pani prywatnym aniołem? Kto wspierał panią w twórczości?

Miałam kilka takich aniołów. Jedną z nich była Danuta Gónera, niezwykle skromna, a jednocześnie znana perukarka i fryzjerka, która pracowała w londyńskim Covent Garden, robiła peruki do filmów Muppet Show, dla Lizy Minelli, czy Rogera Moora. Kiedyś przyszła do mojego małego, siedemnastometrowego mieszkania w Warszawie i zobaczyła, co tworzę. Powiedziała: „Robisz piękne rzeczy. Uszyłabyś dla mnie kreację?”. Uszyłam jej suknię na wyjątkową okazję. Kiedy ją mierzyła, stwierdziła: „Trzeba ci pomóc. Powinnaś otworzyć własne atelier”. Odpowiedziałam: „Pani Danuto, ale ja nie mam na to środków”. A ona: „Nic nie szkodzi. Rób swoje”. Później pojawili się kolejni, chętni do pomocy, hojni ludzie. Zawsze byłam odważna i niezłomna, najprawdopodobniej dlatego, że nie miałam świadomości wszystkich przeszkód i zagrożeń. Potrafiłam zadzwonić, zapytać, poprosić. Słowo „nie” nigdy mnie tak bardzo nie bolało. Ale wielu artystów, którzy dziś przychodzą do mnie, nie zawsze mają odwagę mimo talentu. Gdy słyszą „nie”, zamykają się w sobie. Dlatego tak potrzebny jest mecenat, ludzie, którzy wezmą artystów pod skrzydła. Nie instytucje; ich mamy wiele, a podania o wsparcie giną w tysiącach zgłoszeń. Potrzebni są ludzie wrażliwi wielkiego serca, którzy powiedzą: „Chcę dać skrzydła talentom”. Kiedyś dziennikarka zapytała: „Nie przeszkadza pani, że kopiują pani pomysły?”. Odpowiedziałam: „Ależ nie! To wspinała, że się inspirowała”. Im więcej takich działań, tym lepiej dla twórców. Ja nie chcę być „panią Izabelą od Aniołów Rzemiosła”. Niech inni też je organizują. Będę się tylko cieszyć. Po dwudziestu latach pracy twórczej mogę powiedzieć: dobrze, że się nie poddałam. Przyceieram ślask. I chcę, żeby kolejnym artystom było łatwiej.

FOT. MATPRAS.

Czego ludzie szukają w górach? Ponoć każdy z nas postrzega je inaczej, każdy przeżywa wędrowkę na swój sposób, bo góry to bardzo prywatna sprawa. Ale wszyscy chodzimy w nie, aby odetchnąć, pomyśleć sobie, jak jest pięknie, pogadać z samymi sobą.

W tym roku w Tatrach padł kolejny rekord, szlakami Tatrzańskiego Parku Narodowego spacerowały miliony turystów, ale tłumy były także w Bieszczadach, Sudetach, Beskidach, Karkonoszach

Dorota Kowalska

GÓRY DAJĄ ŚWIADOMOŚĆ PROPORCJI. SĄ WIELKIE

Powolność. Po-wolność. Rozgryzam to słowo, smakuję i na ostatnich metrach na szczycie Śnieżki: puk, puk olśnienie. Po to właśnie chodzę w góry. „Slowly, slowly” - mówi mi mój ulubiony głos w głowie. Uczę się wolno chodzić. Wolno siadać, wolno wstawać. Uczę się wolno zdobywać szczyty. I wolno żyć. Na starość jak znalazł” - napisała w mediach społecznościowych moja redakcyjna koleżanka, Anita Czupryn.

Ludzie z najróżniejszych powodów chodzą w góry. Jedni szukają w nich ciszy i ukojenia, inni chcą po prostu pogadać w górach z samymi sobą, jeszcze inni na górskich szlakach ćwiczą odwagę.

Pod koniec września do sieci trafiło nagranie, które wywołało prawdziwą burzę. Widać na nim gigantyczną kolejkę na szlaku na Orlą Perć, jednej z najbardziej wymagających tras w polskich górach.

„Mówili: jest po sezonie, idź na Orlą” - mówi Magda, autorka nagrania.

Chwilę później, z widocznym rozbawieniem, dodaje: „Lepiej iść na promocje do Lidla”.

Jej towarzyszka odpowiada bez wahania: „W Lidlu nie ma tyłu ludzi”.

Na reakcję internautów nie trzeba było długo czekać. „OMG, Tatry są nowym Everestem?”, „Kiedyś: chodzenie po górach. Teraz stanie po górach”, „W tygodniu nie ma kolejek”, „Tragedia”, „OMG” - piszą.

Kolejny górski rekord

To prawda. W tym roku w Tatrach padł kolejny rekord. Od stycznia 2025 roku do początku września szlakami Tatrzańskiego Parku Narodowego spacerowało około 4 mln osób, wynika z danych TPN. Tylko w sierpniu TPN odwiedziło około 1 mln 97 tys. 653, najwięcej w historii. Drugim miesiącem pod względem frekwencji był li-



Od stycznia do początku września szlakami Tatrzańskiego Parku Narodowego spacerowało około 4 mln osób

piec - 794 tys. 17 wejść, trzecim czerwiec - 589 tys. 443.

Najwięcej turystów wybrało trasę do Morskiego Oka - w punkcie wejściowym na Palenicy Białczańskiej odnotowano 467 tys. 248 wejść. Stąd można wyruszyć w wyższe partie gór, choćby na Kozi Wierch czy Rysy. Kolejką na Kasprowy Wierch wyjechało 436 tys. 7 osób, a Dolinę Kościeliską odwiedziło 358 tys. 243. Najrzadziej zapuszczaliśmy się w Dolinę Lejową (3 tys. 658 wejść), Dolinę Olczyńską (22 tys. 140) oraz szlak z Zasadniej w kierunku Rusinowej Polany.

Dyrektor Tatrzańskiego Parku Narodowego, Szymon Ziobrowski mówi, że ten trend jest stały: w Tatrach rośnie liczba turystów, nie tylko z Polski, także z zagranicy. - To wyraźny powrót do masowej turystyki po pandemii COVID-19. Zjawisko to widoczne jest na całym świecie i często przekracza poziomy sprzed 2020 roku - tłumaczy. Cieszy go, że coraz więcej osób

wybiera aktywny wypoczynek w górach.

- To zdrowe i potrzebne - dodaje.

Ale i stawia przed nimi wyzwania. Muszą dbać o to, by organizacja ruchu turystycznego była jak najbardziej efektywna i jak najmniej uciążliwa dla natury. - Na razie nie planujemy wprowadzania dalej idących ograniczeń. To rozwiązanie ostateczne, które można rozważyć tylko w przypadku wyraźnego pogorszenia stanu przyrody - stwierdza dyrektor Ziobrowski.

Mają jednak problemy, z którymi muszą sobie radzić na bieżąco. W tym roku w Tatrach pojawił się znak, który zaskoczył wielu turystów: chodzi o defekację. - Przy tak dużym ruchu turystycznym, który mamy w Tatrach, chcemy zachęcać turystów, by załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne albo w toaletach stacjonarnych, które będą powstawać, albo w toi-toiach, albo w schroniskach, żeby nie fe-

kalizować Tatr, bo to wszystko dostaje się do wody i spływa w dół. Chcemy tego uniknąć - mówi Ziobrowski.

Władze parku chcą, by w Tatrach hasło „zostaw tylko ślady stóp, zabierz jedynie wspomnienia”, oznaczające bezinwazyjne podziwianie przyrody, wkrótce weszło na nowy poziom. Turysty mają otrzymywać specjalne foliowe worki, do których będą mogli załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne.

- Te worki są wyposażone w środek, który powoduje, że to, co tam zrobimy, zmieni zupełnie swoją konsystencję. Worek jest nieprzezroczysty, można go szczelnie zamknąć i bezpiecznie przytrzymać do plecaka. Te standardy obowiązują w wielu miejscach świata i chcemy je wprowadzić również w Polsce - tłumaczy Ziobrowski.

Podobne rozwiązania funkcjonują w kilku miejscach w USA i Kanadzie, a od zeszłego roku także na Mount Everest.

Zdania turystów na temat nowego rozwiązania są podzielone, ale może warto spróbować, twierdzi większość z nich.

Chleb z kolejki wąskotorowej

Nie tylko Tatry przeżywają turystyczne obłożenie. Na parkingu przy wejściu czerwonym szlakiem na Połoninę Wetlińską w Bieszczadach sporo samochodów. W górę idą dorośli i dzieci, chociaż rodziny w pewnym momencie odbijają w lewo i wchodzi na żółty szlak. Na początku podejście jest w miarę łagodne, potem bardziej strome. Ci bardziej wytrawni w górskich wspinaczkach idą tym samym, równym tempem. Wielu z nich wejście jeszcze dzisiaj na Połoninę Caryńską, która jest tuż obok, pójdzie na Rawki.

Ci, którzy w góry chodzą okazjonalnie - co jakiś czas przystają i próbują złapać oddech. Dla nich zameldowanie się w Chatce Puchatka, schronisku na szczyście

połoniny będzie prawdziwym zwyczajem.

Irena, 60-latką, pierwszy raz chodziła po Górach Świętokrzyskich, w podstawówce na obozie wędrownym, z pożyczonym od kogoś plecakiem typu żółt - miękkim i przemakalnym. Z późniejszym mężem Andrzejem ruszyli w Tatry i Bieszczady, kiedy po górach chodziło się w skórzanym traperach i wełnianych sweterach. Nie było jeszcze polarów, ale plecaki już miały stelaże z aluminiowych rurek.

W góry pierwszy zaczął jeździć Andrzej, po Bieszczadach chodził z kolegami od czasów liceum. Zbudowali nawet tratwę na Solinie. To był czas, kiedy sklepy w Bieszczadach spotykało się rzadko. Chleb przyjeżdżał do ludzi kolejką wąskotorową, która docelowo woziła drzewo. Można go było kupić na stacji kolejowej.

- Ludzie po Bieszczadach chodzili na długo przed nami. Wtedy góry były naprawdę egzotyczne, w latach 60., 70., nawet 80. jeszcze - mówi Irena. - Co roku jeździliśmy w Tatry i Bieszczady, po latach częściej w Bieszczady - dodaje.

W 1994 roku kupili składany kajak, wodowali go w Teleśnicy i pływali po Jeziorze Solińskim. Rozbijali namiot pod jabłonkami nieistniejącej wsi Horodek, w sąsiedztwie Julka, który zajął miejscówkę na wysokości wielkiego suchego dębu, od którego nazwę wzięła zatoka. Więc rozkładali się po drugiej stronie zatoczki, albo jeszcze dalej, na Baranich Rogach.

- Kim jest Julek? - dopytuje. - Julek Pustelnik, czyli Juliusz Wasik, który obwołał się Królem Świata Włóczęgów, a wielu mówi o nim Król Bieszczadów. Rocznik 1928, umarł w 2022 roku - odpowiada Irena.

Julek pochodził z Olsztyna, adres miał na ulicy Dworcowej. Był budowlańcem, ale też esperantystą i pacyfistą, bardzo walczył o pokój. W Bieszczadach spędzał kilka miesięcy, właści-

wie większość roku. Przyjeżdżał, kiedy z gór schodziły śniegi, przychodził do Brossa i Bross przewoził go łódką do jego pustelni, jak już ją zbudował, a swoją chatę stworzył z tego, co przyniosło jezioro i co znalazł w lesie. Miał kilka żon, na pewno dwie, kilkoro dzieci w różnym wieku.

- Na początku byliśmy na Julka źli, bo to my z Andrzejem znaleźliśmy sobie to miejsce pod jabłonkami w 1988 roku, kiedy byliśmy w Bieszczadach pierwszy raz razem. Potem pojawił się tam Julek. Zaczął budować swoją pustelnię, robił hałas, chodził na golasa, znaczy w kałozach i w kapeluszu. Dziwny nam się wydawał - wspomina ze śmiechem. - Ale zakumplowaliśmy się z czasem. Julek robił za atrakcję turystyczną. Jak już zbudował tę swoją chałupkę, przepływały do niego statki z Polańczyka. Julek podobno kazał turystom sobie płacić - dodaje rozbawiona.

Kiedyś byli świadkami dość niezwykłej historii: do Julka przepłynęli łódką strażacy. Wszystkie służby ćwiczą na Solinie, tam jest odpowiednio głęboko, można nurkować.

- Więc przepłynęli do Julka poprosić go o błogosławieństwo, cytując, bo mieli jechać na jakieś zawody strażackie. I on uroczyście im tego błogosławieństwa udzielał - wspomina.

Potem, zawsze jak byli w Bieszczadach, niezależnie od tego czy pływali, czy chodzili po górach, zachodzili do Julka. Zanosili mu konfitury i zdjęcia, które mu zrobili. On parzył herbatkę z ziół, siedzieli i gadali. Wpisali się Julkowi do księgi pamiątkowej. Wszyscy mu się do niej wpisywali. Księga była grubaśna. Kiedy Julek zmarł, poszła do jego pustelni, księgi nie było.

Przemierzali Bieszczady przez lata. Wchodzili na połoniny, Tarnicę, Otryt, Bukowe Berdo czy na trójstyk granic. Najbardziej pociągały ich miejsca, w których od 1947 roku nikt nie mieszka, a po ludziach zostały tylko drzewa, groby i kamienie.

Wędrowali z namiotem najchętniej jesienią, czasem wiosną, która w Bieszczadach raczej przypominała zimę.

- Była taka fajna trasa od Zatravnicy na Połoninę Wetlińską przez Przełęcz Orłowicza. Pewnego razu szliśmy nią, to była jesień, albo zima, w każdym razie wcześniej zapadał zmrok. Idziemy i patrzymy, a po lewej stronie stoją wieżyczki. Bardzo szybko obojgu przyszło nam do głowy, że to jest jakiś obóz. Wszystko z drewna, brama jak w sowieckich łagrach, baraki. Nikogo tam nie było, kompletnie pustki i dosyć przerażająco - opowiada.

Weszli do baraku, zobaczyli piętrowe, drewniane przyce. Skonstatowali, że to chyba jakiś plan zdjęciowy. Kiedy wrócili do cywilizacji, dowiedzieli się, że



FOT. WOJCIECH MATUSIK

Aż 76 proc. badanych chce podziwiać widoki

rzeczywiście był tam kręcony film.

Do dziś wspomina pierwszy wyjazd w Bieszczady, kiedy próbowali obejść Jezioro Solińskie. Doszli z Polańczyka do Wołkowyi, dalej nie dało rady. Mokro i gąszcz, straciła tylko bluzę. Teraz, jakby się człowiek postarał i miałby dużo czasu, to kto wie. W tym roku po raz pierwszy Zatokę Suchego Drzewa od początku do końca pokonała suchą stopą. To się nigdy dotąd nie zdarzało, bo zawsze było tam co najmniej upiorne bagno, a najczęściej po prostu woda.

- Jeszcze w latach 90. Bieszczady były takie jak lubię: były jakieś domki, jakieś ośrodki, ale drogi były marne, to i ludzi mniej. Kiedy zaczęło się szalone inwestowanie w Bieszczadach, czyli na początku XXI wieku, to się zmieniło - mówi.

W zdumienie wprowadziła ją kolejka do kupienia biletów do parku narodowego przy wejściu na Tarnicę. Ale i tak na bieszczadzskich szlakach przez lata obserwowano mniej ludzi w adidasach niż spotykała w Tatrach.

Wędrowała w Sudetach i w Pieninach, ale, do dzisiaj największe wrażenie robią na niej Bieszczady i ukraińska część Karpat. Wyprawę na Zakarpacie i Czarnohorę w 2019 roku wspomina dziś z ogromną nostalgią.

Inny rodzaj sentymentu wiąże się w kilkoma sylwestrami obchodzonymi w czasach studenckich na najwyższym w Polsce poziomie - 1671 m n.p.m.

w schronisku w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Nocny pociąg, szlak z Łysej Polany przetarty już przez poprzedników, nocleg na podłodze albo na schodach, ale jakie towarzystwo! O północy szampany strzelały na zamrożonym Przednim Stawie, pierwszego stycznia zbieranie pustych butelek. Pewnego roku, do Pięciu Stawów przyjechała przeżabawna ekipa, mieli z sobą smokingi i suknie. Ubrali się w nie i tańczyli na stołach w jadalni.

- Dlaczego ludzie chodzą po górach? - pytam

- Ludzie chodzą po górach, bo te są - mówi. - A tak serio, ludzie chodzą po górach, bo góry dają, tak myślę, świadomość proporcji. One są wielkie. Człowiek ustawia sobie pewne rzeczy w głowie. Myślę, że idzie się w góry po to, aby się spotkać ze sobą. Nie z innymi ludźmi, ze sobą. Nawet jak chodzisz z kimś, to góry są tylko twoje, widzisz je po swojemu. Jeden patrzy na znaki, inny patrzy na tyczki, inny na kosodrzewinę w Tatrach, jeszcze inny na jarzębiny w Bieszczadach, na kamienie i strumienie. A poza wszystkim, jestem absolutnie pewna, że wszyscy chodzimy w góry po to, aby odetchnąć, pomyśleć sobie, jak jest pięknie. Góry są strasznie prywatne, wiesz? - tak odpowiada.

Stefa, ich córka, jako trzymiesięczne niemowlę pierwszy raz była w górach, w Beskidzie Żywieckim.

- Innego razu, zimą, do schroniska na Hali Omaku wybraliśmy się z sankami pożyczonymi od sąsiadki. Tak nam się fajnie szło, że w pewnym momencie zorientowaliśmy się, że nie ma dziecka. Półroczna dzidzia spała z sanek, ale się nie obudziła. To była pierwsza zima - wspomina Irena. Pierwsze urodziny jej córka obchodziła w Bieszczadach na Połoninie Wetlińskiej. Miała pięć lat, kiedy na własnych nogach weszła w Tatrach na Zawrat. Wciąż chodzi po górach.

Trzeba trzymać się zasad

Do schroniska Chata Wujka Toma na Przełęcz Karkoszczonka idzie się z Brennej niewiele ponad godzinę. Podejście żółtym szlakiem nie jest trudne. Anna i Tomek pochodzą z Katowic. Ona, księgowa, pracuje w prywatnej firmie, on jest informatykiem. Mają dwójkę dzieci w wieku szkolnym. Nie jeżdżą w góry od lat, jak Irena, ale coraz częściej się w nie wypuszczają. Najbliżej mają Beskidy, ale byli już w Tatrach, Górach Stołowych. Kupili odpowiednie buty, mają dobre plecaki, zaopatrzyli się w mapy.

- W chodzenie po górach wciągnęli nas znajomi z pracy - zaczyna Anka.

- W weekendy, tak jak dzisiaj, wybieramy Beskidy. Znamy je dobrze. Dzień wcześniej uzgadniamy, którą trasę robimy. Bierzymy z sobą dzieci, zarówno Basia jak Kuba, lubią

te weekendowe wycieczki - wtrąca Tomek.

Urlopy dzielą między morze i góry. Na dłużej jeżdżą dalej od domu. W ostatnie wakacje odwiedzili Sudety. Przeszli z Jakuszyca do Chatki Górzystów. Dość łatwa trasa, szeroka szutrowa, miejscami asfaltowa droga. Mijali po drodze dwa schroniska: Orle i Chatkę Górzystów, zobaczyli kopalnię kwarcu „Stanisław”. Cały dzień zajęło im przejście z Karpacza przez Odrodzenie na Śnieżkę. Cudowne widoki i potworny wiatr. Ruszyli też z Przełęczą Karpnicką w Rudawy Janowickie. Szli przez Starościńskie Skały, Skalny Most, widzieli Zamek Bolczów, odwiedzili schronisko Szwajcarę, zameldowali się na Krzyżnej Górze.

- W górach odpoczywamy, nabieramy dystansu, „zyczyśmy głowy” - mówi Ania. Tomek dodaje, że pracę mają biurową, potrzebują ruchu. Dzieci też siedzą nad książkami, najpierw w szkole, potem w domu.

Trasa na Przełęcz Karkoszczonka, na której stoi Chata Wujka Toma, powoli pnie się w górę.

- Dzień dobry! - rzucają ci, którzy schodzą już w dół.

- Cześć! - odpowiadają Ania z Tomkiem.

To stary, niepisany zwyczaj - nawet nieznajomi mówią sobie „Dzień dobry” albo „Hej” na szlaku. Nie do końca wiadomo, skąd się ten zwyczaj wziął. Jedni uważają, że kiedyś po górach chodziło mało ludzi, więc drugiego turystę spotkanego w drodze należało odpowiednio przywitać. Inni, że witano się, by sprawdzić, czy u tej drugiej osoby wszystko w porządku, czy nie trzeba jej pomóc. Jeszcze inni twierdzą, że chodzi o życzenie innemu podróżnikowi powodzenia.

Jest zresztą kilka zasad savoir-vivre'u obowiązujących na szlaku: chodzimy po nim tak, aby zapewnić bezpieczeństwo sobie i innym. Dlatego trzymamy się zawsze swojej strony, osoby idące z naprzeciwka mają swobodnie nas mijać. Jeśli szlak jest bardzo wąski, ustępujemy pierwszeństwa osobie wchodzącej pod górę. Poza tym - nie hałasujemy, nie śmiejemy, nie pijemy na szlaku alkoholu.

W Chacie Wujka Toma ruch, jak zawsze. Na Przełęcz Karkoszczonka można wejść także od strony Szczyrku, więc turystów nigdy tu nie brakuje. Ania z Tomkiem siadają na zewnątrz, zamawiają jajecznicę i ciepłą herbatę. Patrzają na góry.

- Magia - rzuca Tomek.

„Każdy z nas góry postrzega inaczej, każdy przeżywa pobyt w górskich regionach na swój sposób. Dla jednych celem jest osiągnięcie i zdobywanie kolejnych szczytów, dla innych - góry są refleksyjne i magiczne, niewytłumaczalne, wymagające zastanowienia się nad sobą i rzeczywistością. Często towarzyszą nam wrażeń nie można nawet opisać, gdyż doty-

czą one bardzo głębokiej, wręcz intymnej strefy przeżyć. Dla wielu góry to wolność, odpoczynek, spokój, radość, żądza przygód, wejście w inny wymiar doznań. Góry dają możliwość pewnego rodzaju odizolowania bądź zdystansowania się od codziennych spraw czy obowiązków. Dla mnie góry są drugim domem; czuję się w nich bardzo swobodnie. Pozwalają mi odpocząć od zgiełku miasta, dają energię do życia. Czy mnie „kręca”? Oczywiście, że tak! Chodzę po nich już 35 lat i jeszcze mi się nie znudziły. Cały czas odkrywam coś nowego i dopóki starczy mi sił - będę się wspinał” - pisze Artur Sieczko, beskidzki przewodnik górski. I dalej: „Góry się nie nudzą. Można zdobywać różne szczyty, te małe i duże. Każde pasmo ma inny charakter, inaczej się je zdobywa, dodatkowo o każdej porze roku wygląda inaczej. Poszukiwanie najpiękniejszej góry świata to dziecięcy sen o pięknie, one wszystkie są wyjątkowe i wspaniałe. Każde pasmo jest wyjątkowe, na każde należy spojrzeć inaczej. Jedne skrywają tajemnice geologiczne, a inne posiadają cudowną florę i faunę. Jedne szczyty są ponad chmurami, inne są chmurami okryte”.

Polacy wyjeżdżają w góry przede wszystkim, aby podziwiać piękne widoki i oddychać świeżym powietrzem - tak zadeklarowało aż 76 proc. uczestników badania Polskich Kolei Linowych przeprowadzonego przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych IBRIS. Infrastruktura: dobrej jakości oferta restauracyjna, komfortowe miejsca noclegowe, dodatkowe atrakcje, między innymi koleje górskie czy parki linowe, są ważne dla 30 proc. badanych. Aż siedmiu na dziesięciu wyjeżdżających w góry chce skorzystać z kolei linowych, wwożących na szczyt. Decydują się na to przede wszystkim, żeby zaoszczędzić czas - odpowiedziało tak 35 proc. zapytanych. Prawie jedna trzecia badanych wjazd koleją traktuje po prostu jako atrakcję turystyczną. Niemal trzech na dziesięciu uważa, że taka podróż ułatwi im podziwianie widoków - nie mają kondycji lub możliwości, żeby samodzielnie wejść na górę.

Niezależnie od tego, jak zdobędziemy szczyt, na górę chcemy przede wszystkim relaksować się i opalać (wskazało tak 56 proc. respondentów). Prawie tyle samo osób (55 proc.) planuje robić zdjęcia i filmy dokumentujące wycieczkę, a 32 proc. skorzysta z oferty schroniska lub restauracji.

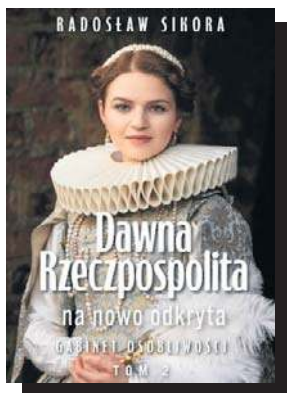
Zimą jest inaczej - jeździmy w Tatry, Beskidy, czy Karkonosze przede wszystkim po to, żeby poszusać na nartach, ale wchodzimy też na szlaki, opalamy się, zwiedzamy.

Wygląda na to, że każdy próbuje w górach znaleźć coś dla siebie. I znajduje.



NIEZBĘDNIK CZYTELNICZY

poleca
Mariusz Grabowski



„Brudny jak Francuz” i „Wymyty jak Polak”

Ukazał się drugi tom ciekawostek staropolskich Radosława Sikory, historyka, publicysty i autora specjalizującego się w historii nowożytnej, zwłaszcza w dziejach Rzeczypospolitej Obojga Narodów oraz husarii. Korzystając z szerokiego wachlarza źródeł, w tym archiwalnych dokumentów, pokazuje nam bogaty kontekst społeczny, kulturowy i militarny opisywanych wydarzeń. Nie stroniąc od elementów humorystycznych.

Husarski sznyt

Tom drugi „Dawnej Rzeczypospolitej” posiada nawet stosowny podtytuł: „Gabinet osobliwości”. Znalazły się w nim rozdziały m.in. o dobywaniu szabel podczas Mszy Świętej, o staropolskich zwyczajach ślubnych, o imć Zabłockim i mydłanych asocjacjach, o dawnym handlu w niedzielę i święta, o pogardzie Polaków do Niemców (bo „Niemca wolność w oczy bodzie”), a nawet o „beżrękim husarzu, który Moskwę gromił”.

Temat husarii musiał się tu pojawić niejako z konieczności. W wywiadzie dla histmag.org w 2015 r. Sikora mówił: „Husaria była formacją uniwersalną, w tym sensie, że mogła i wypełniała bardzo różnorodne zadania. Co nie znaczy, że zawsze miało to ekonomiczny sens. Po co używać husarzy jako piechoty, jeśli koszt piechura był wielokrotnie niższy? Jednak wtedy, gdy piechoty nie było pod ręką, a zadanie wymagało zejścia z koni, husarze walczyli spieszeni”. Czasem heroicznie, jak ów beżręki wojak.

Bez kompleksów

Równie wdzięcznym tematem do żartów są dzieje kulturowych związków Polski i Francji. W rozdziałach „Brudny jak Francuz” i „Wymyty jak Polak” Sikora dowodzi, że wbrew stereotypom to my wiedliśmy ongiś prym w dziedzinie czystości.

Król Henryk IV słynął z tego, że śmierdział czując abominację do wody. A jego syn Ludwik XIII po raz pierwszy zetknął się z wodą „całościowo” w wieku siedmiu lat. Francuzi łaźni nie znali, a przekonanie, że są pępkiem świata, zastępowało im higienę.

Na tle XVII-wiecznej Francji Rzeczpospolita jawiła się jak SPA. Łazienki były na Zamku Królewskim, w pałacach, dworach, a nawet prowincjonalnych siedzibach szlacheckich. W sporządzonym w 1603 r. „Folwarku lipnickim” stoi, że wśród budynków wokół dworu (m.in. stajni i lodowni) znalazła się też „komórka potrzebna”, czyli wychodek, oraz „łaźnia z sienią i światelką malušką”.

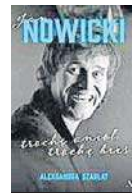
Radosław Sikora, „Dawna Rzeczpospolita na nowo odkryta”, tom 2, wyd. Zona Zero, Warszawa 2025, cena 89,90 zł



Artystyczna podróż z Witebska do Paryża

Marc Chagall pochodził z terenów dzisiejszej Białorusi, a urodził się w 1887 r. jako najstarsze z dziewięciorga dzieci żydowskiego handlarza śledziami. Z tego wyrosło całe jego malarstwo.

Jackie Wullschläger, „Chagall”, wyd. Marginesy 2025, cena 89,90 zł



Splątanymi śladami Jana Nowickiego

Sławę zyskał dzięki rolom w „Wielkim Szu”, „Sanatorium pod Klepsydrą” i „Biesach”. Przez lata występował w Starym Teatrze. Mawiał: „Bez kwalifikacji do życia powiodło mi się w aktorstwie”.

Aleksandra Szariat, „Nowicki. Trochę anioł, trochę bies”, wyd. Agora 2025, cena 89,99 zł



Niewiadomski strzela do Narutowicza

Oprócz rekonstrukcji CV autor analizuje osobowość Eligiusza Niewiadomskiego, jego światopogląd, a także wpływ sytuacji społeczno-politycznej na jego tragiczny w skutkach czyn.

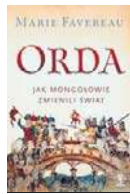
Tomasz Sikorski, „Eligiusz Niewiadomski”, wyd. PIW 2025, cena 89 zł



Marek Perepeczko, czyli „Janosik”

Od spektakularnej kariery na przełomie lat 60. i 70., po emigrację na Antypody i powrót na ekrany. Do tego trudna historia miłości do ukochanej kobiety i przygody z teatrem pod koniec życia.

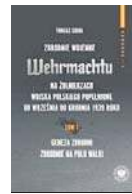
Marek Szamański, „Samotność Janosika”, wyd. Rebis 2025, cena 79 zł



O Złotej Ordzie, ale inaczej

Marie Favereau pokazuje, że osiągnięcia Mongołów nie ograniczały się do wojowania. Przez 300 lat Orda była siłą napędową globalnego rozwoju: w Rosji, Azji Środkowej i na Bliskim Wschodzie.

Marie Favereau, „Orda. Jak Mongołowie zmienili świat”, wyd. Rebis 2025, cena 89 zł



Mit „szlachetnego” Wehrmachtu

Wykaz zbrodni wojennych popełnionych przez Wehrmacht w 1939 r. Tom pierwszy skupia się na zbrodniach, do których dochodziło w następstwie walk lub po jej zakończeniu.

Tomasz Sudół, „Zbrodnie wojenne Wehrmachtu”, tom 1, wyd. IPN 2025, cena 65 zł



Ślad jak po cięciu mieczem

Pierre-François Souyri bezpartońowo rozprawia się ze stereotypem samuraja i pokazuje, co naprawdę kryło się za maską bushido: przemoc, zdrada, polityka i... paradoksy.

Pierre-François Souyri, „Wójownicy z pól ryżowych”, wyd. Znak 2025, cena 69,99 zł



Polacy na celowniku NKWD

Teksty historyków z Polski, Rosji, Ukrainy i Białorusi ukazują wymiar represji wymierzonych w Polaków – obywateli ZSRR – oraz inne narodowości uznane za „nielojalne”.

„Operacja Polska NKWD 1937-1938. Przypomnienie pamięci o zbrodni”, wyd. IPN 2025, cena 60 zł



Patrzę na płótna, myśląc o ludzkim ciele

Tajemnice ludzkiego ciała hiszpański paleoantropolog Juan Luis Arsuaga odkrywa... w Muzeum Prado. Przez pryzmat dzieł mistrzów pokazuje, jak inspirowało ono artystów od starożytności po nowożytność.

Juan Luis Arsuaga, „Ciało”, wyd. Znak 2025, cena 99,99 zł



Co zostało z dawnego Highlands?

Patrycja Bukalska zabiera czytelników w podróż po śladach dawnych mieszkańców Highlands. To niezwykle miejsce do dziś skrywa tajemnice w swojej ziemi i archiwach.

Patrycja Bukalska, „Ziemia jednorożca. Podróż po Szkocji”, wyd. Czarne 2025, cena 52 zł



Pierwszy komandos podziemia

Legendarny „Major” to Dariusz Olszewski – wrocławski działacz opozycji lat 80., powiązany z podziemnymi strukturami dolnośląskiej „S”, a następnie członek Solidarności Walczącej.

Joanna Dardzińska, „Errata << Majora””, wyd. IPN 2025, cena 40 zł



Hanna Krall tłumaczy świat

Opowieść popularnej reporterki Hanny Krall o XX i XXI w. Poznajemy świat z jej punktu widzenia. A także wiele szczegółów, o których nigdy wcześniej nikomu nie mówiła.

„Hanna Krall. Pożegnanie z Narwią”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 54,90 zł



O Graboletcie w słynnym turbanie

Opowieść o modzie w PRL-u ubrana w szaty powieści. W roli głównej Jadwiga Grabowska, dyrektorka Mody Polskiej, przed którą – jak pisze Katarzyna Droga – drżeli ponoć nawet partyjni oficjele.

Katarzyna Droga, „Jaskółki. Powieść o kobietach mody PRL-u”, wyd. Znak 2025, cena 49,99 zł



Rozliczenia z przeszłością

Maciej Hen, syn Józefa, wspomina epokę wczesnego PRL-u. Kreśli obraz życia codziennego widziany oczami dziecka. Żydowski chłopiec z warszawskiej inteligencji czyta książki, słucha Beatlesów, marzy o zostaniu artystą.

Maciej Hen, „Tratwa z pomarańczami”, wyd. Filtry 2025, cena 59,90 zł



Żyjąc w powojennej zawierusze

Przejmująca przypowieść Jakuba Jarno o Wandzie Jeżyńskiej – urodzonej w ostatnich dniach wojny dziewczynie – próbującej okiełznać największy z istniejących żywiołów i zawrócić bieg własnego losu.

Jakub Jarno, „Kontury”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 49,90 zł



Wśród cieni z tamtych lat

Kryminalny Sosnowiec lat 90. i jego dzisiejsze echa. Podczas rozbiórki fińskiego domku odnalezione zostają ludzkie szczątki. Śledztwo prowadzi podkomisarz Laura Halber, nękana przez demony przeszłości.

Przemysław Żarski, „Ferment”, Wydawnictwo Literackie 2025, cena 49,90 zł

LIDERZY RANKINGÓW

Więcej na: www.polskanews.pl/hipokrates

CHIRURG ROKU
1. Radosław Wiktorowski, SPZZOZ Szpital, Iłża
2. Piotr Furga, Wojskowy Instytut Medyczny, Warszawa
3. Bodha Raj Subedi, Europejskie Centrum Zdrowia, Otwock
DERMATOLOG ROKU
1. dr n. med. in. o zdr. Piotr Sobolewski, Manufaktura Zdrowia i Urody, Warszawa
2. prof. dr hab. n. med. in. o zdr. Irena Walecka-Hemiczek, Klinika Manufaktura Zdrowia i Urody, Warszawa
3. Magdalena Popko, Klinika Medycyny Estetycznej Laseroterapia, Warszawa
FARMACEUTA/TECHNIK FARMACEUTYCZNY ROKU
1. Magdalena Pariaszewska, Apteka Farmab, Chynów
2. Marcin Matras, Apteka Gemini, Radom
3. Agnieszka Krupińska, Apteka Wspólna, Płock
FIZJOTERAPEUTA ROKU
1. Klaudia Szymczak, Centrum Origin, Otwock
2. Patryk Dzieciol, FizjoABC, Pionki
3. Paweł Celuch, SWZZPOZ, Radom
GINEKOLOG ROKU
1. Kinga Książkowska-Łakoma, Przychodnia Mosty, Płock
2. Karina Barszczewska, SaskaMed, Warszawa
3. Piotr Świderczak, Szpital Kliniczny im. Księżnej Anny Mazowieckiej, Warszawa
KARDIOLOG ROKU
1. Karol Wrzosek, Mazowiecki Szpital Bródnowski, Warszawa
2. prof. dr hab. n. med. in. o zdr. Krzysztof Ozierański, Prof-Medico, Warszawa
3. Piotr Wieniawski, Dziecięcy Szpital Kliniczny im. Polikarpa Brudzińskiego, Warszawa
LARYNGOLOG ROKU
1. Maciej Pilch, Dziecięcy Szpital Kliniczny im. Polikarpa Brudzińskiego, Warszawa
2. Ewa Czyżewska, Mazowiecki Szpital Specjalistyczny, Radom
3. Magdalena Tomaszewska, Nobilismed, Warszawa
LEKARZ RODZINNY I POZ ROKU
1. Beata Komorowska, Gminny Samodzielny Publiczny Zakład POZ, Iłża
2. Piotr Kozikowski, SPZOZ, Mińsk Mazowiecki
3. Anna Blejzon, Centrum Medyczne Medica Sp. z o.o., Płock
MENEDŻER PLACÓWKI MEDYCZNEJ ROKU
1. Małgorzata Awrejcewicz, PZU Zdrowie, Warszawa
2. Emilia Chmielińska, NZOZ Amika, Mława
3. Aleksandra Tybuś, Centrum Medyczne Idealist, Warszawa
NEUROLOG ROKU
1. Stanisław Szulifik, Mazowiecki Szpital Bródnowski, Warszawa
2. Krystyna Kisialiova, SPZZOZ, Kozienice
3. Agnieszka Jezierska-Ostapczuk, Przychodnia SALUS, Siedlce
OKULISTA ROKU
1. Krzysztof Bochniak, Indywidualna Specjalistyczna Praktyka Lekarska, Przasnysz
2. Bartosz Kowalski, Gabinet Okulistyczny, Mława
3. Mateusz Stępień, Vissus, Mława
ORTOPEDA ROKU
1. Artur Plewiński, SPSK im. prof. Adama Grucy CMKP, Otwock
2. Paweł Bartosz, Centrum Medyczne VenaMed, Otwock
3. Przemysław Matuszewski, Mazowieckie Centrum Rehabilitacji Stocer Sp. z o.o., Konstancin-Jeziorna
ONKOLOG ROKU
1. Tomasz Sarosiek, LUX MED Onkologia - Szpital Szamocka, Warszawa
2. Paulina Jagodzińska-Mucha, Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie - Państwowy Instytut Badawczy, Warszawa
3. Piotr Chilczuk, Narodowy Instytut Onkologii im. Marii Skłodowskiej-Curie - Państwowy Instytut Badawczy, Warszawa
PEDIATRA ROKU
1. Anna Własienko, SZPZLO Wawer, Warszawa
2. Magdalena Poniatowska, NZOZ Amica, Ciechanów
3. Paweł Szyszka, PersonMed, Radom
PIELĘGNIARKA/PIELĘGNIARZ ROKU
1. Adrian Pacholczyk, Szpital Czerniakowski, Warszawa
2. Izabela Basiuk, Szpital Matki Bożej Nieustającej Pomocy, Wołomin
3. Klaudia Głaska-Zielińska, Vitabene strefa zdrowia, Wołomin
POŁOŻNA/POŁOŻNY ROKU
1. Anna Stefanek, Szpital Kliniczny im. Księżnej Anny Mazowieckiej, Warszawa
2. Iwona Owczarek, Szpital Św. Anny, Piaseczno
3. Weronika Hankowska, LuxMed, Warszawa
PSYCHIATRA ROKU
1. Marta Pawlak, Gedeon, Konstancin-Jeziorna
2. Jakub Garbacki, SPZZOZ, Wyszków
3. Anna Żmudzin, Prywatny Gabinet, Radom
PSYCHOLOG/PSYCHOTERAPEUTA ROKU
1. Anna Rejmer, Gabinet psychologiczny, Radom
2. Justyna Kuczmierzcyk, Gabinet MojaSesja, Warszawa
3. Ewa Witek, Dom Pomocy Społecznej, Mienia
RADIOLOG/TECHNIK ELEKTRODIOLOG ROKU
1. Łukasz Pruszyński, Radomskie Centrum Onkologii, Radom
2. Emilia Wyszomierska, Mazowiecki Szpital Specjalistyczny im. dr. Józefa Psarskiego, Ostrołęka
3. Dorota Sobolewska-Biesiekierska, SPZOZ ZZ Szpital im. Duńskiego Czerwonego Krzyża, Maków Mazowiecki
RATOWNIK MEDYCZNY/RATOWNIK PRZEDMEDYCZNY ROKU
1. Krystian Borowski, Pogotowie Ratunkowe Meditrans, Otwock
2. Zuzanna Skrzyńska, WSPR Meditrans, Warszawa
3. Damian Czajka, SP ZOZ WSPRITS, Płock

Oto wspaniali uczestnicy akcji HIPOKRATES

Poznaj bliżej kandydatów do prestiżowych tytułów z naszego województwa i oddaj głos na swojego faworyta. Bo Hipokrates Roku 2025 to świetna okazja, aby docenić osoby, które na co dzień niosą pomoc pacjentom w naszym regionie.

Trwa głosowanie w plebiscycie medycznym Hipokrates Roku 2025 - największym i najbardziej prestiżowym konkursie dla pracowników ochrony zdrowia, organizowanym przez dzienniki regionalne Polska Press Grupy w Polsce. To wyjątkowe wy-

darzenie, w którym doceniani są ci, którzy każdego dnia stoją na straży zdrowia i życia. Na łamach naszego serwisu znajdziecie galerię zdjęć i wywiadów z kandydatami z naszego województwa, którzy zostali zgłoszeni do tegorocznej edycji plebiscytu.

Każdy z nich cieszy się zaufaniem pacjentów, a teraz może zdobyć również zaszczytny tytuł w jednej z wielu kategorii akcji. A dziś przedstawiamy bliżej kolejnych uczestników akcji. Jej szczegóły poznasz na polskanews.pl/hipokrates

Misja? Zapewnić pacjentom skuteczną i bezpieczną opiekę

Małgorzata Awrejcewicz (PZU Zdrowie, Warszawa) jest uczestniczką kategorii Menedżer Placówki Medycznej Roku.



Małgorzata Awrejcewicz

Dlaczego medycyna? Co dziś w niej Panią satysfakcjonuje? Zdecydowałam się związać swoją karierę z ochroną zdrowia, ponieważ chciałam łączyć pracę z ludźmi z realnym wpływem na jakość ich życia. Rola menedżera placówki medycznej pozwala mi nie tylko wspierać personel i dbać o sprawne funkcjonowanie placówki, ale przede wszystkim przyczynić się do zapewnienia pacjentom bezpiecznej, dostępnej i skutecznej opieki. Największą satysfakcję przynoszą mi decyzje, które realnie usprawniają funkcjonowanie placówki - zarówno z per-

spektywy pacjentów, jak i personelu. Ogromną wartość mają też decyzje personalne - np. odpowiedni dobór pracowników do zespołu. Wiedząc, jak pozytywnie wpływa to na atmosferę pracy i zaangażowanie zespołu, mam poczucie, że te decyzje przekładają się na sukces i jakość.

Sukcesy cieszą, a porażki to pretekst do poszerzania wiedzy

Klaudia Szymczak (Centrum Origin, Otwock) konkuruje w kategorii Fizjoterapeuta Roku.



Klaudia Szymczak

Co skłoniło Panią do wyboru zawodu fizjoterapeuty? Zawsze interesowała mnie budowa człowieka. Pomoc innym sprawiała mi od zawsze przyjemność. I tak jest do dziś.

Jaki element Pani codziennej pracy jest źródłem satysfakcji?

Radość z efektów terapii, uśmiech pacjentów, ale też te trudne chwile, w których się nie udaje, bo to wyzwanie do dalszego poszerzania wiedzy.

A momenty, które zostają przy Pani najdłużej? Sukces terapeutyczny i śmierć pacjenta.

Jej mama opowiadała o pomocy położnej - zapragnęła nią być

Aleksandra Wągradzka (SPZOZ, Mińsk Mazowiecki) jest położną i to właśnie w tej kategorii startuje w naszej akcji.



Aleksandra Wągradzka

Co daje Pani największą satysfakcję w codziennej pracy? Zadolenie pacjentek. Oddając kawałek serca każdej pacjentce, staram się zapewnić jej jak najlepsze wspomnienia z porodu. Wiem, że to jest ważny moment dla rodziców - przywitać swoje dziecko na świecie, ale i dla mnie jest to najpiękniejszy moment.

Dlaczego zdecydowała się Pani na zawód położnej?

Od dziecka miałam kontakt z ciężarnymi i małymi dziećmi. Zastanawiałam się też, jak to jest, że w ciele kobiety rozwija się nowe życie. Zastanawiając się nad wyborem dalszej drogi życiowej, pytałam mamy, jak to jest być w ciąży i rodzić. Mama opowiadała, że przy każdym porodzie trafiła na świetną położnicę i że gdyby nie one, to by nie urodziła. Po takich opowieściach też zapragnęłam pomagać pacjentkom.

Codziennie łączy zdolność empatii z wiedzą medyczną

Agnieszka Opolska (Apteka Orchidea, Nowe Miasto) została nominowana w kategorii Farmaceuta Roku.



Agnieszka Opolska

Dlaczego farmacja?

Farmacja to dla mnie możliwość bycia blisko ludzi i wspierania ich w trudnych chwilach. Każdy pacjent przychodzący do apteki potrzebuje nie tylko leku, ale też zrozumienia i rozmowy. Wybrałam ten zawód, bo chcę łączyć wiedzę medyczną z empatią i odpowiedzialnością wobec innych.

Za co ceni Pani swoją pracę?

Największą satysfakcję daje mi kontakt z pacjentami - to, że mogę im pomóc, doradzić i zobaczyć ulgę czy wdzięczność w ich oczach. To poczucie, że moja wiedza i zaangażowanie realnie przekładają się na zdrowie i komfort drugiej osoby.

Które sytuacje szczególnie zapadają Panu w pamięć?

Kiedy pacjenci wracają i mówią, że dzięki naszej wcześniejszej rozmowie czy doborowi terapii, czują się lepiej.

PARTNER GŁÓWNY PLEBISCYTU



INWESTYCJE W TEN WEEKEND KONIEC REMONTU TOROWISKA W CENTRUM STOLICY, ALE TAKŻE NA GRÓJECKIEJ

Tramwaje wracają na Marszałkowską. Weekend remontów w Warszawie

Mateusz Łuba
Warszawa

Tramwaje Warszawskie szykują się do oddania torowiska wzdłuż ul. Marszałkowskiej, gdzie od pięciu miesięcy trwają roboty budowlane. Ulica zmieni się w prawdziwą zieloną arterię.

Zielona metamorfoza torowiska wzdłuż ul. Marszałkowskiej rozpoczęła się na początku czerwca, kiedy Tramwaje Warszawskie ruszyły z pracami na blisko kilometrowym odcinku pomiędzy ul. Widok a zespołem przystankowym Królewska.

Remont w centrum Warszawy trwa niemal pięć miesięcy. W tym czasie wstrzymano ruch tramwajów między przystankami Metro Ratusz Arsenał i Centrum, a kierowcy musieli kilkakrotnie mierzyć się ze zmianami w organizacji ruchu na jezdni.

Prace na torowisku dobiegają jednak końca. Efektem inwestycji będzie m.in. poprawa płynności przejazdów, cichsze kursowanie tramwajów oraz li-



Od poniedziałku tramwaje ponownie będą jeździć ul. Marszałkowską do placu Bankowego. Wyremontowane torowisko będzie bardziej zielone

kwidacja dotychczasowych ograniczeń prędkości. Według zapowiedzi, ruch tramwajowy na ul. Marszałkowskiej zostanie wznowiony zgodnie z planem - w poniedziałek, 13 października.

Inwestycja Tramwajów Warszawski jest prowadzona w koordynacji z ZDM i stanowi kolejny krok w kierunku przekształcenia ul. Marszałkowskiej w zieloną arterię. Wykonawcą jest firma Balzola Polska.

Wzdłuż torowiska powstały już pasy separacyjne, w których w niedalekiej przyszłości pojawią się nasadzenia zieleni wysokiej i niskiej.

Na odcinku od Królewskiej do Świętokrzyskiej powstanie

zielone torowisko z rozchodnikiem, natomiast na odcinku w kierunku ronda Dmowskiego zastosowana została zabudowa przejezdna. Wynika to z wniosku Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego i Transportu Sanitarnego „Meditrans” o zachowanie możliwości poruszania się karet po tym odcinku.

To jednak nie koniec zmian. W ramach remontu powstały również dwa nowe przejścia dla pieszych oraz przejazdy rowerowe. Umieszczono je na wysokości ulic Złotej i Sienkiewicza. Zwąziona została też jezdni - po powrocie tramwajów na torowisko, kierowcy będą mieli do dyspozycji po dwa pasy ruchu na kierunek, z dodatkowymi pasami do skrętu na skrzyżowaniach.

Kolejną nowością będzie zawrotka, która zostanie wyznaczona w rejonie ulicy Złotej. Dzięki niej będzie można zmienić kierunek jazdy bez konieczności dojeżdżania do ronda Dmowskiego. Z kolei przy ulicy Sienkiewicza powstanie zupełnie nowy lewoskręt zapewniający dojazd do kwartału w rejonie Złota-Zgoda.

Weekend w stolicy to także seria remontów ulic w trzech dzielnicach: na Ursynowie, Pradze-Południe i Bemowie. W planach m.in. wymiany nawierzchni, frezowanie czy układanie nowego asfaltu.

W piątek, 10 października, ok. godziny 11:00 frezarki wjadą na ostatni odcinek ulicy Ciszewskiego. Remontowana będzie jezdni od skrzyżowania z ulicą Pileckiego do alei KEN. Połączenie z Ciszewskiego stracą ulice Dereniowa i Malinowskiego.

Frezowanie drugiej nitki Grochowskiej rozpocznie się w piątek, 10 października, o godzinie 20:00 i potrwa do 4:00 w poniedziałek, 13 października. Drogowcy zamkną jezdnię w stronę ulicy Targowej, od ronda Wiatraczna do skrzyżowania z Podskarbińską, razem z tym skrzyżowaniem. Połączenie z Grochowską stracą ulice: Kaleńska, Siennicka i Podskarbińska.

Drogowcy dokończą remont ulicy Połczyńskiej. Frezowanie jezdni do centrum zacznie się w piątek, o godzinie 22:00. Prace potrwają do poniedziałku do godziny 5:00.

POLSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Kozłowski**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzcziński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul. Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA

Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**

Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Karol Wlazło**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10



© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Błonie tel.
668 085 925

SERWIS sprzątający
z gr. niepełnosprawności Ożarów
Mazowiecki tel. 668 085 925

W gospodarstwie mlecznym,
z doświadczeniem - zamieszkanie, 517-433-784

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy koło Wadowic -
tradycyjne turnusy Świąteczne,
tel.: 501-642-492.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

REKLAMA 0011345201

NAGROBKI
już od 3999 zł
Usługi z granitu, marmuru
- białe, parapety,
płytki, schody
RATY
22/214 06 31
500 290 360
Wólka Węgłowa
EKSPOZYCJA ul. Palisadowa 15

REKLAMA

0011411401

WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU Z DNIA 7.10.2025 R.

BURMISTRZ RZGOWA

ogłasza pierwszy przetarg ustny nieograniczony
na sprzedaż niezabudowanej nieruchomości gruntowej,
położonej w Konstancynie, stanowiącą własność Gminy Rzgów

Lp.	Oznaczenie nieruchomości		Powierzchnia	Cena brutto wywoławcza	Wadium a) wysokość b) termin wnieśienia
	wg ewidencji gruntów	wg księgi wieczystej			
1	68/14 obręb Grodzisko	LD1P/00021556/2	0,1119 ha	455 151,66 zł	45 515,16 zł 8.12.2025 r.

Pierwszy przetarg ustny nieograniczony na sprzedaż nieruchomości przedstawionych w tabeli odbędzie się w Urzędzie Miejskim w Rzgowie, 95-030 Rzgów, Plac 500-lecia 22, pok. 37, w dniu 11 grudnia 2025 r. o godzinie 9.00.

Szczegółowych informacji na temat ww. nieruchomości udziela Referat Gospodarki Przestrzennej i Rolnictwa Urzędu Miejskiego w Rzgowie, pokój 02, tel. (42) 214 12 09. Ogłoszenie o przetargu zamieszczono na stronie www.rzgow.pl, w Biuletynie Informacji Publicznej Urzędu Miejskiego w Rzgowie www.bip.rzgow.pl, na tablicy ogłoszeń w Urzędzie Miejskim w Rzgowie oraz tablicy ogłoszeń w sołectwie Grodzisko-Konstancyna.

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne

w Twojej gazecie zlecisz
bez wychodzenia z domu
przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

Polecamy →

strefa
BIZNESU.pl

Know-how
w dobrym biznesie

strefabiznesu.pl

Polska powalczy o punkty eliminacji MŚ 2026

Bartosz Głęb
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Reprezentacja Polski w niedzielę zagra na wyjeździe z Litwą w szóstym meczu eliminacji MŚ 2026. Zdecydowanym faworytem rywalizacji są oczywiście Biało-Czerwoni.

Podopieczni Jana Urbana we wrześniu zaprezentowali się bardzo dobrze w wyjazdowej rywalizacji przeciwko Oranje oraz

w pojedynku na Stadionie Śląskim z Finlandią. Remis i zwycięstwo przywróciły nadzieje na awans do przyszłorocznego turnieju, który zostanie rozegrany w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych i Meksyku.

Teraz chyba nikt sobie nie wyobraża, że Biało-Czerwoni stracą punkty w rywalizacji z zespołem, który plasuje się dopiero na 145. miejscu w rankingu FIFA. Trzeba jednak przypomnieć, że w marcowej inauguracji eliminacji MŚ 2026 zespół

prowadzony wówczas jeszcze przez Michała Probiezera szczęśliwie wygrał na stadionie PGE Narodowy tylko 1:0 po голу Roberta Lewandowskiego w 81. minucie.

W Kownie spotkanie z pewnością do najłatwiejszych należeć nie będzie, ale trzeba sobie jasno powiedzieć. Jeśli Polacy będą mieli problemy w meczu wyjazdowym z Litwą, raczej nie mają czego szukać na przyszłorocznym mundialu w Ameryce Północnej.

W kadrze Litwy na mecz z Polską nie ma żadnego zawodnika grającego w Polsce, ale są tacy, którzy w przeszłości grali w Ekstraklasie. Znalazł się w niej między innymi pomocnik Paulius Goleubickas, który wiosną spędził na wypożyczeniu w Radomiaku Radom. Może zagrać też Fedor Černych, czyli w przeszłości gwiazdor Jagiellonii Białystok. Napastnik miał też epizod w Górniku Łęczna.

Po raz ostatni reprezentacja Polski zagrała w Kownie

w marcu 2011 roku. Wtedy Biało-Czerwoni przegrali w meczu towarzyskim 0:2. W podstawowym składzie na tamto spotkanie wyszedł grający wtedy jeszcze w Borussii Dortmund Robert Lewandowski, a w drugiej połowie na placu gry pojawił się reprezentujący wówczas barwy tureckiego Sivassporu Kamil Grosicki, zmieniając Adriana Mierzejewskiego.

Transmisję z meczu Litwa - Polska będzie można oglądać

za darmo w niedzielę od godziny 20.45 na kanałach TVP1 oraz TVP Sport. Studio przedmeczowe na tej drugiej antenie rozpocznie się już o godzinie 18.45. Spotkanie prosto z trybun stadionu w Kownie skomentują Jacek Laskowski i Grzegorz Mielcarski.

Stream w internecie z meczu eliminacji MŚ 2026 będzie można obejrzeć bez opłat na stronie sport.tvp.pl oraz w aplikacji TVP Sport. ©

Donatas Vencevicius: Jan Urban to super trener i świetny człowiek

Jaromir Kruk
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Donatas Vencevicius ma sporo związków z Polską. Grał w Polonii Warszawa i Górniku Łęczna, a także udzielał się w roli szkoleniowca. Rozmawiamy z nim przed meczem Polska - Litwa.

Jak oceniasz szanse Litwy w rewanżu eliminacji mistrzostw świata 2026 z Polską?

Litwie lepiej gra się z lepszymi zespołami, niedawno powalczyła z Holandią, w marcu postawiła się Polsce, urwała punkty Finlandii, pamiętamy wcześniejsze niezłe potyczki z Węgrami i Serbami. W takich meczach bazujemy na obronie i kontratakach, ale nie ma się co oszukiwać - Polska jest zdecydowanym faworytem, a o różnicy potencjałów piłkarskich nie ma nawet co wspominać. Byłem na pierwszym meczu Polski z Litwą w tych kwalifikacjach i muszę przyznać, że nie widziałem waszego gorszego występu. Pod wodzą Jana Urbana zmienił się obraz waszej reprezentacji, nowy selekcjoner dał zespołowi energię, przebudził go. Byłem kiedyś na stażu u niego w klubie i muszę przyznać, że to super trener i człowiek z silną osobowością. Jego styl bycia jest ujmujący, piłkarze pójda za nim w ogień. Już wrześniowe mecze z Holandią i Finlandią pokazały, że Polska znów obrała dobry kurs.

Świadectwem postępów litewskiej kadry jest osoba Gvidasa Gineitisa?

To pomocnik odgrywający poważną rolę w Torino - dobrym klubie, umiejący grać w piłkę. Litwa potrzebuje takich kilku, ale cieszymy się z niego bardzo i liczymy, że inni będą czynić postępy. Nasza piłka, mimo wielu problemów, szczególnie

związanych z infrastrukturą się rozwija, na pewno jednak szkoda, że żaden z klubów nie zakwalifikował się do fazy ligowej europejskich pucharów. Liczyliśmy zwłaszcza na Žalgiris Wilno. Polska to inny świat - wspaniała frekwencja na znakomitych stadionach, kapitalna otoczka wokół piłki. Miło patrzeć, jak się to u was rozwija, obecnie infrastruktury zazdrości wam wiele krajów świata.

Masz dużo związków z Polską, a czy za szczególnie uważasz, że zadebiutowałeś w reprezentacji Litwy z meczu w Ostrowcu Świętokrzyskim?

Nie zapomnę podróży autokarem przez całą noc, przybyliśmy do Ostrowca nad ranem, by zmierzyć się z silną wówczas personalnie Polską z Romanem Koseckim, Andrzejem Jusko wiakiem, Tomaszem Wałdchem. Nie mieliśmy w tym spotkaniu nic do powiedzenia, ale cieszyłem się niesamowicie z debiutu w barwach ojczyzny, która niedługo wcześniej odzyskała niepodległość. Dla mnie występy w reprezentacji Litwy były sprawą honoru, na spotkanie z Portugalią w 2004 roku udałem się, gdy rodziła mi się córka. Selekcjoner był mi gotów dać wolne, ale żona powiedziała, że bym jechał i jej posłuchałem. Zdobyłem z karnego gola i miałem możliwość zmierzenia się z plejadą gwiazd - z Luisem Figo i Rui Costą na czele, a z ławki wszedł niezniszczalny Cristiano Ronaldo. W kadrze strzeliłem dwa gole, oba znanym golkiperom - Jensowi Martinowi Knudsenowi z Wysp Owczych, który zasłynął broniem w wełnianej czapce i tym, że przyczynił się do sensacyjnej wygranej z Austrią w 1990 roku oraz Ricardo, wicemistrzowi Europy z 2004 roku. Mecz z Polską obejrzałem na żywo w Kownie. ©

REKLAMA

ALUPROF **selt**
by ALUPROF

**PANUJ NAD KLIMATEM
PANUJ NAD KOSZTAMI**

OKNA | DRZWI | FASADY | OSŁONY PRZECIWSŁONECZNE | PERGOLE

AMBASADOR
Szymon Marciniak

www.aluprof.com/dom

